

Anna Pamuła
POLACOS
Chajka płynie do Kostaryki



W serii ukazały się ostatnio:

Piotr Lipiński *Bicia nie trzeba było ich uczyć. Proces Humera i oficerów śledczych Urzędu Bezpieczeństwa* (wyd. 2 popr. i rozszerz.)

Paweł Smoleński *Zielone migdały, czyli po co światu Kurdowie*

Wolfgang Bauer *Przez morze. Z Syryjczykami do Europy*

Cezary Łazarewicz *Żeby nie było śladów. Sprawa Grzegorza Przemyska*

Elizabeth Pisani *Indonezja itd. Studium nieprawdopodobnego narodu*

Beata Szady *Ulica mnie woła. Życiorysy z Limy*

Rana Dasgupta *Delhi. Stolica ze złota i snu*

Ed Vulliamy *Wojna umarła, niech żyje wojna. Bośniackie rozrachunki* (wyd. 2)

Andrzej Brzeziecki, Małgorzata Nocuń *Armenia. Karawany śmierci*

Katarzyna Kwiatkowska-Moskalewicz *Zabić smoka. Ukraińskie rewolucje*

Anna Sulińska *Wniebowzięte. O stewardesach w PRL-u*

Anjan Sundaran *Złe wieści. Ostatni niezależni dziennikarze w Rwandzie*

Ilona Wiśniewska *Hen. Na północy Norwegii*

Mur. 12 kawałków o Berlinie pod red. Agnieszki Wójcińskiej (wyd. 2 zmienione)

Iza Klementowska *Szkielet białego słonia*

Piotr Nesterowicz *Każdy został człowiekiem*

Dariusz Rosiak *Żar. Oddech Afryki* (wyd. 2 zmienione)

Anna Mateja *Serce pasowało. Opowieść o polskiej transplantologii*

Linda Polman *Karawana kryzysu. Za kulisami przemysłu pomocy humanitarnej* (wyd. 2)

Scott Carney *Czerwony rynek. Na tropie handlarzy organów, złodziei kości, producentów krwi i porywaczy dzieci* (wyd. 2)

Misha Glenny *Nemesis. O człowieku z faweli i bitwie o Rio*

Adam Hochschild *Lustro o północy. Śladami Wielkiego Treku*

Kate Brown *Plutopia. Atomowe miasta i nieznanne katastrofy nuklearne*

Drauzio Varella *Klawisze*

Piotr Lipiński *Cyrankiewicz. Wieczny premier*

Mariusz Szczygieł *Gottland* (wyd. 3 zmienione)

Maciej Czarniecki *Dzieci Norwegii. O państwie (nad)opiekuńczym*

Zbigniew Parafianowicz, Michał Potocki *Kryształowy fortepian. Zdrady i zwycięstwa Petra Poroszenki*

Paweł Smoleński *Wieje szarkijja. Beduini z pustyni Negew*

Albert Jawłowski *Milczący lama. Buriacja na pograniczu światów*

Lidia Pańków *Bloki w słońcu. Mała historia Ursynowa Północnego* (wyd. 2)

Mariusz Szczygieł *Niedziela, która zdarzyła się w środę* (wyd. 3)

Aneta Prymaka-Oniszk *Bieżeństwo 1915. Zapomniani uchodźcy* (wyd. 2)

Wojciech Górecki *Toast za przodków* (wyd. 2)

Jonathan Schell *Prawdziwa wojna. Wietnam w ogniu*

Wojciech Górecki *Planeta Kaukaz* (wyd. 3)

Janine di Giovanni *Tamtego ranka, kiedy po nas przyszli. Depesze z Syrii*

Wolfgang Bauer *Porwane. Boko Haram i terror w sercu Afryki*

Wojciech Górecki *Abchazja* (wyd. 2)

Bartek Sabela *Afronauci. Z Zambii na Księżyc*

W serii ukaze się m.in.:

Paweł Smoleński *Pochówek dla rezuna* (wyd. 3)

Cezary Łazarewicz *Tu mówi Polska. Reportaże z Pomorza*

Anna Pamuła

Polacos

Chajka płynie do Kostaryki



Wołówiec 2017

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż autoryzowane pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Projekt okładki Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka

Projekt układu typograficznego Robert Oleś / d2d.pl

Fotografia na okładce © by Keystone / Getty Images

Copyright © by Anna Pamuła, 2017

Opieka redakcyjna Łukasz Najder

Redakcja Tomasz Zając

Korekty Agnieszka Frysztak / d2d.pl, Małgorzata Poździk / d2d.pl

Redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl

Skład Agnieszka Frysztak / d2d.pl

Skład wersji elektronicznej d2d.pl

ISBN 978-83-8049-509-8

Spis treści

Seria

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

Trzy prządk

Tropikalna kraina Shangri-La

Książka o polskich Żydach w Kostaryce

Dom Polski

Polaco i Esperanza

Rozmowy po polsku

Figle na transatlantyku

Pytania pani Ewy

Co siedzi w ziemi

Republika żydowsko-indiańska

Epilog

Od autorki

Wybrana bibliografia

Przypisy

Kolofon

Para Guita y David
Guicie i Dawidowi

Trzy prządk

– Potrzebuję cię. Musisz przyjechać! – oznajmia pewnego dnia Guita. – Nie masz pojęcia, co odkryliśmy... – Rozmowa zostaje przerwana.

Co kilka dni dzwonię do niej z jedynej we wsi budki telefonicznej. Drzewo obok zwykle owija swoim szorstkim futrem leniwiec. Dzieci zbiegają się z boiska naprzeciwko i przedrzeźniają mnie, udając, że prowadzą bardzo ważne rozmowy przez nieistniejący telefon. Wyjmuję z kieszeni szortów kartę zdrapkę i wstukuję znany na pamięć numer. Guita wita mnie melodyjnym głosem: „*¡Buenas Ania! ¿Cómo estás vos?*” [Dzień dobry, Aniu! Jak się masz?]. Zawsze opisuje w skrócie wydarzenia ostatniego tygodnia i szczegółowo opowiada o przygotowaniach do piątkowego szabatu, na który zaprasza całą rodzinę: czworo dzieci, trzynaścioro wnucząt i czworo prawnucząt. Lubi donosić, kto zmarł, ale robi to w taki sposób, jakby Izrael lub Ester wyjechali na wakacje. O wszystkim radośnie papla, snując te same historie dwa lub trzy razy, a ja nigdy nie mówię: „Guita, powtarzasz się”. Ona też słucha mnie uważnie, gdy opowiadam o życiu w Dominical, niewielkim miasteczku nad Pacyfikiem w Kostaryce, gdzie zamieszkałam w listopadzie 2009 roku. Po czterdziestu minutach rozmowy ciężka słuchawka przykleja mi się do twarzy. Drętwieje nadgarstek. Stopy i gumowe klapki pokrywa pył piaskowej drogi, którą co chwilę przejeżdżają warczące samochody terenowe.

Wracam w ciemnościach do domu. Nie chcę zapalać czołówki, bo zleciałyby się owady. Po odgłosach wiem, że zbliżam się do dżungli. Przybywa rechotu żab i wrzasków małp – wyjców. Coraz wyraźniej dobiega szum rzeki. Po półgodzinnym marszu jestem na miejscu. Sprawdzam, czy do środka nie wkradł się skorpion lub wąż, i wślizguję się do łóżka przez dziurę w moskitierze. Co noc mam nadzieję, że owady ją przeoczą, choć po kilku tygodniach w Ameryce Centralnej już tak bardzo się nie boję. Zamykam oczy. Wsłuchuję się w cmokanie gekonów i gruchanie ogromnych żab, które

mieszkają w rzece naprzeciwko domu. W tle cykady, tysiące tykających budzików. Noc zdaje się trzeszczeć niczym fale radiowe. Ptaki co jakiś czas świergoczą, inne bulgocą jak wrząca woda. Dzięki dzieciakom z Dominical coraz lepiej rozumiem dżunglę, lekcje przyrody przypominają naukę słuchania koncertu jazzowego. Zaczyna padać deszcz. Grube krople jak pociski uderzają o blaszany dach. Zasypiam, zastanawiając się, co takiego odkryła Guita.

O świcie wyruszam do San José. Wrzucam ciężkie *colones*, kostarykańskie monety, do pojemnika służącego kierowcy za kasę. Śmieje się za każdym razem, gdy daje pasażerom bilet i mówi: „*Pura vida*”. W Kostaryce to rodzaj pozdrowienia, zastępuje wszystkie zwroty grzecznościowe. Dosłownie oznacza „czyste życie”. Autobus wspina się po mokrej od deszczu asfaltowej drodze. Po każdym ostrym zakręcie pasażerowie zaczynają chichotać, bo Kostarykanie na niebezpieczeństwo reagują śmiechem. Tak samo jest w samolotach – turbulencje ich rozśmieszają, jakby to były gilgotki. Potem rozmawiają o tym, co właśnie przeżyli, i znów śmieją się do rozpuku, trzęsą im się brzuchy, a czoła rosi pot. Autobus przejeżdża środkiem dżungli, z której czasem się wynurza, a ponieważ cały czas pniemy się pod górę, to z okien rozpościera się wtedy widok na szmaragdowy ocean i las niskich, soczyście zielonych drzew.

Guita mieszka w bogatej dzielnicy miasta. Znalezienie jej apartamentu za pierwszym razem zajęło mi godzinę. Adres, który podyktowała mi przez telefon, zajmował pół kartki A4: „Sto metrów za McDonaldem skręć w prawo na wschód, za sklepem z sukniami ślubnymi jedź pięćdziesiąt metrów na zachód. Zobaczysz stare drzewo. Przejeźdź za nim dwieście metrów prosto. Po prawej zbór Świadców Jehowy, a za nim nowoczesny blok z pomalowanymi na złoto drzwiami wejściowymi”. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że w Kostaryce nie ma nazw ulic ani numerów – oprócz ścisłego centrum w San José. Kody pocztowe zostały wprowadzone dopiero w 2014 roku, a sto metrów to umowna odległość od jednego skrzyżowania do drugiego. Nawet na produktach spożywczych adresy ich fabryk zajmują więcej miejsca niż lista składników (na opakowaniu chipsów: „Ciudad Colón, 100 m na południe od Domu Opieki Społecznej, 400 m na zachód i 100 m na południe”). Pytani

o drogę *ticos* (popularny skrót od „Kostarykanów”) wskazywali uprzejmie, jak mam jechać, nie mając pojęcia, gdzie znajduje się złoty apartamentowiec.

Drzwi otwiera mi Alma, służąca Guity. Większość czasu spędzają wspólnie w kuchni, są prawie w tym samym wieku. Alma powtarzała mi wielokrotnie, jak bardzo się cieszy, że Guita nie prowadzi koszernej kuchni. Jej koleżanka pracuje u Żydów, którzy mają wszystko podwójne: dwa zlewy, dwa zestawy naczyń i sztućców. Dwa razy więcej roboty. I na co to? – dziwiła się Kostarykanka.

Alma prowadzi mnie do eleganckiego salonu. Guita wstaje z obitego kwiecistym materiałem krzesła i podchodzi mnie ucałować. Zawsze, gdy mnie tak ściska, myślę o mojej babci. Ma takie same włosy jak ona: ostrzyżone na krótko rudawe fale. Jest też niska, sięga mi do piersi. Jak babcia Jasia wkłada okulary głęboko na nos. Jej oczy robią się przez to nieproporcjonalnie duże. Guita przedstawia mnie swoim dwóm koleżankom, Ewie i Lili. Jako siedemdziesięcioletka jest najmłodsza. Najstarsza to Ewa, urodzona w 1928 roku w Żelechowie. Przyjaciółki popijają słabą herbatę z porcelanowych filiżanek, pogryzając ciasto bananowe. Wymieniają się najnowszymi plotkami z synagogi. Guita opowiada dwa razy tę samą historię, ale żadna tego nie zauważa. Nagle odstawia filiżankę, spogląda na Ewę i Lilę, a potem zwraca się do mnie poważnym tonem:

– Piszemy historię Żydów w Kostaryce. Znalazłyśmy tajne dokumenty. Musisz nam pomóc. – Guita na chwilę znika. Wraca z czterema opasłymi księgami i kładzie je na stole.

Ewa o błękitnych oczach i białych lokach sięga do torebki. Na haftowanym obrusie rozkłada czystą kartkę w kratkę. W dłoni ściska niebieskie pióro. Pytam, czy mogę zerknąć do dokumentów, ale Guita mówi, że jeszcze nie. Musimy zacząć od początku – tłumaczy.

– Piszmy! – Ewa macha piórem. Trzy prządki patrzą na mnie wyczekująco.

– Nie ma czasu, bo do przyszłego tygodnia możemy nie żyć! – mówi Lila, na co wszystkie wybuchają śmiechem.

– Zacznijmy od anegdot – proponuje Guita.

Lila zapisuje na górze kartki „*anecdotes*”. Ewa ją poprawia:

– Napisałaś po polsku, po hiszpańsku to „*anécdotas*”.

Guita się denerwuje:

– Dziewczyny, to są detale, nigdy nie zdążymy, jeśli będziemy pisać jedno zdanie tygodniowo!

Ewa z Lilą ją ignorują i robią zakład o sto dolarów. Szukają na półce słownika, ale zagadują się i w końcu zapominają o sprzeczce. Rozmawiają o synach i wnukach, a Guita przypomina sobie pierwsze żydowskie przedszkole, które otwarto w Kostaryce w latach siedemdziesiątych. Lila kłóci się, że było to dziesięć lat wcześniej. Wtedy Ewa bardzo cicho mówi do mnie, jak w drodze do szkoły w Zelechowie Polki rzuciły w nią kamieniami. W jej sztetlu mieszkało niewielu Polaków, ale wystarczająco dużo, by zatruć im życie.

– Opowiedz więcej – proszę, ale Ewa spuszcza głowę i szepcze, że nie chce. Rumieni się przy tym, przeprasza. Dopiero pięć lat później zdecyduje się na rozmowę. Zajęte kłótnią Guita i Lila nie zwracają na nas uwagi. Zerkam na grube księgi oprawione w bordową skórę. Udaje mi się odczytać złoty napis na grzbiecie: *Comisión Investigadora*. Komisja Śledcza.

– To może pierwsza anegdota o tym, jak Żyd został papieżem? – chichoczą.

– Pamiętam, że siedzieliśmy z moim mężem Carlosem w salonie, o tutaj. – Guita wskazuje na różową kanapę w kwiatki. – Nagle zadzwonił telefon. Odebrał Carlos. Nie zapomnę wyrazu jego twarzy: najpierw podniósł brwi ze zdziwienia, potem zmarszczył czoło, próbując zrozumieć. Tłumaczył po hiszpańsku: „Tak, *polaco*, tak jak i ja. Ale ja jestem Żydem, a on nie. *Polaco* to Żyd, zgadza się. Ale on nie jest Żydem”. Nic z tego nie rozumiałam! Gdy odłożył słuchawkę, wytłumaczył, że dzwonił nasz kostarykański przyjaciel, by pogratulować nam papieża Polaka! Tylko nie mógł zrozumieć, jak to jest, że my jesteśmy Żydami, a mimo to papieżem został jeden z nas, *polaco*. Skręcaliśmy się ze śmiechu. Carlos zaraz obdzwonił wszystkich kolegów, żeby im to opowiedzieć. Tego wieczoru w Kostaryce wznosili toasty chyba wszyscy polscy Żydzi: „Mamy papieża, mazel tow!”.

– W Kostaryce „*polaco*” to Żyd lub handlarz – tłumaczy Ewa. – Gdy nasi ojcowie przyjechali tu w latach trzydziestych, przedstawiali się jako Polacy, bo byli z Polski. Wszyscy zajmowali się handlem obwoźnym, więc z czasem „*polaco*” stał się synonimem słowa „handlarz”, w jidysz „*klapper*”.

Czasownik „*polaquear*”, dosłownie „polakować”, oznacza sprzedaż towaru od domu do domu. Obecnie Żydzi już się tym nie trudnią, robią to Nikaraguańczycy, wciąż nazywani „*polacos*”.

Ewa pokazuje mi w gazecie reklamę: *Mercadería Para Polaqueo, Ropa Para Polacos* [Towar, odzież dla „Polaków”, czyli sprzedawców]. Na Polaków i Żydów teraz mówi się „*poloneses*” i „*judíos*”

– A pamiętacie opowieść o Heli, która krzyczała w porcie, że chce innego tatę? – pyta Lila. – Z reguły było tak, że do Kostaryki najpierw płynął ojciec, pracował jako klapper i po trzech, czterech latach, gdy uzbierał wystarczająco dużo pieniędzy, wysyłał żonie i dzieciom bilety na statek. Większość z nas wychowała się bez ojca, zapominaliśmy więc, jak wygląda. Hela, która miała wtedy pięć lat, po zejściu na ląd zaczęła głośno płakać. Nigdy nie widziała osób o czarnym kolorze skóry, a w porcie w Limón większość pracowników była Jamajczykami lub rdzennymi mieszkańcami wybrzeża karaibskiego. „Nie chcę czarnego taty!”, krzyczała Hela po polsku.

– Moje dzieci uwielbiały opowieści „Tatusia” o jedzeniu owoców ze skórką – przypomina sobie Guita. – „Tatuś” to był ojciec mojego męża Carlosa. Nazywaliśmy go tak po polsku. W Krakowie nigdy nie jadł bananów ani pomarańczy. Gdy pierwszy raz zobaczył kiście bananów w Curaçao, wydały mu się znacznie większe od tych, które widział w Polsce. Statek zacumował w porcie karaibskiej wyspy, a po pokładzie od razu rozeszła się plotka, że dziesięć kilogramów bananów kosztuje śmiesznie mało. Kupili więc z Carlosem i innymi Żydami tyle, ile mogli zmieścić w niewielkich kajutach. Zjedli po kilka, ale owoce były twarde. Całą noc bolały ich brzuchy. Dopiero w Kostaryce obyci z egzotycznym jedzeniem ziomkowie wytłumaczyli im, że to platan, czyli banany do smażenia.

– Musimy napisać też o podziale na żółtych i zielonych Żydów – dopowiada Ewa. – Niedojrzały platan jest zielony, dopiero po kilku dniach staje się żółty i wtedy można go zjeść. *Gellers*, czyli „żółci”, to byli polscy Żydzi, którzy przybyli do Kostaryki przed wojną, w latach dwudziestych i trzydziestych. Wiedzieli już wszystko o nowym kraju. *Griners* nazywaliśmy tych, którzy przyjechali po wojnie, bo guzik wiedzieli. Byli zieloni.

– Ale zacznijmy od początku, bo się zgubimy. Kto tu przyjechał pierwszy i dlaczego? – Lila zapisuje tytuł kolejnego rozdziału.

– Ja znam pana, który uciekł do Kostaryki, bo nie chciał się żenić ze swoją narzeczoną – śmieje się Ewa. – Ale tego nie możemy przecież napisać!

– Właśnie powinniśmy – nie zgadza się Guita. – Przecież na tym polega życie.

Tropikalna kraina Shangri-La

Nigdy nie dotarłabym do Ameryki Centralnej, gdybym w 2007 roku nie wyruszyła samochodem w podróż po Europie. Kraków pożegnałam we wrześniu, a dopiero w grudniu dotarłam do Grecji. Nocowałam u poznanych po drodze ludzi. Któregoś dnia, gdzieś w Chorwacji, zadzwoniła mama i powiedziała, że według babci Jasi możemy być Żydami. Babcia przeczytała książkę o wspólnocie żydowskiej w Chorzelach, gdzie się urodziła, i kobiety ze zdjęć wydały jej się bardzo do niej podobne. Całe życie zastanawiała się, skąd ma czarne włosy i ciemną karnację. Poza tym matka jej ojca nie została pochowana na cmentarzu katolickim.

– Nic pewnego, ale mamy trop. Szkoda, że cię nie ma, bo rodzina jest wzburzona. Mogłabyś ostudzić atmosferę. Gdy na niedzielnym obiedzie powiedziałam o możliwości istnienia żydowskich przodków, jeden z twoich kuzynów się obruszył: „Wszystkim mogę być, ale nie Żydem! Dziękuję bardzo!” – relacjonowała mi przez telefon mama.

Marzyła mi się żydowska prababcia. Moja prababcia Jadzia przemyciała przez granicę polsko-rosyjską futra i diamenty, ale długo wyobrażałam sobie, że gdyby okazała się Żydówką, byłoby jeszcze ciekawiej. To był nastoletni romantyzm. Zawsze lubiłam stawiać się w opozycji do grupy większościowej. Jak mój tata ateista, który kiedyś, tuż przed modlitwą wigilijną, spytał naszą katolicką rodzinę, co sądzi o adopcji dzieci przez homoseksualistów. Lubiałam przemieszczać się po peryferiach. Byłam ciekawa, co dzieje się na styku dwóch światów. Wszędzie szukałam śladów mniejszości. W Słowenii najchętniej rozmawiałam z Włochami. W Kosowie i Czarnogórze z Romami. W Bośni najlepiej czułam się w Sarajewie, gdzie obok meczetu znajdują się cerkiew, synagoga i kościół katolicki.

W greckich Salonikach poznałam starsze żydowskie małżeństwo – Marie i Miko Alvów. Czytali mi Torę w ladino, zabrali na nabożeństwo i na

cmentarz. To od Marie, która w 1944 roku, mając dwanaście lat, uciekała przed Niemcami dziurawą barką do Izmiru, dowiedziałam się o istnieniu Żydów sefardyjskich w obu Amerykach i na Karaibach. To ona jako pierwsza wspomniała o *polacos*. Słyszała, że przed wojną w Kostaryce osiedliło się dużo polskich Żydów. Nie wiedziała nic więcej.

„Costa Rica zapełnia się wędrownymi handlarzami polskimi ze szkodą dla handlu narodowego i w towarzystwie kobiet niepewnego zachowania” – przeczytałam rok później w książce o Polonii w Ameryce Południowej. Zdanie to zawarte było w liście z 1931 roku od Teodora Picada Michalskiego, piłsudczyka, a zarazem kostarykańskiego polityka, do polskiego ambasadora w Waszyngtonie. Skąd w Ameryce Centralnej wzięli się polscy kupcy? Chciałam to sprawdzić. Z niewielkiego pliku dokumentów w Archiwum Państwowym w Warszawie wywnioskowałam, że byli Żydami, nie znalazłam jednak na ten temat ani jednej książki. Byłam wtedy na studiach magisterskich na kierunku stosunki etniczne i migracje międzynarodowe na Uniwersytecie Jagiellońskim, więc zaaplikowałam o stypendium Sylff (The Ryoichi Sasakawa Young Leaders Fellowship Fund), by móc rozpocząć badania w Kostaryce. Skontaktowałam się z Sabiną Cukierman, która prowadziła w Kostaryce hotel. Informacje o niej znalazłam na forum czasopisma „Plotkies” wydawanego przez Reunion’68 – stowarzyszenie polskich Żydów emigrantów. Sabina napisała do mnie: „Mieszkam w Kostaryce od dziesięciu lat i mam niewiele wspólnego z polskimi Żydami w tym kraju. Opuściłam Polskę po 73-ym roku i spędziłam prawie 25 lat w Kanadzie. Ale... kiedy mieliśmy tutaj polską ambasadę (zlikwidowaną pod koniec 2008 roku), poznałam wielu polskich Żydów, to w większości raczej starsi ludzie, którzy sami byli emigrantami z Polski i garnęli się do języka i kultury. Nie wiem, czy wiesz, że żył w Kostaryce (niestety nie pamiętam nazwiska) człowiek, który powiadomił świat o masakrze w Jedwabnem. Nie wiem, czy ma potomstwo. Umarł przed moim przyjazdem do Kostaryki. Nie wiem, czy Ci mogę pomóc, ale jeżeli myślisz, że tak, to chętnie się wciągnę. Daj znać. Sabina”.

Sięgnęłam do *My z Jedwabnego* Anny Bikont. W 2001 roku wybrała się do Kostaryki, by poznać rodzinę Szmula Wasersztejna. To na podstawie jego

świadectwa, sądowych akt z powojennego procesu i wspomnień z *Jedwabieńskiej księgi pamięci* Jan Tomasz Gross napisał *Sąsiadów*.

„W drodze powrotnej opowiadam taksówkarzowi – pisze Bikont – że przyjechałam z Polski, bo o jednym Żydzie z Kostaryki jest u nas głośno. Przytakuje z dumą, jakby chodziło o bogactwo naturalne.

– O tak, my tu mamy wielu znanych Żydów: minister transportu, kultury i kandydat na wiceprezydenta.

– Podobnie jak mój ojciec, dziewięćdziesiąt procent kostarykańskich Żydów pochodzi z Polski – opowiadał nam dzisiaj Izaak [syn Szmula Wasersztejna]. – Największa imigracja była w 1931 roku, druga fala w 1945 roku. Żydzi odgrywają tu znaczącą rolę w polityce. Byliśmy pierwszym państwem, które uznało, że Jerozolima jest stolicą Izraela. [...]

Znajduję zdanie w pamiętniku Wasersztejna: »Nazywali mnie w interesach ‘Polacos’, ale to nie było ani gorzej, ani lepiej, bo Kostarykanom nie robi to różnicy, kim się jest«”.

Po kilku miesiącach, w październiku 2009 roku, znalazłam się w samolocie do Kostaryki. Dostałam stypendium na cały rok akademicki. W fioletową walizkę spakowałam dwa stroje kąpielowe, cztery koszulki oraz parę spodni i ruszyłam w drogę z przesiadką w Nowym Jorku, gdzie miałam nocleg u przyjaciółki na Manhattanie. W książkach i przewodnikach wyczytałam, że Kostaryka to niewielkie państwo położone w Ameryce Centralnej. Wielu myli je z „Korsyką”, ale to nie wyspa. Na południu Panama, na północy Nikaragua. To „Szwajcaria Ameryki Centralnej”, „tropikalna Shangri-La”. Wielokrotnie uznawano ją za najszcześniejszy kraj na ziemi. Od 1949 roku Kostaryka nie ma armii, więc wszystkie pieniądze inwestuje w edukację, zdrowie i emerytury. To oaza demokracji na kontynencie dyktatur i krwawych rewolucji. Po kilku dniach w Nowym Jorku wsiadłam do żółtej taksówki. Kierowca z Barbadosu, myśląc, że jestem gwiazdą rocka z Europy Wschodniej, zaproponował mi małżeństwo, ale odmówiłam, tłumacząc, że najpierw muszę się dowiedzieć, skąd polscy Żydzi wzięli się w Kostaryce.

– A czy wiesz, że na Barbadosie też mamy Żydów?

Pomyślałam, że jeszcze nikt mnie w ten sposób nie podrywał.

– Ponoć kiedyś byli piratami, teraz zostało ich niewielu.

Na lotnisku od razu to sprawdziłam. Na stronie o karaibskich Żydach przeczytałam, że w 1931 roku na Barbados dotarł przez przypadek Mosze Altman z Lublina. Płynął do Wenezueli, ale jego statek zakotwiczył na karaibskiej wyspie, która wydała mu się tak urokliwa, że postanowił zostać. Zajął się handlem obwoźnym, sprowadził na Barbados kilkadziesiąt rodzin z Polski przed wojną i po wojnie. Rodzina Altmana wciąż mieszka na wyspie.

Po wylądowaniu w Kostaryce celnik wręczył mi kolorową ulotkę z rysunkiem małpki: „*Welcome to Costa Rica!* [Witamy w Kostaryce!] Punkt pierwszy: zawsze zamykaj samochód, nawet od wewnątrz. Punkt drugi: jeśli złapiesz gumę albo ktoś powie, byś zjechał na pobocze lub będziesz śledzony, nie zatrzymuj się. Poszukaj najbliższego komisariatu policji albo tłoczego supermarketu. Punkt trzeci: jeśli musisz skonsultować mapę, zrób to w ustronnym miejscu albo poproś o pomoc policjanta. Nie rób tego przy obcych”. Czy na pewno wylądowałam w Szwajcarii Ameryki Centralnej? Przez miesiąc pomieszkowałam u znajomych Kostarykanów, najpierw u Lisette, a potem u Mario, w którego domu czułam się jak na planie filmu Almodóvara – każda ściana wymalowana była na inny kolor: blady róż, papaja, kakao. W pierwszym tygodniu pobytu załapałam się nawet na kostarykańskie święto Halloween, obchodzone zupełnie jak w Stanach Zjednoczonych, i dzięki temu już wiedziałam, że *ticos* chcą, by wszystko tu było takie jak tam. Duże domy dekorują zagranicznymi meblami, dzieci wysyłają do prywatnych szkół, a ryż z fasolą zastępują zimnym mlekiem z płatkami, mimo deklarowanej nienawiści do *gringos*, których absolutnie nie można nazwać „Amerykanami”. Byłoby to obraźliwe dla wszystkich mieszkańców Ameryki Centralnej i Południowej.

Lisette uczyła mnie, jak się poruszać po San José: nigdy po zmroku, nigdy sama, nigdy skrótem przez park. Doradziła mi nie brać portfela, a kilka banknotów schować do skarpetki. Nie rozmawiać przez telefon na ulicy, plecak nosić z przodu. Ignorowałam jej zalecenia, dopóki nie zostałam okradziona. Dwa tygodnie po przyjeździe spacerowałam w parku po zmroku. W pewnej chwili usłyszałam tuż za mną szybkie kroki. Młody, sięgający mi do brody chłopak kazał mi się zatrzymać i oddać mu całą zawartość torby. Popatrzyłam na niego nieprzytomnie i odpowiedziałam łamanym hiszpańskim,

że to niemożliwe. Mam tam wszystko – przekonywałam go nieporadnie. Dyktafon, pieniądze i komputer. Był zbity z tropu. Podrapał się po głowie, a ja szybko dodałam, że za to mogę mu dać dwadzieścia dolarów. Skinął, wziął banknot i wrócił do parku. Cała się trzęsłam. Od tej pory chodziłam po mieście bez bagażu albo jeździłam taksówkami. Niedługo potem kupiłam czarnego isuzu troopera, stary terenowy samochód, którym od razu udałam się do Sabiny Cukierman. Chciałam mieszkać z dala od miasta, bo w San José wszyscy chowali się za drutami kolczastymi i kratami w oknach. W obawie przed złodziejami *ticos* wynajmują drogie mieszkania w rezydencjach jak z amerykańskich seriali, z monitoringiem i strażnikiem, który przeszukuje bagażniki ich gości.

Hotel Sabiny znajduje się w Hatillo, dwieście kilometrów od San José. Najbliższym „miastem” jest Dominical. Ma około siedmiuset mieszkańców. To najbardziej upalne i wilgotne miejsce w Kostaryce. Wczesnie rano, zanim z łóżek zwleką się pierwsi surferzy, przypomina zakurzone kowbojskie osady. Bar, szeryf i kilka drewnianych, walących się domów. Wieczorami zamienia się w hipsterskie centrum rozrywki: z głośników wegańskiej restauracji Mono Congo gra muzyka reggae, w barze Tortilla Flats siedzą amerykańscy surferzy, piją świeże soki z mango i jedzą placki z platanów. Jedyna, niewyafaltowana droga prowadzi przez miasteczko na plażę. Czarny, palący w stopy piasek przykleja się do skóry, a zmieszany z solą morską szczypie. Nie zmywa go nawet silny strumień wody spod prysznic.

Pierwsze kilka dni mieszkałam u Sabiny, w Albergue Alma de Hatillo, przytulnym hotelu w głębi lądu. Sabina przyjechała tu w 1999 roku. Był to, jak wspomina, czas na zmianę życia. Do Kanady dostała się w 1975 roku z Wrocławia, a urodziła się w 1945 roku w Uzbekistanie. W wieku trzydziestu lat już nie czuła, by miała cokolwiek do zrobienia w Polsce. Pracowała jako inżynier elektryk w fabryce w Oświęcimiu, gdzie znajdowały się jeszcze puszki z niemieckim napisem „*Zyklon B*”. Jako dziecko prosiła mamę, by uszyła jej białą sukienkę, bo chciała iść w procesji, rzucać kwiatki i śpiewać wraz z koleżankami: „Święty, Święty, Pan Bóg Zaklęty!”. Mama zwlekała, aż pewnego dnia oznajmiła córce, że to niemożliwe, bo jest Żydówką. Więcej o tym nie rozmawiały. Zresztą Sabina już się tego domyślała. Pewien

siedmiolatek, najśliczniejszy chłopiec w piaskownicy, gdy jako czterolatka zalotnie klepnęła go po ramieniu łopatką do piasku, syknął jej do ucha: „Odwal się, Żydówo”. Innym razem, w pierwszą noc na kolonii, do pokoju weszła opiekunka i gasząc światło, powiedziała: „To teraz, dziewczynki, mówcie paciorek i idźcie spać”. Nie wiedząc, co to paciorek, zaczęła powtarzać: „Paciorek, paciorek, paciorek...”, aż usnęła.

W Polsce zawsze marzyła, by mieć balkon.

– We Wrocławiu po wojnie mieszkałam z rodzicami w ponemieckim budynku, z jednym skrzydłem urwanym podczas oblężenia miasta. Po jego odbudowaniu zameldowano tam rodzinę, która, by dojść do swojego lokum, musiała przechodzić przez nasze. Było ciasno. W Toronto czułam się nieswojo. Nie chciałam tak żyć: praca, zatłoczone metro i zakupy w ogromnych sklepach, gdzie niby było wszystko, ale dla duszy nic. Brakowało mi kontaktu z naturą – opowiadała mi.

W Kostaryce, po trzech miesiącach pobytu, szła przez dżunglę do domu. Dywan wysokiej trawy o soczystym, zielonym kolorze porastał wzgórze jej posiadłości. W dali widziała las namorzynowy, wijące się niczym węże szare, poskręcane drzewa. Sabina poczuła wtedy, że znalazła swoje miejsce na ziemi. Wreszcie miała balkon: dziesięć hektarów tarasu z widokiem na ocean.

Sabina pokazała mi ze swojego tarasu gęste, niskie bananowce, a także *pejibaye*, czyli tak zwane palmy brzoskwiniowe, które są wyższe od kokosowych, ich liście bardziej puszyste, a pod korą kryje się *palmito*, serce palmy.

– Powąchaj – powiedziała, podtykając mi pod nos kilka małych, wąskich listków. Pachniały jak goździk, ale to był cynamon.

Zastanawiałam się, czy w latach trzydziestych polscy Żydzi, tak jak ja teraz, pobierali lekcje o przyrodzie. Sabina się zaśmiała.

– Musieli coś jeść, więc pewnie szybko nauczyli się odróżniać platanów od bananów.

Kobiety podglądały sąsiadki gotujące ryż i czarną fasolę, ziemniaków i kapusty nie było. Więcej nie potrzebowali wiedzieć, przecież przyjechali tu, żeby żyć i prowadzić biznes, a nie uczyć się o drzewach cynamonowych!

Sabina pomogła mi wynająć dom w Dominical, chatkę krytą blachą bez szyb w oknach. Czynsz wynosił dwieście pięćdziesiąt dolarów miesięcznie. Dopiero później dowiedziałam się, dlaczego nie zostałam okradziona jak wszyscy *gringos* w okolicach: właściciel był związany z lokalną siecią dilerów narkotykowych. Poszedł siedzieć, bo uciął komuś głowę maczetą. Wydarzyło się to kilka dni przed moim powrotem do Europy, w maju 2010 roku.

Dom leżał nad wartką rzeką Barú, która trzy kilometry dalej uchodzi do Pacyfiku. Codziennie wraz ze wschodem słońca obserwowałam z łóżka jej sploty. Zamiast ścian na poddaszu domu były ogromne moskitiery, niewiele więc dzieliło mnie od dżungli. Czasem przez dziury w pajęczym materiale wpadały błękitne kolibry, wtedy wspinałam się po drewnianej konstrukcji domu i starałam się je łapać. Szamotały się w zamkniętych dłoniach, a potem uciekały przerażone w stronę rzeki. Za radą dzieci z wioski, które śmieszył mój brak znajomości ich świata, w łazience suszyłam czerwone kwiaty. Nietoperze nie znoszą ich zapachu. Mimo to za każdym razem zakradałam się do toalety niczym szpieg, szukając zwisających z prysznicą brązowych, włochatych stworzonek albo nienaturalnie dużych koników polnych, które lubiły przysiąść na desce klozetowej, lub pokrytych czarnym futerkiem pajaków wielkości pięści. W nocy robiło się tak ciemno, że chodziłam po domu ze świeczką, a że mam dużą wadę wzroku, bez soczewek wszystko było nieostre, znacznie większe i straszniejsze. Sąsiedzi opowiadali mi o nietoperzach wampirach, a potem śniłam, że w nocy przegryzają moskitierę. Budziłam się przerażona i zaczynałam nasłuchiwać dżungli, która huczała i dudniła, coś w niej wrzeszczało i zawodziło. Ale powoli wschodziło słońce i lepka, granatowa noc chowała się pod leśną ściółkę, a ja zaczynałam oddychać spokojniej.

Po kilku tygodniach w Dominical znalazłam pracę jako kelnerka w lokalnej restauracji San Clemente Bar and Grill. Uczyłam się intensywnie języka hiszpańskiego. Przez znajomość portugalskiego sporo rozumiałam, ale nie potrafiłam jeszcze swobodnie prowadzić rozmowy. Do San José wróciłam na początku grudnia, jak tylko dostałam zgodę od Guity Grynspan, ówczesnej dyrektorki Centro Israelita Sionista de Costa Rica, na zwiedzenie synagogi,

muzeum żydowskiego, a także przeprowadzenie rozmowy z Randallem, jego kustoszem. Kostarykańskie centrum wspólnoty żydowskiej to ogromny betonowy budynek zaprojektowany przez Susanę Weisleder, architektkę z Wenezueli. Kontrola przed wejściem trwała kilkadziesiąt minut. Strażnicy patrzyli podejrzliwie na mój paszport, dyktafon i aparat. Rabin nie miał czasu ze mną rozmawiać, a potrzebna była jego zgoda, bym mogła się spotkać z najstarszymi członkami wspólnoty, którzy każde popołudnie spędzają w Corona de Oro, domu opieki za synagogą. Przychodziłam więc do Centro Israelita codziennie i pytałam o rabina, ale nie udało mi się z nim umówić. Któregoś dnia, gdy po raz kolejny krążyłam po muzeum, Randall przedstawił mnie niewysokiej, starszej pani.

– Ja też jestem z Polski! – ucieszyła się na mój widok. – Blauowa! – dygnęła żartobliwie i wręczyła mi wizytówkę: Guita Weinstock de Blau. – Mój mąż był z Krakowa! Proszę przyjść do mnie do domu, wszystko pani opowiem i dam telefony do osób pamiętających jeszcze lata trzydzieste. Rabin już niepotrzebny! – zaświergotała.

Spędziłam u Guity wiele godzin na rozmowach, nocowałam w jej pokoju gościnnym i jadłam gołąbki podczas szabatu. Guita pomogła mi opracować listę osób, z którymi przez pół roku prowadziłam wywiady. W sumie spotkałam się z trzydziestoma osobami, z kilkunastoma wielokrotnie. Guita zerkała do swojego czarnego kalendarza, dyktowała numery telefonów i wtrącała parę słów komentarza:

– Enrique Boruchowich^[1], niestety w stanie wegetatywnym, niczego się nie dowiesz. Dora de Lustig, alzheimer, wszystko jej się poplątało. Moises Rochwerger, alzheimer. Gueña... chyba nie żyje, nie pamiętam już, czy to był jej pogrzeb, na którym byłam w zeszłym tygodniu.

Książka o polskich Żydach w Kostaryce

Śledztwo Guity

– Ilu ich w końcu było? – pyta niecierpliwie Guita, nie mogąc się doliczyć Żydów, którzy osiedlili się w Kostaryce przed II wojną światową.

Trzy prządki znów spotykają się, by pisać książkę. Lila wprawdzie czuje się coraz gorzej, a Ewa musi opiekować się chorym mężem, ale wyciągają z torebek notatki. Guita struga ołówkiem. Nagle podnosi się i wykrzykuje wesoło:

– Już wiem, jak ich policzymy! Siłą dedukcji!

Znika na kilka minut, po czym wraca z czterema wielkimi księgami oprawionymi w bordową skórę. Wreszcie dowiem się, jaki skrywają sekret. Guita czyta na głos złoty napis na okładce: *Comisión Investigadora del Congreso. Índice general alfabético de ciudadanos polacos. Resumen general* [Komisja śledcza Kongresu. Alfabetyczny spis obywateli polskich. Podsumowanie].

– W tej tajnej księdze komisji, powołanej przez rząd Calderóna Guardii na początku lat czterdziestych, spisano wszystkich Polaków w Kostaryce. Oryginał jest w posiadaniu Harry’ego Wohlsteina. Znalazł go ostatniego dnia sprawowania urzędu ministra bezpieczeństwa publicznego w 1982 roku. Jeden z jego pracowników, dyrektor do spraw imigracji, robił porządki, wyrzucając wszystkie bezwartościowe dokumenty do kosza. Zwrócił uwagę na wyjątkowo opasłą księgę i zaniósł ją Harry’emu. „Należy do twoich ludzi”, powiedział. Dopiero niedawno sobie o tym przypomniałam, więc poprosiłam, by wykonał dla mnie kopię. Choć raz przyda nam się praca antysemitów. – Guita szuka w spisie alfabetycznym swojego nazwiska. Niektóre nazwiska zapisane są po polsku, niektóre już w ich wersji hiszpańskiej. – O, tu jestem. Gita Wenstock

Wolfowicz. Miałam osiem lat. A tu moja mama, Ruchla Leja, w Kostaryce Rosa. Wszystko w tym kraju było łatwiejsze, nawet imiona.

Wieczorem kartkujemy z Guitą setki stron, tom po tomie. Na każdej stronie znajdują się imię i nazwisko obywatela, nazwisko panięńskie żony, imiona i wiek dzieci, zawód i data przybycia do Kostaryki.

– Ania, w pierwszym rozdziale napisz, proszę, że do końca lat dwudziestych osiedliło się w Kostaryce dwudziestu ośmiu Polaków. Pierwszy w roku 1892. Kolejnych trzech między 1922 a 1924 rokiem. W 1925 roku przyjechało ich trzech, wszyscy pochodzili z Litwy. Rok później tylko jeden. W 1927 było ich dwóch, w tym Polak *no judío*, Aleksander Karpiński. Rok później sześciu (w tym dwoje dzieci). W 1929 roku dwunastu.

Podliczamy wszystko na kartce obok.

1892. Pierwszy

Gdyby Maximiliano Fischel z Będzina, dentysta, nie zachorował na żółtą febrę, nigdy nie dotarłby do Kostaryki. *Ticos* nie kupowałyby aspiryny w aptekach Fischel, najpopularniejszych w kraju, mimo że przez prawie sześćdziesiąt lat pozostawały nieczynne w szabat, a także w święta Rosz Haszana i Jom Kippur (jak Fischel przykazał w testamencie).

Izaak Fischel i Sophia Herschberg wyjechali z Będzina lub Częstochowy do Stanów Zjednoczonych w 1871 roku, gdy ich syn Mordka, w Ameryce Max, miał dwa lata. Byli jednymi z wielu.

Arthur Ruppin, wybitny socjolog, szacował, że między rokiem 1881 a 1939 pięć milionów Żydów zostawiło swoje domy i wyruszyło w świat. Żydowska populacja na początku tego okresu wynosiła 7,65 milionów ludzi. Podaje się, że dwa lub trzy miliony spośród tych podróżujących pochodziło z Europy Środkowej i Wschodniej. Żydzi opuścili Europę, imperium osmańskie lub Afrykę Północną, zmieniając tym samym dotychczasowy kierunek migracji. Od XI wieku wędrowali z zachodu na wschód i z północy na południe (na przykład hiszpańscy Żydzi osiedlili się we Włoszech, na Bałkanach i w Azji Mniejszej). W XIX wieku zaczynają przemieszczać się ze

wschodu na zachód, stanowiąc część masowych ruchów ludności, w wyniku których sześćdziesiąt pięć milionów osób uciekło z Europy.

„Historycy długo wskazywali na wyjątkowość migracji żydowskiej. Podkreślali, że Żydzi opuszczali miejsca swojego zamieszkania ze względu na przemoc skierowaną przeciwko nim – pisze Hasia R. Diner, profesor na Uniwersytecie Nowojorskim, w książce *Roads Taken*. – Żydowskiej migracji w XIX wieku nie można [jednak] motywować wyłącznie antysemityzmem. Ich prawa były ograniczone, większości z nich zagrażały agresja i wysiedlenia. Ale ta migracja była podobna do każdej innej w tym czasie – wynikała z chęci polepszenia swojego statusu ekonomicznego i poszukiwania lepszych możliwości w innych krajach. Jednym z dowodów jest fakt, że wiele rodzin migrowało oddzielnie. Najpierw płynął ojciec, który dopiero po kilku miesiącach lub latach wysyłał żonie i dzieciom pieniądze na kupno biletów. Gdyby powodem migracji były pogromy lub jakakolwiek inna forma przemocy wymierzona przeciwko Żydom, mężczyźni nigdy nie narażaliby swych rodzin na niebezpieczeństwo”.

Pod koniec XIX wieku kilka tysięcy Żydów przekroczyło granicę ogromnego, nieznanego terytorium Ameryki Południowej. Wśród nich byli hiszpańscy Sefardyjczycy, którzy z holenderskiego Curaçao przenosili się na sąsiednie wyspy karaibskie, a także do Ameryki Środkowej; Żydzi z Tangeru i Casablanki osiedlili się w Iquitos nad Amazonką, a Aszkenazyjczycy z Francji, Niemiec, Alzacji, Lotaryngii, Szwajcarii i Anglii w miastach Argentyny, Chile, Gwatemali, Meksyku, Brazylii i Peru.

Max Fischel był pierwszym Aszkenazyjczykiem, który osiedlił się w Kostaryce na stałe. Jako nastolatek pasjonował się rowerami. Pod koniec lat osiemdziesiątych pojechał na wycieczkę rowerową dookoła Europy, był nawet na inauguracji wieży Eiffla w Paryżu w marcu 1889 roku. Po powrocie do Stanów Zjednoczonych w latach 1890–1891 studiował chirurgię stomatologiczną na Pennsylvania College of Dental Surgery. Niedługo potem udał się do Kolumbii, aby zarobić na własny gabinet dentystyczny, który chciał otworzyć w Stanach Zjednoczonych. W pierwszych tygodniach pobytu zachorował na żółtą febrę. W drodze powrotnej na statku jego stan się pogorszył i kapitan zdecydował o wysadzeniu go w najbliższym porcie: Puerto

Limón w Kostaryce. Doradzono mu, by z wybrzeża przeniósł się w góry, gdzie klimat jest najlepszy. Osiedlił się w Cartago, a gdy poczuł się lepiej, zamieszkał w San José. „Po wejściu do domu doktora pierwsze, co rzuca się w oczy, to artystyczny charakter wnętrza. Obrazy, wspaniałe dywany, kosztowne gobeliny, świecące czystością pianino, obok gitara inkrustowana masą perłową, hiszpańska bandura, marmurowe popiersia” – pisał w latach dwudziestych kostarykański dziennikarz, który odwiedził Fischela.

Pewnego dnia 1903 lub 1904 roku do jego gabinetu weszła niezwykle piękna i dużo młodsza od niego pacjentka. Od kilku dni bolał ją ząb, więc ojciec wysłał ją do żydowskiego dentysty (w Kostaryce było wtedy dwóch lub trzech stomatologów). Max zakochał się od pierwszego wejrzenia. Ada Robles Sasso była Żydówką sefardyjską, której rodzice – Mordecai Athias Robles i Ester Sasso – przybyli do Kostaryki z położonej na wschód od Dominikany i Haiti wyspy Saint Thomas. W szabat Mordecai i Ester chodzili zapewne do synagogi, gdzie siadali na mahoniowych ławkach i zanurzali stopy w ciepłym piasku, którym wysypana była świątynia. (Niektórzy Żydzi na Karaibach modlili się w piwnicach, a ich podłogi zasypywali piaskiem, by nie słychać było kroków. Do Nowego Świata przybywali często jako marrani, czyli żydowscy konwertyci, zwani też nowymi chrześcijanami). Mury synagogi zbudowane były z cegieł przywiezionych z Europy w XIX wieku – służyły pierwotnie jako balast dla statków wożących z powrotem rum i cukier trzcinowy. Zamiast cementu używano zaprawy z piasku, wapienia i melasy.

W spisach ludności Kostaryki z XIX wieku znalazło się osiemdziesięciu dziewięciu Żydów. Nie zachowały się akty urodzeń ani ślubów sprzed 1888 roku, jedynym źródłem informacji o pierwszych Żydach w Kostaryce są przekazy ustne i adnotacje na grobach Cementerio Extranjero, cmentarza dla obcokrajowców w San José. Do połowy XX wieku rodziny sefardyjskie nie mieszały się z Kostarykanami, a nawet z Żydami aszkenazyjskimi, którzy przybyli w latach dwudziestych z polskich shtetli. Zamożni członkowie sefardyjskich rodów Sasso, Robles i Maduro uważali ich za niewykształconych i zbyt biednych (wyjątkiem było małżeństwo Maxa Fischela z Adą Robles Sasso). Gdy brakowało kandydatów do ślubu, córki i synowie wysyłani byli do Panamy, na Curaçao lub na wyspę Saint Thomas,

gdzie swatki znajdowały im parę. Sefardyjczycy, w odróżnieniu od polskich Żydów, nie budowali w Kostaryce synagog ani nie zakładali szkół żydowskich. Obchodzili szabat i najważniejsze święta, którym przewodził *rabino itinerante*, wędrowny rabin odwiedzający po kolei wszystkie wspólnoty żydowskie w Ameryce Centralnej i na Karaibach. W Jom Kippur spotykali się w wybranym domu i wspólnie modlili. Zamiast kipy obowiązywały sombrera.

Adzie Robles Sasso, reprezentującej pierwsze pokolenie sefardyjskich Żydów urodzonych w Kostaryce, i Maximilianowi Fischelowi ślubu udzielił *rabino itinerante*. Ada i Max mieli czworo dzieci, z których jedynie Sophia wyszła za mąż za Żyda (w gazecie „La Tribuna” w lutym 1930 roku została nazwana jedną z najpiękniejszych kobiet w Kostaryce). Przybyłym pod koniec lat dwudziestych z Polski Żydom aszkenazyjskim Max służył przez wiele lat jako mohel – rytualny rzezak. Prowadził aptekę, która reklamowała się w prasie żydowskiej: „Apteka Dr. M. Fischel. Mamy przyjemność zaoferować pełną gamę prezentów na Boże Narodzenie. Świeża dostawa oryginalnych leków najwyższej jakości. Telefon 4877. Na północnym rogu Plaza del Correo – San José”. Max zmarł w 1935 na atak serca, został pochowany na Cementerio Extranjero, wśród anglikanów, muzułmanów i bahaitów. Córka najstarszego syna Maximiliana to Astrid Fischel Volio, wiceprezydentka Kostaryki w latach 1998–2002. Nie poznała dziadka Maximiliana, jest jednak pewna, że odziedziczyła po nim otwarty umysł.

– Dziadek Max był religijny, ale pragmatyczny – opowiada mi przez telefon Astrid. – Bardzo tolerancyjny. Mój tata Oscar ożenił się z katoliczką, lecz w domu przestrzegaliśmy wszystkich żydowskich rytuałów: zapalaliśmy świece w szabat i celebrowaliśmy najważniejsze święta.

1922. Drugi, trzeci, czwarty

Enrique Yankelwitz Pontec był drugim po Maxie Fischelu aszkenazyjskim Żydem w Kostaryce. Dotarł tam 22 czerwca 1922 roku, dwa lata później dołączyli do niego żona Fanny Rostein i syn Jorge. Byli to austriaccy Żydzi, którzy osiedlili się w Argentynie w 1900 roku.

Od początku XX wieku w Argentynie narastało wrogie nastawienie do imigrantów. Obwiniano ich o brak pracy, rosnącą przestępczość i spadek moralności. W styczniu 1919 roku rozpętały się krwawe zamieszki. *Semana Trágica* [Tragiczny Tydzień] rozpoczęła się w dniu strajku w zakładach metalowych *Vasena*. Zginęło wtedy pięć osób, wielu było rannych. W tym samym czasie w żydowskiej dzielnicy w Buenos Aires doszło do pogromu. Tłum przemierzał ulice, krzycząc: „Śmierć Rosjanom”. Chodziło im o nazywanych *rusos* Żydów utożsamianych z anarchistami i bolszewikami. Napaść na Żydów kierowana była przez kontradmirała Manuela Domecqa Garcíę, wydającego rozkazy oddziałom *Guardia Blanca*. Młodzi „patrioci” plądrowali lokalne księgarnie, kluby i sklepy. Nigdy nie ustalono, ile osób zostało zamordowanych, choć liczbę ofiar szacuje się na mniej więcej tysiąc. Według amerykańskiego ambasadora Frederica J. Stimsona rosyjskich Żydów zginęło w tych dniach stu pięćdziesięciu.

Yankelewitzowie przenieśli się do Kostaryki, bo chcieli żyć w kraju bardziej stabilnym politycznie. Między 1906 a 1936 rokiem, z krótkim epizodem dyktatury kawowych oligarchów, braci Tinoco, przez dwadzieścia lat Kostaryką rządziło dwóch prezydentów: Cleto González Víquez i Ricardo Jiménez Oreamuno. Byli liberałami budującymi zręby kostarykańskiej demokracji. W trakcie ich rządów wydatki na wojsko i policję zmalały na korzyść opieki społecznej i prac publicznych, a także edukacji. Kostaryka, w porównaniu z ogarniętymi chaosem krajami Ameryki Centralnej i Południowej, nie bez powodu zdawała się Yankelewitzom rajem na ziemi.

– Mój ojciec założył pierwszą synagogę w Kostaryce, która mieściła się w salonie naszego stumetrowego domu. W 1928 roku jeden z jego pracowników sprowadził Torę z Brukseli, pierwszą w Ameryce Centralnej. W naszym salonie odbyło się około trzydziestu ślubów, a w pokoju obok moja mama przyjęła ponad dwadzieścia porodów – wspomina Jorge, syn Enrique Yankelewitza. Nie chce się ze mną spotkać, ale rozmawiamy przez telefon. Jego ojciec, Enrique, prowadził w Kostaryce sklep i zakład krawiecki *Mil Colores*, gdzie sprzedawał materiały importowane ze Stanów Zjednoczonych. W latach trzydziestych zatrudniał dziewięćdziesięciu dziewięciu handlarzy obwoźnych, wszyscy byli Żydami.

Z walizką na plecach i notesem w kieszeni, przemierzali ulice dużych miast i miasteczek, sprzedając niewielkie przedmioty, takie jak zapalniczki, nożyczki, sandały, żyletki, religijne artefakty (święte obrazki i różańce), sztuczce i talerze, a także biżuterię, ubrania i tkaniny. Wprowadzili system niewielkich rat, które klienci spłacali co tydzień (w Kostaryce to *paga a la polaca*, polska zapłata). Ustalali wysoką marżę (prawdopodobnie około stu procent), by pokryć ewentualne ryzyko niewypłacalności. Jeśli pomylili się w ocenie klienta, tracili wszystkie pieniądze. Jeśli mieli szczęście i liczba niespłaconych kredytów była niewielka, z czasem mogli oszczędzić wystarczająco dużo, by otworzyć sklep stacjonarny i zatrudnić w nim imigrantów, którzy dopiero co przybyli do nowego kraju.

Nie wiadomo, ilu klapperów było wśród Żydów, ale we wspomnieniach, listach i artykułach w gazetach z lat 1880–1939 ich autorzy zauważają, że stanowili oni większość imigrantów w Ameryce Północnej i Południowej. „90 procent Żydów w Brazylii, a także połowa wszystkich Żydów w Ameryce Południowej zajmuje się handlem obwoźnym” – pisał w 1935 roku korespondent „Havaner Lebn” (kubańskiej gazety wydawanej w jidysz i po hiszpańsku w latach 1932–1960). W tym samym roku inny dziennikarz notował: „Rua da Alfândega, ulica żydowskich sprzedawców w Rio de Janeiro, pełna jest ciasnych i nabitych ludźmi sklepików, zupełnie jak w Warszawie”. Sytuację na Kubie opisywał reporter „Havaner Lebn”: „Gdyśmy dotarli na Kubę, wszyscy mylili nas z Niemcami, a my nie wyprowadzaliśmy ich z błędu. Lepiej było nie mówić, że jesteśmy Żydami, jeszcze wnukowie inkwizytorów chcieliby się do nas dorwać. Były to szczęśliwe lata, byliśmy w Ameryce! Każdy statek przywoził 600–800 Żydów, z których wszyscy zostawali klapperami. Mieszkaliśmy w dwadzieścia, trzydzieści rodzin w jednym domu i tylko świeczka zapalana w szabat świadczyła o tym, że jesteśmy Żydami. Wtedy szaleństwo lodów Eskimo Pie ogarnęło Kubę i wszyscyśmy chodzili po Hawanie z pojemnikami na lody powieszonymi na sznurkach wokół ramion. Przezwisełko »Niemiec« trochę się zużyło, Kubańczycy zaczęli więc wołać na nas »Eskimo Pie«”.

„Handel obwoźny w każdym kraju i regionie ma swoją historię – pisze Hasia R. Diner. – Jest ona ściśle związana ze zmieniającym się prawem

imigracyjnym. W Irlandii, Szkocji i Walii handel obwoźny zanikł wraz z restrykcyjną ustawą o cudzoziemcach, Aliens Act z 1905 roku, która ograniczyła napływ imigrantów, głównie Żydów z Europy Wschodniej. W Stanach Zjednoczonych handel obwoźny zaczął wygasać w 1920 roku, gdy wprowadzono dwie ustawy prawne Quota Act (1921) i National Origins Act (1924), zamykając tym samym okres niekontrolowanej emigracji Europejczyków. Każdy kraj w Ameryce Południowej przez pewien czas zachęcał do imigracji, by później ją ograniczyć. To samo działo się w Australii i w Afryce Południowej. 1930 rok był swego rodzaju renesansem handlu obwoźnego, wraz z nową grupą niemieckich i polskich Żydów, którzy dotarli na Kubę i do Ameryki Centralnej”.

Po kolana w błocie

– Wielu Żydów nie lubiło pracy handlarza. Musieli dźwigać ciężkie walizy, znosić zimno lub gorąco, samotność i izolację. Mój tatuś wstydził się pukać do drzwi obcych ludzi, których języka nie znał – opowiada Ewa.

Znów siedzimy w salonie Guity i piszemy książkę. Drobną deszcz zaczyna za oknem. Czytamy na głos fragmenty *El judío en Costa Rica* [Żyd w Kostaryce] Jacobo Schiftera Sikory, pracy badawczej o Żydach w Kostaryce z lat siedemdziesiątych. „Na początku nie znałem wszystkich tras na pamięć, myliły mi się domy i klienci. Robiłem więc notatki. Miejsce, gdzie pierwszy raz sprzedałem towar, opisałem tak: różowy dom z dwoma oknami. Sto metrów od torów kolejowych. Miła kobieta z trojgiem dzieci” – wspominał Salomon Rubinstein. I dalej: „Praca była ciężka, bo drogi były w złym stanie. Nieraz szedłem pod górę po kolana w błocie. Zdarzało mi się przewracać ze zmęczenia. Gorzej, że nie wszyscy klienci chcieli płacić. Raz jeden *tico* postraszył mnie nawet maczetą”. Guita dodaje, że ostatni żydowski handlarze wędrowali po kostarykańskich drogach jeszcze w latach pięćdziesiątych. Jednym z nich był Jacobo Grynspan. Czytamy: „W 1953 roku razem z bratem założyłem niewielką fabrykę parasoli. Pracowałem dalej jako handlarz, choć nie robiłem już tego dla pieniędzy. Byłem kawalerem, lubiłem odwiedzać

moich klientów. Przez tyle lat w drodze miałem wszędzie przyjaciół – zarówno mężczyzn, jak i kobiety”.

Mąż Guity, Carlos, który dotarł do Kostaryki po wojnie, był w tym kraju ostatnim żydowskim handlarzem.

– Każdego dnia wyruszał z domu o szóstej rano. Dołączał do niego chłopiec i nosił mu walizkę – przypomina sobie Guita. – Cały dzień chodzili na piechotę po górach Guadalupe i sprzedawali towar. Po kilku latach dorobił się niemieckiego motoru nsu, było mu łatwiej. Ale nie znosił tej pracy, przed wojną chciał być lekarzem, wstydził się handlować.

1925. Piąty, szósty, siódmy

W 1925 roku do Kostaryki przyjechało trzech polskich lub litewskich Żydów: byli to Tobiasz Karolicki Zakiem, Jacobo Montvelisky Smith i Ismael Staropolski Kowalski. Jacobo i Ismael mieli po osiemnaście lat, Tobias był około trzydziestki.

Syn Jacobo, Herman Montvelisky, jest dziś ordynatorem oddziału ginekologii i położnictwa w szpitalu San Juan de Dios w San José. Opowiada mi, że jego ojciec pochodził z Wilna, jako nastolatek wyjechał do Ameryki w poszukiwaniu brata. Dopłynął na Kubę, a stamtąd do Kolumbii i tam go odnalazł. Osiedlił się jednak w Kostaryce, gdzie otworzył niewielką fabrykę męskich koszul Camisería Londres. Zaoszczędził kilkaset dolarów i wysłał po dwie siostry, kuzyna, a także mamę Marię.

Tak jak Montvelisky na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych jeszcze kilkunastu polskich Żydów przyplłynęło do Kostaryki z Kuby. Byli to między innymi Benjamin Cyranowicz Dorfman, krawiec z Ostrowca, Herman Marmelsztejn Lazar, handlarz z Grabowca (jego mieszkanie w Kostaryce, na piętrze nad sklepem, przez kilka lat pełniło funkcję Centro Israelita – tam młodzi Żydzi spotykali się, grali w karty, modlili w szabat i wszystkie święta) i Izaak Sunikanski, późniejszy przyjaciel poszukiwacza złota i komunisty Jaimego Goldenberga.

Kuba leży naprzeciwko Kostaryki. Statkiem płynie się tam około pięciu godzin. W 1926 roku wyspę odwiedził Melchior Wańkowicz. Liczbę

wychodźców z Polski szacował na 5445 osób. Z tego [pisownia oryginalna] „na żydów liczyć należy około 5000. Mają oni dobrze działający komitet pomocy, otrzymują 8 tysięcy dolarów miesięcznie zapomogi z żydowskiego komitetu w Nowym Jorku. Siedzą przeważnie w Hawanie, zajmują się szewstwem, krawiectwem, a przede wszystkim handlem ulicznym, tak że się mówi: »Niech pan kupi sznurowadła u polaka« – jako synonim handlarza ulicznego. [...] Na Kubie słowo »polaco« jest pogardliwym mianem każdego cudzoziemca i znamionuje wszystkie siedem grzechów głównych. Poprosiłem kiedyś jakiegoś robotnika kubańskiego, aby mi wskazał drogę, i idąc, rozgadaliśmy się. Kiedy dowiedział się, że jestem polakiem, krzyknął »carramba!« i spojrzał na moje śnieżne pantaloney i odprasowany kołnierzyk z takim zdumieniem, że mi się na śmiech zebrało. [...] Doszedłem do przekonania, że nie nasze zbrodnicze cechy są tego przyczyną, a bezradność tych biedaków. Stłoczeni w ciasnych klitkach, mieszkają gromadnie (»jak jaki dom polaki nasze obsiadą, to już tam innego nie natrafi« – informują mnie), chodzą »stadami«, nie łącząc się z kubańczykami, rzucają się wszystkim w oczy. Przy niedzieli, napiwszy się, czubią się, a w poniedziałek tkwią już w sądzie [...]. Chcąc osobiście dotknąć ich bytu, udałem się do kilku tzw. hoteli [...] w kwartale portowym, pełnym prostytutek i szumowin społecznych. »Hotele« te to ohydne dziury, w których rzędami stoją tapczany. Znajdujemy w nich wszędzie ludzi, choć dzień jest powszedni. Grają w karty, w warcaby, śpią i – czekają, albo na robotę, albo że droga się otworzy gdzieś w świat”.

Wańkowicz poznał Polaka, który pracował na budowie. „Zarabia półtora dolara dziennie (gdy ma robotę), co na stosunki hawańskie jest nic, gdzie kilo chleba kosztuje 25 centów amerykańskich, kilo mięsa 40 centów itd.”. Podkreślał przypadkowość tego skupiska emigracyjnego. Wszyscy zasadniczo zmierzali do Stanów Zjednoczonych, ale byli oszukiwani przez agentów emigracyjnych przekonujących, że nie ma trudności na granicy Kuba–Ameryka. Na miejscu padali ofiarami „hien”, które żerowały na ich nieszczęściu, „wyciskając ostatni grosz z emigrantów, obiecywali ich przemyścić do Stanów. Często [...] żaglowiec po prostu okrążył Kubę i wyładowywał ludzi po drugiej stronie wyspy. Znam nawet wypadek, kiedy najciemniejszych chłopów, nieświadomych tego, że Kuba jest wyspą, wyprowadzono pieszo z Hawany

nad jakiś strumyczek, nad którym w chaszczach czekali do północy, po czym w najgłębszej ciszy, z zachowaniem wszelkich środków ostrożności skakali na drugi brzeg – amerykański...”.

Tak opisywali swoje życie na wyspie polscy emigranci na początku lat dwudziestych [pisownia oryginalna]: „W pierwszej treści naszego listu donosimy wam, że jesteśmy zdrowi, czego i wam życzymy. A w drugiej treści donosimy wam, że do Ameryki nas nie przepuścili i siedzimy na Kubie wyspie, którego kraj jest gorący bardzo, a roboty w nim nijakiej, więc wyprzedaliśmy wszystko i tylko pierzyny zostali, ale tutejszy naród nie kupuje pierzynów, więc przyjdzie się zginąć”.

1926. Ósmy

Mosze Rybak Krawecki to ósmy Żyd, który osiedlił się w Kostaryce. Wcześniej na Dominikanie nauczył się robić lustra, a w Meksyku skręcać cygara. Był dziadkiem Sharon Rybak Portugal, która jego przeprawę do Ameryki opisała w autobiograficznej książce *The Fault at the Center* [Problem leży pośrodku]: „Morris Fischer Kravetski, mój dziadek – nazywany Mosze tam, skąd przybył, potem Moises w Ameryce Centralnej – nawet gdy się uśmiechał, wyglądał na nieszczęśliwego. Ciągle gdzieś chodził, nigdy nie siadał, zawsze nosił z sobą małą brązową walizkę. Uciekł z chaosu i pogromu armii carskiej, z Litwy lub Polski, być może z pogranicza tych dwóch krajów, do Paryża, a z Paryża na Dominikanę. Wszystko dlatego, że Stany Zjednoczone nie wpuszczały już więcej Żydów... Co wieczór prosiłam tatę, by opowiedział, jak dziadek Morris dostał się do Ameryki. Zawsze rozpoczynał opowieść tak samo: na Dominikanie pewien Hiszpan nauczył dziadka robić lustra. Ale było tak gorąco, że Morris mógł pracować tylko rano. Gdy przedłużał robotę, jego pot kapał na tafle luster. To je niszczyło. Po roku wytwarzania luster Morris pojechał do Puebli w Meksyku, by odszukać tam jednego ze swych jedenastu braci. Ten jednak musiał być już gdzie indziej, bo Morris go nie znalazł. Mimo to został w Meksyku i otworzył fabrykę cygar. Szybko był zmuszony wyjechać: nadciągała rewolucja meksykańska [...]. W końcu, niczym marynarz przybywający do ostatniego portu swej długiej

podróży, osiedlił się w San José w Kostaryce. Pomyślał, że lepiej tam niż w Brazylii czy Argentynie, bo bliżej do Stanów Zjednoczonych. Otworzył sklep z ubraniami, nazywając go bardzo romantycznie: Ciudad de París. W 1930 roku dziadek Morris wrócił do Europy, by kupić nowe artykuły do swojego sklepu, a także by odwiedzić rodzinę i co najważniejsze, znaleźć żydowską żonę. »Twoja babcia – opowiadał dalej tata – nigdy nie była szczęśliwa w Kostaryce. Uważała, że Żydzi tam byli prostakami: rzeźnikami i krawcami. Luba zawsze była ambitna. Chciała jechać dalej, do Ameryki. Potrzebowała większej sceny. Potem, z powodu antysemityzmu, którego doświadczałem w szkole, udało jej się przekonać dziadka do wyjazdu. Opuściliśmy Kostarykę w 1941 roku, tuż zanim Stany Zjednoczone włączyły się do wojny. Płynęliśmy do Nowego Jorku statkiem Talamanca, który należał do United Fruit Company. Było to tuż przed Pearl Harbor. [...] Nigdy nie zapomnę jednego dnia w moim życiu. Było rano, słuchaliśmy z twoim dziadkiem radia. Nagle w wiadomościach zaczęli opowiadać o tym, co znaleźli w obozach... Miałem dwanaście lat, ale pamiętam ten moment bardzo dokładnie, nawet to, jak byłem ubrany. Twój dziadek odstawił filiżankę herbaty i zaczął głośno płakać. Jego ramiona unosiły się i opadały...«».

1927. Dziewiąty i dziesiąty

Ludwik Fajgenblatt (w Kostaryce Luis), z zawodu krawiec mieszkający w San José, w 1931 roku donosił w piśmie do konsulatu polskiego w Nowym Jorku, że w Salwadorze „zamordowano 20 obywateli RP jako »agentów sowieckich«”, on zaś wie, że „byli to ludzie porządni i że służyli byli w Wojsku Polskim”. Ludwik Fajgenblatt Oizer urodził się w Łodzi w maju 1895 roku. Przypłynął do Kostaryki we wrześniu 1927 roku z Belgii, miał trzydzieści dwa lata. Jego żona, Milly Miller, pochodziła z Londynu. Dołączyła do męża wraz z dwojgiem dzieci, Henrym i Hetty, rok później. Jego sklep z materiałami i zakład krawiecki przynosiły ogromny zysk – 20 855 colones w 1935 roku (średni dochód innych sklepów wynosił od dwóch do pięciu tysięcy), był jednym z najbogatszych Żydów w San José. Nie wiadomo, dlaczego Luis Fajgenblatt napisał ową wiadomość do polskiego konsula –

prawdopodobnie Żydzi z Salwadoru byli mu znani. Rodzina Fajgenblattów bardzo szybko się zasymilowała. Luis ożenił się ponownie z Kostarykanką Carmen González i wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie zmarł w 1951 roku.

W tym samym roku co Fajgenblatt do Kostaryki przyjechał Aleksander Karpiński Heintze. Był Polakiem i katolikiem, mimo to został wpisany na antysemitkę listę *polacos* z 1940 roku. Jego żoną była Consuelo Dodero Araya, Kostarykanka z Włoch. Mieli troje dzieci: Marysię, Alejandro i Jadwisię. Marysia wyszła za mąż za Niemca, Federspiela. Ich rodzina to właściciele największej w Kostaryce sieci księgarni Universal. Marysia przyjaźniła się z Saritą Rowiński, która wprawdzie urodziła się w Kostaryce, ale rodzice postanowili wrócić do Polski w 1938 roku. Sarita przeżyła wojnę w polskich zakonach, a w 1946 roku wróciła do Kostaryki. Na weselu Marysi w Puerto Limón szła z dumą za przyjaciółką do ołtarza jako pierwsza drużna.

Niewielkie grupy polskich Żydów osiedliły się w latach dwudziestych i trzydziestych w większości krajów Ameryki Centralnej i w Meksyku. Ich znikoma liczba była spowodowana niestabilną sytuacją polityczną i głębokim kryzysem ekonomicznym. „Okupacja wojskowa Nikaragui, dominacja zagranicznych kompanii, wyzysk chłopów i pogarszające się warunki życia na środkowoamerykańskiej wsi przyczyniły się do radykalizacji społeczeństwa. O rewolucji, której słabe echa dotarły z Rosji, oligarchowie mówili ze wstrętem, a masy chłopów i robotników – z nadzieją. Wielki kryzys gospodarczy, który uderzył w zależną od zagranicznych odbiorców i północnoamerykańskich kompanii gospodarkę regionu, doprowadził do gwałtownych wystąpień zdesperowanych chłopów i robotników rolnych. Niepokoje, bunty społeczne i powstania przyczyniły się do objęcia władzy przez zwolenników twardych rządów i zaprowadzenia porządku przez brutalne zdławienie wszelkich form niezadowolenia społecznego. Zapanowały kilkunastoletnie rządy dyktatorskie w Salwadorze, Gwatemali, Hondurasie, Nikaragui. Trudności ekonomiczne i napięcia społeczne nie ominęły także Kostaryki i Panamy” – pisze Artur Gruszczak w *Ameryce Środkowej*.

Ze sprawozdania statystycznego wydziału konsularnego poselstwa RP w Meksyku z dnia 2 stycznia 1944 roku wynika, że przed wojną w Meksyku

mieszkało około trzech tysięcy polskich Żydów. („Element ten, który luźno tylko był związany z Polską, zachował pamięć o miejscu urodzenia, coś w rodzaju Srula z Lubartowa, poza tym zachował wspomnienia o niedostatku w Polsce, z powodu którego emigrował, oraz przesadne wspomnienia o antysemityzmie w Polsce, podniecanym stale przez wrogą nam propagandę. Pozostał polskim tylko ze względów oportunistycznych – paszport polski”). W Kostaryce było to dwieście pięćdziesiąt osób, w Nikaragui – dwadzieścia osiem, w Panamie – trzydzieści pięć. W Gwatemali dwieście, z czego „99% starozakonnych, z których zaledwie dziesiąta część przyznaje się do polskości i utrzymuje stosunki z Polską. Element ten dorabia się fantastycznie szybko, nie zawsze metodami godziwymi, przynosząc tym samym ujmę dla państwa polskiego. Przyjęta tu, jak w całej Ameryce Centralnej, nazwa »polaco« obejmuje Żydów z całego świata i – co gorzej – wszelkie żywoły niepożądane” – pisał Mieczysław Marchlewski w jednym z raportów. W innym notował: „Nie jest wykluczone, że Gwatemala będzie domagała się uwzględnienia konieczności obrony przeciw napływowi kupców żydowskich. Istotnie, całe ulice stolicy, a nawet mniejszych miasteczek zajęte są przez sklepy Żydów polskich. Jest ich tylko około dwustu, ale wszyscy oni zdołali w krótkim czasie założyć własne firmy, których rozrost jest dla władz Gwatemali przedmiotem niepokoju. Na roli nie ma ani jednego Żyda polskiego”.

W 1935 roku dziennikarz „Havaner Lebn” opisywał dramatyczną sytuację Żydów w Ameryce Centralnej: „Kiedy sytuacja w Polsce zmusiła Żydów do ucieczki, niewielka grupa dotarła także do Ameryki Centralnej. Żydzi znaleźli tam pracę, mieszkańcy okazali się gościnni. Mężczyźni spędzali całe dnie w barach, a noce z kochankami, dziwiła ich więc gotowość imigrantów do podjęcia jakiegokolwiek pracy. Korzystając z wolności, Żydzi założyli wspólnoty w krajach Ameryki Centralnej. Aż nagle, trzy lata temu, wszystko uległo zmianie. Lokalni handlarze dostrzegli niebezpieczeństwo w żydowskich klapperach, którzy odebrali im klientów. Patrioci nie mogli znieść tego, że Żydzi przybyli do ich kraju nadzy i bosi, a jednak umieli zaoszczędzić pieniądze. Najpierw dostało się Żydom z Gwatemali, gdzie zakazano handlu obwoźnego. Wielu Żydów straciło oszczędności i musiało uciekać z kraju

w czasach, gdy nie było dokąd uciekać. Jeszcze gorszy los spotkał ziomków z Salwadoru, gdzie tłum zaatakował Żydów, podjudzany plotkami, jakoby wszyscy oni byli bolszewikami, którzy przybyli do kraju, by wykorzenić chrześcijaństwo. Kilka osób zostało zamordowanych, wspólnota przeżyła tragiczne chwile”.

Najukochańszy prezydent

„Zbyt długo pozwalano na wstęp do naszego kraju cudzoziemcom. Większość Polaków, przekraczając granice Kostaryki, nie opłaciła nawet obowiązującej kwoty tysiąca colones” – wraz z Guitą i Ewą czytamy na głos wywiad z Leónem Cortésem Castro z maja 1936 roku.

– Cortés był dla nas niedobry. Zarządził śledztwo! Chciał nas wydalić z Kostaryki, uważał, że przebywamy tam nielegalnie. Zwiększył też sumę okazową o cztery tysiące colones. Przez jego antysemityczne działania liczba imigrantów obniżyła się o połowę – tłumaczy Guita. – Ania, zapisz nasze wyliczenia: w 1930 i 1931 roku przyjechało w sumie sto sześćdziesiąt osób. – Guita zerka na tabelę z liczbami, które zapisałyśmy poprzedniego wieczoru. – Między 1932 a 1939 rokiem trzysta sześćdziesiąt dziewięć, w tym kobiety i dzieci. Ostatnie dwie osoby przed Szoa przyplłynęły w kwietniu 1940 roku. W sumie było nas ponad pół tysiąca, połowa z tego to dzieci. Na początku lat trzydziestych przybywało nas około osiemdziesięciu rocznie, a w 1937 roku, przez Cortésa, do Puerto Limón dotarło zaledwie trzydziestu sześciu Polaków.

– Na szczęście wtedy stanął w naszej obronie Ricardo Jiménez, trzykrotny prezydent Kostaryki – wtrąca Lila.

Pokazuje mi artykuł z 1936 roku zatytułowany *Por qué y cómo entraron polacos* [Dlaczego i jak osiedlili się Polacy]. Jiménez tłumaczy w nim między innymi, że Kostaryka potrzebuje imigrantów, by zaludnić ziemię (według argentyńskiej receptury „civilizar es poblar” – cywilizować to zaludniać). Dziwił się, dlaczego akurat Żydzi są w Kostaryce niechciani, skoro wydali na świat takich geniuszy, jak Spinoza, Heine, Bernstein i Einstein.

– To był nasz najukochańszy prezydent, *el más querido* – opowiada Guita. – Lubił nas. Jak kostarykańscy handlarze skarżyli się, że przejeśliśmy

handel obwoźny i wprowadziliśmy płatność na raty, Jiménez odpowiedział: „Mądrzy z nich ludzie! Nie narzekajcie, tylko róbcie tak jak oni”.

– I patrzcie, siedemdziesiąt lat później kandydatem na prezydenta Kostaryki jest Luis Fishman Zonzinski – mówi Lila. – Jego ojciec przypląnął z Wyszkowa do Kostaryki w 1931 roku. Ale nie wiem, czy będę na niego głosowała, nie rozumiem jego hasła wyborczego: „*El menos malo es el mas bueno*” [Najlepszy wybór to najmniejsze zło]. Widziałyście spot reklamowy jego kampanii?

Guita prosi, żebym go wyświetliła w internecie. Dwanaście kobiet w ciąży i dwóch dorosłych mężczyzn przebranych za niemowlaki śpiewa: „Zagłosuję na Luisa, realistę, który nie obiecuje gruszek na wierzbie”. Czytamy komentarze pod publikacją na YouTube: „Czy to jakiś żart? O co chodzi?”. A dalej: „Przeklęty Żyd, trzeba było z nim skończyć w obozie, a nie przyjąć do Kostaryki”. Guita wyłącza ze złością komputer.

Łobuzy

– Musimy jeszcze ustalić, skąd tu przyjechali – sugeruje Ewa.

Po raz kolejny spotykamy się w czwórkę. Po analizie dokumentów, ale głównie dzięki znajomości osób urodzonych przed wojną, trzy prządki piszą w zeszycie, że większość imigrantów przybyła do San José z Warszawy i wschodniej Polski, z okolic Garwolina. W lutym 1930 roku na statku Magdalena do Kostaryki dotarł Marco Ajzenberg z żoną Mirą Blank, którzy prawdopodobnie rozpoczęli migrację z Żelechowa i pobliskich sztetli, jak Łuków, Kozienice i Łaskarzew. Po kilka, czasem kilkanaście osób wyjechało z Ostrowca (lub Ostrowi Mazowieckiej – zapis jest często nieczytelny), Wyszkowa, Siedlec, Białegostoku. W styczniu 1930 roku na statku s/s Orinoco podróżowało czterech dwudziestolatków z Kałuszyna: Mendel Steinberg Pasażerski, Josek Zonzinski, Jacobo Meinemer i Judko Steinberg (tak w dokumentach; w Polsce najprawdopodobniej to był Judka). Założyli fabrykę swetrów. Z Polski przywieźli dwie maszyny tkackie, ale szybko musieli też zacząć szyć kostiumy kąpielowe, bo nie przewidzieli, że w Ameryce będzie zbyt gorąco na wełniane ubrania. Judko jeździł nawet na delegacje do Japonii

i Stanów Zjednoczonych, by kupować nowe materiały dla fabryki. Pływał często do Panamy, Kolumbii i do Europy (w 1932 roku był tam aż dwa razy, w lipcu wracał z Amsterdamu, a w październiku z Boulogne-sur-Mer we Francji).

– Chodźmy odwiedzić Ofelię, siostrzenicę Judki – proponuje mi Guita. – Urodziła się w 1918 roku w Warszawie, na pewno pamięta wiele z tego okresu.

Żegnamy się więc z Ewą i Lilą i schodzimy do garażu, z którego wyjeżdżamy luksusowym volkswagenem. Guita przysuwa fotel samochodu tak blisko kierownicy, że okularami niemalże dotyka przedniej szyby. Chichocze na swój widok w lusterku. Prosi, bym nie wspominała jej dzieciom o naszej wycieczce. Ze względu na słaby wzrok i brak orientacji nie pozwalają jej prowadzić. Długo krążymy po San José, aż znajdujemy dom Ofelii. Mieszka w skromnym, niskim budynku o błękitnej fasadzie. Wita nas na altanie uściskiem szczupłej dłoni, której skóra jest cienka jak papier, ale w dotyku atlasowa. Ma na sobie elegancką koronkową bluzkę, a białe włosy upięła kilkoma wsuwkami w mały kok. Porusza się na wózku, który popycha jej sześćdziesięcioletnia córka. Ofelia od razu pyta mnie po polsku: „Jesteś chrześcijańska czy żydowska?”. Prowadzi nas do skromnego salonu i rozpoczyna opowieść. O dzieciństwie w Warszawie mówi tylko po polsku, aż do momentu, gdy mama i tata sprzedają meble, by zgromadzić jak najwięcej pieniędzy na podróż do Kostaryki. Wtedy zaczyna mieszać dwa języki. O wyprawie i pierwszych latach w Kostaryce opowiada po hiszpańsku. Tak jakby język polski należał do życia, które przestało istnieć, gdy transatlantyk opuścił port w Amsterdamie. Ostatnie polskie słowa – „Niemcy” i „cierpieć” – wypowiada, gdy pytam o to, co stało się z jej rodziną w czasie wojny. *Mi familia tenía una farmacia en Varsovia entonces, cuando entraron Niemcy, tomaron las pastillas venenosas, no querían sufrir* [Moja rodzina miała w Warszawie aptekę, więc jak weszli Niemcy, połknęli tabletki z trucizną, nie chcieli cierpieć].

Guita prosi Ofelię, by powiedziała nam coś o swoim wujku. Mówi o książce, którą piszemy wraz z Ewą i Lilą. Z pomocą córki starszej pani i zdjęć ułożonych chronologicznie w albumie rodzinnym łatwiej nam poruszać

się w labiryncie pamięci Ofelii, która przypomina sobie dużo szczegółów. Mimo to czasem nie wie, do którego momentu życia je dopasować – nie jest na przykład pewna, czy nowojorskim metrem jechała w latach trzydziestych czy siedemdziesiątych. Udaje nam się jednak częściowo odtworzyć historię jej wujka Judki Steinberga.

Dzięki fabryce swetrów Judce powodziło się bardzo dobrze. Gdy dostał list od brata Ofelii z Warszawy, który chciał uciec z Polski przed wojskiem, od razu kazał mu wsiąść na pierwszy statek do Ameryki Centralnej. Wysłał mu też dolary na podróż. Rok później, w 1934, dzięki wujkowi chłopiec zarobił wystarczająco dużo, by wysłać bilety swoim rodzicom i siostrze. Wszyscy byli pod wrażeniem jego zaradności. Sprzedali wszystko, co mieli, i pojechali do Kostaryki – wyobrażali sobie, że pieniądze leżą tam na ziemi. Byli rozczarowani, gdy w San José zobaczyli Kostarykan bez butów, a na ulicach drewniane wozy zamiast samochodów. Ofelia płakała przez sześć miesięcy, chciała wracać do Warszawy. Gdy w 1938 roku jej tata postanowił odwiedzić rodzinę w Polsce, zabrał z sobą córkę, która tęskniła za szkolnymi koleżankami. W Warszawie się rozchorował i po roku zmarł (na jego grobie Ofelia kazała napisać po polsku: „Żył lat 51. Kochanemu mężowi i ojcu”). Dziewczyna, wtedy dwudziestoletnia, kupiła bilet na statek i wyruszyła w samotną wyprawę do Kostaryki. Ścisnęła niewielką torebkę, w której trzymała kostarykański paszport. Z polskim dokumentem tożsamości nie byłoby jej tak łatwo podróżować pociągiem przez Europę. Kapitanem holenderskiego statku okazał się ten sam człowiek, który przywiózł ją z ojcem do Europy. Całą drogę rozmawiali. Na Barbadosie, w pierwszym karaibskim porcie, do którego zawinął okręt, na Ofelię czekała niespodzianka. Ukochany, którego zostawiła w Kostaryce, nie mogąc się doczekać jej powrotu, przyплыł na wyspę, a wieczorem się oświadczył. Kolejnego dnia kapitan udzielił im ślubu. Noc poślubną spędzili w ciasnej kajucie na transatlantyku zmierzającym w stronę Ameryki Centralnej.

Guita dopytuje, jak się poznali, więc Ofelia opowiada, że Jaime był kolegą jej brata, tak samo jak on pracował jako klapper i po pracy chodził na zupę do restauracji prowadzonej przez jej mamę. Był to okres, gdy wspólnota żydowska składała się prawie z samych mężczyzn, więc młoda kobieta była na

wagę złota. Do Ofelii zalecali się wszyscy młodzi żelechowiacy, którzy wynajmowali pokoje u jej rodziców w domu. Mieszkali po dwóch, czasem po trzech w jednym pomieszczeniu.

Ofelia pamięta opowiadane sobie przy kolacji, pełne przygód historie o imigrantach. Abraham Faingezicht i Mojżesz Rudelman przybyli do Kostaryki w 1931 roku z kolumbijskiego więzienia, gdzie trafili za nielegalne przekroczenie granicy (w paszportach mieli wizy do Kostaryki, ale na statku ktoś powiedział im, że w Kolumbii szybciej staną się milionerami). Przed głodem uratował ich rosyjski samowar, jedyny wartościowy przedmiot przywieziony przez nich z Polski. Co rano zastawiali go w lombardzie w San José, a za otrzymane od sprzedawcy pieniądze kupowali materiały. Cały dzień chodzili z walizami od drzwi do drzwi, by wieczorem odkupić samowar i odłożyć parę groszy na jedzenie. Z czasem przenieśli się w góry, do San Isidro de Coronado – w tygodniu pracowali, a w weekendy wracali do rodziny w San José. Pokonywali konno niebezpieczne, kręte ścieżki Cerro de la Muerte i w odciętych od świata wsiach sprzedawali ubrania. Spali zwykle u tego samego chłopca, którego dzieci pomagały im wieczorami przy koniach. Koniem Abrahama przez długi czas opiekował się kilkuletni Alberto Monge, przyszły prezydent Kostaryki, który ożenił się z Żydówką Doris Yankelwitz.

– Pierwsi imigranci to były łobuzy – podkreśla kilkakrotnie Ofelia. – Awanturnicy, którzy chcieli uciec jak najdalej od domu. Ci przybyli po wojnie byli smutni. Opuszczali Polskę, bo nie mieli na świecie nikogo oprócz ciotek w Kostaryce, które widzieli przed wojną raz w życiu.

W drodze powrotnej do domu Guita proponuje, byśmy poszły do kina, to nas rozweseli. Wybiera jedyną komedię w repertuarze, z Robertem De Niro. Po seansie kupujemy lody i w samochodzie jemy je ze wspólnego okrągłego kubelka. Guita postanawia wtedy, że w książce nie będziemy opisywać tego, co przeżyli kostarykańscy Żydzi w obozach koncentracyjnych, choć na pewno kilka stron poświęci smutnym imigrantom. Tłumaczy, że o wojnie już wszyscy słyszeli wystarczająco, teraz potrzeba książki o tym, co było przed wojną. O życiu.

Polska nie chce Joska

– W sumie to dlaczego w Polsce nas nie chcieli? – pyta mnie pewnego dnia Guita, a ja milczę. Dopiero po kilku miesiącach wracam do jej pytania i starając się na nie odpowiedzieć, sięgam do historii Joska Rozensztajna, który przyłynął do Kostaryki w grudniu 1929 roku. W 1931 roku starał się o naturalizację. Pisał w liście do sekretarza ministra stosunków międzynarodowych w Kostaryce: „W Polsce studiowałem i pracowałem z ojcem jako księgowy w jego przedsiębiorstwie handlującym drewnem. Mój ojciec jest zamożny, może pochwalić się bardzo dobrą reputacją, a ja zawsze starałem się być synem zasługującym na jego dobre imię. W 1929 roku wyjechałem na Kubę, gdzie pracowałem w zakładzie obuwniczym w Hawanie. Potem dotarłem do Kostaryki na statku Suriname i tu osiedliłem się z moją żoną, z którą kieruję niewielką fabryką z obuwiem. Wyjątkowe warunki panujące w tym kraju, gościnność jego mieszkańców, spokojne życie, jakie można tu wieść, i gwarancja rozwoju, którą zapewnia swoim ciężko pracującym obywatelom, to wszystko sprawia, że tak bardzo wielbię Kostarykę, iż chciałbym zostać jej obywatelem”.

Josek Rozensztajn chciał zapewne jechać do Ameryki, ale sześćdziesiąty siódmy Kongres USA zatwierdził w maju 1921 roku ustawę o kwotach. „Wchodzi ona w życie 3 czerwca i ma obowiązywać przez rok, ale jest przedłużana do 1924 roku – do następnej, jeszcze ostrzejszej ustawy kwotowej. Od tej pory każda narodowość otrzymuje swój limit wstępu do Stanów. Wynosi on trzy procent liczby członków tej narodowości żyjących w Stanach w 1910 roku” – pisze Małgorzata Szejnert w książce *Wyspa klucz*. Ameryka zamyka granice, żydowscy imigranci płyną więc do innych portów: do Buenos Aires w Argentynie i Rio de Janeiro w Brazylii. Inni do Kanady i Palestyny. Gdy w 1930 roku Argentyna wprowadza kwoty, Stany Zjednoczone i Kanada zaostrzają kontrole na granicach, zdesperowani imigranci kupują bilety na statki do krajów, o których nigdy nie słyszeli: Kuba, Gwatemala, Paragwaj, Kolumbia, Kostaryka.

Josek był jednym z 396 tysięcy Żydów, którzy między 1921 a 1937 rokiem wyemigrowali z Polski. Deklarując Kubę jako cel emigracji, planował prawdopodobnie omińnięcie coraz bardziej restrykcyjnych przepisów imigracyjnych USA. Jak pisze Anna Kicinger: „Osoby wyjeżdżające na Kubę

lub do Meksyku podejmowały próby przedostania się do USA przez zieloną granicę w przypadku Meksyku lub nielegalnie na statkach towarowych lub handlowych z Kuby. Trudno oszacować, ilu osobom te plany się powiodły [...]. Ograniczenie możliwości imigracji do głównego kraju docelowego polskich migrantów zaowocowało zarówno zmianą kanałów migracyjnych, jak i przesunięciem przepływów ku innym, bardziej otwartym państwom amerykańskim”.

Josek nie chciał mieszkać w Polsce, ale i Polska wolała, by przeprowadził się za ocean. Międzywojenny potencjał migracyjny chętnie wykorzystywano w celach modyfikacji struktury narodowościowej kraju. Mimo że mniejszości etniczne i narodowe stanowiły jedną trzecią populacji Polski, to ich wkład w budowę państwowości uważano za drugorzędny. Anna Kicinger zauważa, że polityka emigracyjna w tamtym czasie była „traktowana jako narzędzie w celu takiego kształtowania struktury narodowościowej, by wzmocnić polski stan posiadania na terenach o mieszanym składzie etnicznym”. Dowodem na to jest protokół z posiedzenia Międzyministerialnej Komisji Emigracyjnej z 24 lutego 1930 roku, w którym zawarte są wytyczne dla Ministerstwa Opieki Społecznej prowadzącego w kraju werbunek emigrantów zamorskich i kontynentalnych. Zasady były następujące: „1. Popierać emigrację mniejszości narodowych z terenów o chwiejnej przewadze mniejszości narodowych lub Polaków. 2. Nie hamować emigracji mniejszości narodowych z innych terenów Rzeczypospolitej Polskiej. 3. Nie dopuszczać do emigracji Polaków z terenów wymienionych w punkcie 1. oraz z terenów o zdecydowanej przewadze mniejszości narodowych”.

Ministerstwo Spraw Zagranicznych II Rzeczypospolitej podjęło w drugiej połowie lat trzydziestych rozmowy na temat emigracji Żydów z wieloma krajami. Stwierdzono, że „państwa wysoko cywilizowane nie wchodzą w rachubę ani dla emigracji czasowej, ani tym bardziej zorganizowanej, natomiast mają duże znaczenie dla emigracji indywidualnej, kierującej się do krewnych. Większe szanse stwarzała [...] emigracja do krajów niecywilizowanych”.

Smutni imigranci

– Jaime opowie ci o smutnych imigrantach, a potem wszystko zanotujemy w naszej książce. Ja już nie mam siły tego słuchać. – Guita wysłała mnie do Jaimego Tishlera, pięćdziesięcioletniego fotografika. Jego rodzice przyjechali do Kostaryki w 1948 roku.

Jaime na wstępie tłumaczy mi, że to dla niego bardzo emocjonujące spotkanie, nigdy w życiu nie rozmawiał z Polką. Drżą mu ręce. Siedzimy w jego biurze i z nerwów zapalamy jednego papierosa po drugim.

– Polacy skazali moją rodzinę na śmierć. Tata opowiadał mi o Polsce co niedzielę. Robił to z desperacji. Zanim jednak zaczął mówić coś więcej, wiele lat pytałem go, dlaczego nie mam babci ani dziadka. Moi koledzy, których rodzice przyjechali przed wojną, spędzali święta z rodziną, a my ze znajomymi, którzy byli tak jak moi rodzice ofiarami Szoa. Tata wiele lat zbywał mnie tak samo: „Rodzina zginęła na wojnie, synku”. I więcej ani słowa. O Polsce rozmawiali z mamą w jidysz, czasem po polsku. Specjalnie, byśmy z siostrą nic nie zrozumieli. Wszystko zmieniło się, gdy zmarła moja mama. Miałem wtedy osiem lat. Według taty zabiło ją to, że moja siostra wyszła za mąż za goja. Tata obwinał się o jej śmierć, był przekonany, że gdyby jego córka wiedziała, co ich spotkało w latach trzydziestych i podczas wojny, nie zdecydowałaby się na małżeństwo z Kostarykaninem. Dlatego postanowił co niedzielę opowiadać o Polsce. Zabierał mnie do parku i godzinami mówił. Nie oszczędził mi żadnego szczegółu, pamiętał dokładnie miejsca i daty, nazwiska Polaków, którzy donieśli na moich dziadków i wujków. Tata powtarzał wielokrotnie, że byliście gorsi od Niemców, że to od nich nauczyliście się antysemityzmu.

Milczymy. Siwy dym od papierosów zdaje się gęstnieć. Robi mi się duszno. Jaime łapie mnie za rękę i uśmiecha się smutno. Mówi, że odczuwa ulgę, opowiadając o tym. Odpowiadam, że rozumiem, choć jest mi z tym trudno. Jaime otwiera okno, do pokoju wreszcie wpada świeże powietrze, które pachnie wilgocią. Podchodzi do kredensu, z którego wyciąga opasłą teczkę. Rozsypuje na biurku jej zawartość. Od dawna zbiera wszelkie informacje na temat powojennej imigracji. Pytam, już spokojnie, ilu polskich Żydów znalazło schronienie w Kostaryce po wojnie.

– W latach 1945–1948 od stu sześćdziesięciu do dwustu dwudziestu pięciu. To szacunki, bo nikt tego nigdy nie policzył. Wszyscy mieli tu znajomych albo rodzinę, wielu przemierzyło ocean pod fałszywymi nazwiskami, udając synów lub braci zamieszkałych w Kostaryce przyjaciół sprzed wojny. Łatwiej ich było dzięki temu sprowadzić do Ameryki. Pochodzili z tych samych sztetli: większość była z okolic Żelechowa, część z Siedlec, inni z Białegostoku. Między 1949 a 1953 rokiem dużo osób wyjechało do Stanów Zjednoczonych. Prezydentem był wtedy Otilio Ulate. Ludzie się go bali. Pod koniec lat siedemdziesiątych wspólnota żydowska liczyła 1586 członków, obecnie jest nas około trzech lub czterech tysięcy. Nikt tego nie policzył, ale oprócz potomków polskich Żydów (ocenia się, że jest ich dwa i pół tysiąca), są też Amerykanie, Izraelczycy i Żydzi przybyli z Ameryki Południowej. Imigranci sprzed wojny różnili się od tych przybyłych w latach czterdziestych. Chodzili do tej samej synagogi, ale nie mieszały się. Prowadzili osobne życie towarzyskie. Przedwojenni z przedwojennymi, powojenni z powojennymi.

– *Griners* i *gellers*? – pytam, przypominając sobie porównanie imigrantów do niedojrzałych i dojrzałych platanów, o których opowiadała Ewa.

– Tak. Wszyscy przyjaciele mojego taty byli *griners*. Zieloni i żółci mieli inne doświadczenia i z tego powodu nie mogli się porozumieć. Wielu przedwojennych dobrze myślało o Polsce. Ich wspomnienia wyrażały tęsknotę za dzieciństwem. W Polsce nie angażowali się w politykę, może nawet nie odczuli antysemityzmu. *Griners*, przez wojnę, nie pamiętali beztroskiej młodości. Polska była dla nich miejscem obozów koncentracyjnych, nienawistnych sąsiadów i pogromów. Wielu z nich nie chciało tam wrócić, nawet po latach na wycieczkę z wnukami. Ciągle bali się, że Polacy ich zabiją. Kupowali bilety i w ostatniej chwili odwoływali podróż. *Gellers* i *griners* inaczej też podchodzili do religii. Powojenni uchodźcy wątpili w istnienie Boga. Mieli z nim trudną relację. Mój tata ciągle się zastanawiał: gdzie był wtedy Bóg? Dlaczego tak okrutną karę zesłał na cadyków? Ale pozostał tradycjonalistą: dom był koszerny, ja musiałem nosić pod ubraniem talit katan, a w trakcie modlitwy tefilin. Modliliśmy się codziennie, choć tata mówił, że jest obrażony na Boga. Nigdy nie słyszałem, by powiedział: „Bóg nie istnieje”. „Istnieje – powtarzał – ale nigdy mu nie wybaczę tego, na co pozwolił”.

Duchy

Coraz częściej jestem gościem w złotym apartamentowcu Guity. Mam tam nawet swój pokój. Nieraz zdarza nam się gadać do nocy, najczęściej o rodzinie, polityce i miłości. Dużo się śmiejemy, Guita uwielbia żartować. Uważa, że dobrana z nas para, bo obie jesteśmy spod znaku Bliźniąt.

– Dzisiaj jest dobra noc, by wywołać duchy – mówi pewnego razu – Chodź, Ania! – woła mnie z głębi ciemnego, długiego korytarza. Zapala lampkę na stoliku, żółte światło osiada jak mgła na ciemnozielonej ścianie, oświetlając kilkanaście zdjęć w złotych ramach. – To mój dziadek, ojciec mamy. Czy nie wygląda jak prototyp polskiego Żyda? – wskazuje na czarno-białą fotografię starszego pana z długą, siwą brodą. Opowiada szeptem, jakby się bała, że dziadek ją usłyszy. – Nie chciał puścić swojej córki do Ameryki. Nie znał dobrze jej młodego męża Lejba Weinstoka i zastanawiał się, czy nie jest jednym z alfonsów sprowadzających do Ameryki Południowej naiwne, młode kobiety. W całej Polsce mówiło się wtedy o handlu Żydówkami w Ameryce, rabini w synagogach przestrzegali, by ojcowie nie puszczali córek w samotną podróż przez ocean. Radzili, by nie emigrować, ale zostać w Polsce. Mój dziadek pewnie nie wiedział, że młodzi mężczyźni sprowadzali Polki do Argentyny, nie do Kostaryki. Ameryka to była Ameryka. – Guita wzdycha. – To temat tabu. Nikt we wspólnocie żydowskiej nie chce rozmawiać o „naszych” prostytutkach, a na początku XX wieku było ich bardzo dużo, nawet sto tysięcy w samej Argentynie! Gdyby dziadek nie pozwolił mamie jechać do Kostaryki, nigdy nie poznałabym mojego męża Carlosa. Przystał na jej wyjazd dopiero, gdy tata wysłał mamie pieniądze na drogę i bilety na statek. Popłynęła do Ameryki w futrze! – Guita pokazuje zdjęcie Ruchli. – Pamiętam, że leżało potem głęboko w szafie, odkryłam je pewnego dnia, bawiąc się w chowanego z braćmi. Rzucaliśmy się szalikiem z głową lisa, którego się brzydziliśmy – wzdryga się Guita.

Oglądamy współczesne zdjęcie Hermana, starszego brata Guity, który jako pierwszy w Ameryce Centralnej wykonał operację transplantacji nerki. Dwa razy został ministrem zdrowia.

– Z Hermanem przymierzaliśmy też perukę mamy, którą nosiła, mimo że nie była bardzo religijna. Dużo nad tym rozmyślałam: w Polsce stosowanie się do przykazań Talmudu było naturalne, stanowiło element życia. Ale w Kostaryce stało się wyborem. Mimo to mama co rano upinała sztuczne włosy. Nie mogłam tego zrozumieć. Nie chciałam też jeść koszernie, mimo że mama bardzo tego przestrzegała. Niekoszernie przysmaki wcinałam po kryjomu.

Wyobrażam sobie kilkuletnią Guitę, która siedzi pod stołem i zajada się *chicharrones*, chrupiącymi wieprzowymi skórkami.

– Rodzinę Carlosa powiesiłam na przeciwległej ścianie, obok szafy męża. Nie ruszałam nic od jego śmierci. – Stajemy przy drewnianym kredensie. Na środkowej półce stoją trzy miniaturowe flagi: Izraela, Polski i Kostaryki. Godło Polski. Pocztówka z Warszawy. Krakowiak i krakowianka zamknięci w dwóch plastikowych opakowaniach. Książki: Amos Oz po hiszpańsku, Biblia po angielsku, Mały słownik hiszpańsko-polski, polsko-hiszpański, *Żydówka z Toledo*, *Polish Rescuers of Jews during the Holocaust* [Polacy ratujący Żydów w trakcie Holocaustu], kabała. – Zawsze żałowałam, że nie poznałam Rozalii Blau, siostry Carlosa. Mówiło się na nią „Doktor Blauowa”, była chirurgiem. O Rozalii dużo opowiadał nam Tadeusz Pankiewicz, przyjaciel mojego męża, krakowski aptekarz, który uratował wielu Żydów. Zobacz, co przewiozłam nielegalnie przez granicę z jego apteki Pod Orłem. – Guita staje na palcach, sięga na ostatnią półkę i ostrożnie zdejmuje kilka szklanych probówek. – Carlos i Tadeusz znali się przed wojną. Potem Carlos przysyłał mu paczki z ubraniami, a pomiędzy nimi ukryte dolary. Pisali długie listy. W jednym z nich Tadeusz poprosił, byśmy przyjechali odwiedzić go w Polsce. Nie mógł zdradzić dlaczego. Nie pamiętam, który to był rok, ale komunizm panował wszędzie: na szarych ulicach, pustych lotniskach. Spaliśmy w jedynym hotelu w Krakowie. Tadeusz codziennie rano przychodził zjeść z nami śniadanie. W restauracji pojawiał się jak duch, poruszał bezszelestnie, przy stoliku ciągle oglądał za siebie. Wyznał Carlosowi, że udało mu się zachować kilka rzeczy z apteki, między innymi szklane flakony, które zakopał w ziemi. Nie wie, co z nimi zrobić, a są dla niego bezcenne. Niewiele myśląc, powiedziałam, że najbezpieczniejsze będą w Kostaryce. Podróżowałam z paszportem dyplomatycznym, nikt nie sprawdzał moich bagaży. Tadeusz

każdego ranka przynosił do hotelu plastikową siatkę z jedną lub dwoma probówkami. Owijałam je w walizce grubymi swetrami. Na lotnisku bałam się aresztowania, nie wiedziałam nic o komunistach, ale wyobrażałam sobie najgorsze rzeczy: tortury, wieloletnie więzienie na Syberii. – Guita wzdryga się na to wspomnienie. – Pamiętam jak dziś: białe, rażące światło, dwa stoły do sprawdzania bagaży, jeden szeroki, drugi zwykły, wielkości szkolnego biurka. Między nimi kontroler, barczysty i groźny. Popatrzył mi głęboko w oczy, uderzył ręką w walizkę i powiedział „dyplomata”. To koniec, zadrzałam. Ale powtórzyłam za nim „dyplomata”, a on jednym ruchem przerzucił walizkę dalej. Nigdy w życiu bardziej się nie bałam.

Największą przyjemność sprawia Guicie mówienie o mężu Carlosie. Mruży lekko oczy, policzki jej różowieją. Klucząc w historiach z przeszłości, wygląda, jakby relaksowała się z każdym zdaniem. Gdy rozmawiamy o Carlosie, zwykle siedzimy na wygodnej kanapie w salonie. Guita odkłada wszystko, czym akurat się zajmuje, już nie martwi się, że brakuje mąki do chałki na piątek. Zdjęcie męża stoi na stoliku obok, a Guita opowiada o nim z taką pasją, aż czasem zdaje mi się, że on siedzi z nami, tylko akurat nie ma nic do powiedzenia.

– Nie chciałam z nim chodzić. Miałam wtedy piętnaście lat i starsi o dwa lata chłopcy wydawali mi się równi wiekiem z moimi rodzicami, a co dopiero dwudziestopięciolatek! Ale on uparcie zjawiał się na spotkaniach koła młodzieży żydowskiej, którego byłam przewodniczącą. Nie chciałam nawet iść z nim na oranżadę, miałam w planach studia za granicą, a nie ślub. Carlos odwiedził nawet moich rodziców. Od razu go pokochali, więc obrazili się, gdy powiedziałam, że go nie chcę. Po kilku miesiącach tata spotkał Carlosa przypadkowo na ulicy i zaprosił do domu na kawę. Carlos wszedł do kuchni, uśmiechnął się do mnie szeroko i powiedział po hiszpańsku z okropnym polskim akcentem: „*Me echó por la puerta y volví por la ventana*” [Wyrzuciła mnie drzwiami, wróciłem przez okno]. Rozśmieszył mnie tym i po raz pierwszy pomyślałam, że nie jest taki zły. Po roku pobraliśmy się. Nie byłam w nim zakochana, ale nie żałuję tej decyzji. Był wspaniałym mężem i bardzo dobrym ojcem.

Guita wysyła pocałunek do Carlosa na zdjęciu. Poprawia ułożenie srebrnej ramki na stoliku z taką czułością, jakby kładła dziecko do snu. Przesuwa o centymetr w lewo.

– Carlos, masz zawsze na mnie patrzeć, pamiętaj! – Grozi mu palcem i śmieje się do mnie. Proszę, by opowiedziała mi o nim więcej. – W Polsce wołano na niego „Kazimierz”. Urodził się w Krakowie, kilka godzin przed śmiercią dziadka Jekutiela, którego zamordowali polscy bandyci dla pieniędzy. Carlos nie miał dużej rodziny, bo prawie wszyscy wyjechali do Ameryki. Brat jego mamy utonął na Titanicu, gdzie pracował pod pokładem. W czasie wojny spędził rok w Płaszowie i kolejny w Mauthausen. Nie chcę wchodzić w szczegóły. – Guita przerywa opowieść i patrzy w dal. Za oknem wieje porywisty wiatr, wprawiając w ruch długie liście bananowców. – Przetrwał dzięki temu, że ani na jeden dzień nie rozstał się ze swoim ojcem Naftalim. Dodawali sobie otuchy. Carlos całe życie powtarzał, że kto był świnia przed wojną, pozostał nią w trakcie wojny, nieważne, czy był Polakiem, Żydem, czy Niemcem. W obozie w Mauthausen niemiecki strażnik Hugo Herder przynosił mu codziennie kawałek chleba. Po wojnie próbował go odnaleźć i podziękować, pojechał nawet do Kilonii, z której ten pochodził, ale ślad po nim zaginął. Gdy Amerykanie przyszli ich wyzwolić, ojciec uratował Carlosowi życie. Rozdawano puszki z jedzeniem, ludzie jedli zbyt łapczywie, a potem umierali w wielkich bólach. Naftali kazał synowi jeść po jednej łyżeczce.

Po wojnie Carlos z Naftalim wrócili do Krakowa, by odszukać rodzinę: mama już nie żyła, ale Carlos miał jeszcze dwie siostry, Irenę i Franciszkę. Okazało się, że obie przetrwały obóz w Oświęcimiu. Franka wyjechała do Kostaryki, bo jej mąż miał tam siostrę. Po kilku miesiącach wysłała wizy ojcu i Carlosowi. Wyruszyli do Ameryki w maju 1948 roku. Płynęli trzy tygodnie starym statkiem s/s Katoomba, który zatrzymywał się w wielu portach na Karaibach: na Barbadosie, Martynice i Trynidadzie. Stamtąd kolejnym statkiem dostali się do Wenezueli, a potem do Kolumbii i Panamy. Po dziesięciu dniach kwarantanny odlecieli małym samolotem do Kostaryki. Gdy wyszli z samolotu, ktoś szarpnął Carlosa za ramię, popchnął i kazał wsiąść do samochodu. Ludzie dookoła pokrzykiwali do siebie, wydawali rozkazy

w obcym języku. Carlos widział ciemnoskórych policjantów z karabinami, ale bez butów, i podejrzliwie przyglądających mu się pracowników lotniska w zielonych spodniach do łydek. Kierowca, nic nie tłumacząc, uruchomił silnik. Nie wiedzieli, dokąd jadą, Carlos szepnął do ojca: „Zobaczysz, zabiją nas!”. Zatrzymali się przed eleganckim budynkiem, w którym chwilę później zostali zamknięci w areszcie na kilka godzin. Wtedy pojawił się Samuel Lustig, przyjaciel Carlosa z obozu koncentracyjnego. Carlos poczuł się bezpiecznie. Dzięki jego interwencji opuścili budynek, ale nigdy nie zwrócono im polskich dokumentów.

Służąca Guity Alma przynosi nam dwie tace, zimne coca-cole z rurką i po kawałku ciasta bananowego. Guita unosi brodę i wkłada rożek serwetki za kołnierz atłasowej koszuli z perłowymi guzikami. Serwetka kilka razy spada, Guita udaje, że daje jej klapsy: „niedobra serwetka”. Zwijamy się na kanapie ze śmiechu. Mówi, że czuje się ze mną jak w liceum.

– Wracając do Carlosa, wyobraź sobie, że nauczył się hiszpańskiego w trzy tygodnie. Z każdym dniem mówił coraz lepiej, bo pracował jako klapper, dużo przebywał z Kostarykanami. Jakiś czas potem założyliśmy sklep Eiffel i niewielką fabrykę swetrów, którą zarządzałam do 1993 roku razem z żoną wspólnika Carlosa Zofią Lustig. Wieczorami Carlos pomagał mi zajmować się naszą piątką dzieci. Śpiewał im kołysanki po polsku. Pamiętał dużo wylicznerek z dzieciństwa, które moje córki nucą do dzisiaj. „Temu dała, temu dała, temu dała, a potem prrrrrr... odleciała”. Tego wierszyka o sroczce i ja się nauczyłam! – Guita recytuje po polsku bez akcentu. – Mój mąż był znany ze swoich powiedzonek, które tłumaczył dosłownie z polskiego. Wszystkich nimi rozśmieszał: *Para pelear se necesitan dos* [Do kłótni trzeba dwojga], *La manzana no cae lejos del árbol* [Niedaleko pada jabłko od jabłoni], *Si no se tiene lo que se quiere, se quiere lo que se tiene* [Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma]. Po ślubie w naszym domu mówiło się w jidysz, bo obaj z tatą dopiero uczyli się hiszpańskiego. Często zdarzało im się rozmawiać po polsku, wtedy narzekałam, że nic nie rozumiem, przechodzili na jidysz, ale zaraz zapominali i znów mówili po polsku. W końcu mój teść kupił skarbonkę i przyrzekł, że za każde słowo po polsku wypowiedziane w mojej obecności będzie płacił karę. Dotrzymał słowa! – Guita ściąga serwetkę i odkłada tacę

na stolik obok. Bierze do ręki ciężką srebrną ramę ze zdjęciem męża i kładzie sobie na kolanach. Gładzi Carlosa po policzku. – Gdy byliśmy sami, często mówił do mnie „kochanie”. Wieczorami całował mnie w czoło i mruczał „Dobranoc, kochanie”. Wołał dzieci z altany: „Chodźcie do domu!”. Jak mówił „kocham cię” po polsku, znaczyło to dużo więcej od „*te quiero*”.

Czas przeszły

Po moim wyjeździe z Kostaryki w czerwcu 2010 roku piszemy do siebie z Guitą długie listy. „Na tym zdaniu się zatrzymam, bo ten e-mail jest tak długi, że mógłby zostać wydany w formie książki. Na pewno zaśniesz, zanim skończysz go czytać! Jeśli tak się stanie, nie mów mi o tym, bo będzie mi przykro!!!” – Guita stawia dużo wykrzykników, a ja spomiędzy nich słyszę jej śmiech.

Po pięciu latach, w styczniu 2016 roku, ponownie wyruszam do Kostaryki, by odwiedzić osoby, z którymi spędziłam rok na długich rozmowach. Piszę do Guity maila, ale nie odpowiada. Na szczęście jej córka Natalie odpisuje na Facebooku, że mama ma problemy z pamięcią. Pierwszego dnia w San José od razu idę do złotego apartamentowca, drzwi otwiera mi jak zwykle Alma. Tłumaczy, że Guita ma alzheimera. Mimo to, gdy mnie widzi, szeroko rozkłada ramiona i bardzo długo trzyma w miękkim uścisku. Znowu siadamy na kwiecistej kanapie, a obok nas Carlos w srebrnej ramie. Rozmawiamy o wielu rzeczach: o jej rodzicach, o sklepie, o dzieciach. Lecz Guita wciąż wraca do Carlosa. Chce rozmawiać tylko o nim, mam wrażenie, jakby przynosiło jej to ulgę. Jedno ją martwi i powtarza to wielokrotnie w trakcie naszego spotkania:

– Carlosowi było przykro, że nie nauczyłam się jego języka. Próbowалам, przyrzekam, ale nie miałam czasu. Musiałam się zająć dziećmi i obsłużyć sklep. Chciał, żebym mówiła po polsku, bo wtedy lepiej bym go rozumiała. A ja nie dotrzymałam słowa.

Guita zaczyna szlochać, więc siadam bardzo blisko niej i ją przytulam. Rozmawiamy o Carlosie przez kilka godzin, Guita opowiada wciąż te same historie. Nagle przestaje mówić o nim w czasie przeszłym: Carlos żyje, ale pojechał na delegację, a ja jestem jego znajomą z Polski. Alma zdradza mi

potem, że Guita czasem budzi się rano z płaczem. Martwi się, że nie ma obok niej Carlosa. Szuka go we wszystkich pokojach. Gdy nie znajduje, żali się Almie, że odszedł do innej kobiety.

Zanim Guita zapomni, kim jestem, wspomina jeszcze, że jej przyjaciółka Lila nie żyje, a notatki zginęły. Gdy pytam, czy to te same zapiski, które robiły przy pisaniu książki, Guita patrzy na mnie zdziwiona. Już nie pamięta, że chciała napisać książkę.

Dom Polski

Roman płynie do Kostaryki

W 1929 roku Dawid Sikora z Długosiodła namawia swojego przyjaciela, by płynął z nim do Kolumbii, ale Abraham Lewin odmawia, bo jest syjonistą i jeśli kiedykolwiek wyjedzie, to tylko do Palestyny. Poza tym nie chce zostawiać żony z dziećmi i dobrze prosperującego sklepu spożywczego. Dawidowi o Ameryce pierwszy raz opowiada kolega ze szkolnej ławki Lejb Fejnzejg Kalewic z Wyszkowa, którego brat przeniósł się kilka lat wcześniej do Nowego Jorku. Lejb chce wyjechać jak najprędzej, bo boi się służby w polskim wojsku – w Wyszkowie mówi się, że polscy żołnierze znęcają się nad żydowskimi kompanami. Jadą więc razem, obaj trzydziestoletni, Dawid i Lejb. Agenci imigracyjni w Warszawie (mogło być to biuro Orbisu przy ulicy Ossolińskich 8) sprzedają im bilety do Kolumbii, tłumacząc, że to kraj graniczący ze Stanami Zjednoczonymi. Kolejnym naiwnym mówią na przykład, że z Kostaryki można do Ameryki dojść pieszo. To praktycznie ten sam kraj. *Costa Rica, America, America, Costa Rica* – czyż to nie brzmi podobnie?

Dawid i Lejb płyną do Kolumbii w czerwcu 1929 roku, najprawdopodobniej z Hamburga, statkiem niemieckich linii HAPAG (regularne rejsy do Kolumbii i Ameryki Centralnej przez Karaiby zostały uruchomione już w 1871 roku). Zatrzymują się w Cherbourgu, na Trynidadzie i Curaçao. W Puerto Colombia okazuje się, że warunkiem otrzymania wizy jest posiadanie kwoty okazowej w wysokości stu piętnastu dolarów oraz „wezwanie od przebywających tam krewnych”. Poznani na statku Żydzi doradzają im, by płynęli dalej, bo w kolejnym porcie wystarczy dwadzieścia pięć dolarów.

Gdyby Lejb i Dawid zdecydowali się zostać w Kolumbii, całkiem możliwe, że założyliby w Bogocie sklep na Avenida Siete [Siódmej Alei],

nazywanej Corredor Polaco [Polskim Korytarzem]. W 1946 roku Jan Drohojowski „organizujący służbę dyplomatyczną PRL na terenie Ameryki Łacińskiej, dotarł także do Kolumbii, gdyż [...] domagała się tego liczna Polonia, przeważnie pochodzenia żydowskiego”. Narzeczona Lejba, Dora Rozensztejn Rzepka, płynie rok później. Ich ślub jest pierwszym w polskiej wspólnocie żydowskiej w Kostaryce, a Willie, najstarszy syn, to pierwszy urodzony tam chłopiec. Jaime, ich drugi syn, pamięta, że mama przywiozła z Polski wielkie skrzynie, a w nich kołdry i talerze, a także ciężkie kryształowe kieliszki i ręczny młynek do pieprzu.

Trzy miesiące po tym, jak Lejb i Dawid odkryli Kostarykę, do Puerto Limón dociera kolejna grupa imigrantów. Płyną eleganckim transatlantykiem s/s Orinoco, nazwanym jak rzeka Orinoko, z której wyżynnych terenów dorzecza spada najwyższy wodospad na świecie, Salto Angel w Wenezueli. Wśród nich jest grupa czterech młodych mężczyzn z okolic Garwolina, którzy prawdopodobnie znali się przed podróżą: Jacobo Aizenman (obecnie jego wnukowie handlują samochodami, będąc według „Forbesa” jednymi z dziesięciu najlepiej prosperujących biznesmenów w Ameryce Centralnej), Markus Aigenbaum (w San José będzie prowadził zakład szewski El Record), Adolfo Berlinski i Aron Melzer Samet (prawie wiek później jego dziewięćdziesięcioletnia synowa Amalia przypomni sobie, że na rodziców męża mówiło się po polsku „mamusia” i „tatuś”). W Hamburgu do ich bandy dołącza trzydziestoletni wówczas Roman Rowiński z Wołomina, który chce wysiać w Kolumbii, ale w bucie schowane ma zaledwie dziesięć dolarów. Nowi koledzy ze statku, z którymi będzie się przyjaźnił do końca życia, namawiają, by płynął z nimi do Kostaryki. Może któryś z nich przeczytał książkę lub artykuł w gazecie o Kostaryce dostępny w bibliotece na statku i teraz opowiada Romanowi, że to – jak piszą w broszurze z początku XX wieku – „Szwajcaria Ameryki Centralnej, ze względu na malownicze góry, wysokie na trzy tysiące metrów. Są też aktywne wulkany, ale nie ma lodowców. Mężczyźni, kobiety i dzieci mają białą skórę, nie ma tu Indian, którzy uciekli przed Hiszpanami wieki temu. Pociągi podobne są do tych w Stanach Zjednoczonych, fotele obite skórą, miękkie i wygodne. San José to małe, lecz zadbane miasto. Niezwykle zielone. Wydaje się, jakby bezpośrednie

połączenie kolejowe ze stacją nad Oceanem Atlantyckim nadawało miastu charakter okcydentalny. Nie ma tutaj krat w oknach i wąskich, nieprzejezdnych uliczek jak w Gwatemali. Domy budowane są po europejsku: jednopiętrowe, o ceglanych murach. Przez miasto przejeżdża też tramwaj, zupełnie jak w Europie. By się pokazać, jeżdżą nim największe elegantki w mieście. Z pokładu można zobaczyć wszystkie atrakcje miasta.

W sklepach sprzedaje się najnowsze kreacje prosto z Paryża, a witryny pozostają oświetlone nawet nocą. Mieszkańcy San José nie mają w zwyczaju spacerować, ale lubią nocne rozrywki. Z tego powodu wybudowano przepiękny teatr, którego nie powstydziliby się żadna europejska stolica. Przypomina paryską operę, choć skromnej wielkości. Szkoda tylko, że brakuje aktorów.

San José nie przypomina ani Ameryki tropikalnej, ani spalonej Andaluzji, a bardziej Lucernę bez błękitnego jeziora lub Niceę bez morskiego brzegu. Rewolucje w Kostaryce to rzadkość, od lat nie było tutaj wojny domowej. Strzelaniny słychać rzadko, więzienia są puste. Większość mieszkańców tego kraju umie czytać, w San José codziennie wychodzi dziesięć dzienników. Na półkach w księgarniach łatwo o najświeższe tytuły zza oceanu”. (Może któryś z pasażerów opowiedział młodemu Żydom, że „w San José mieszka około trzydziestu tysięcy osób. Zdają się spokojni, dobrze wychowani. Gdy mówią, nie gestykują jak mieszkańcy innych krajów Ameryki Centralnej. Ubrani są stosownie, nawet chłopcy noszą się po europejsku, choć wielu chodzi boso. Kobiety są ładne, elegancko uczesane, otulone mieniącymi się w słońcu, kolorowymi chustami z jedwabiu. Młode dziewczęta, chcąc podkreślić swe wdzięki, używają makijażu. Niestety nakładają go za dużo. W stolicy działa kilka banków – Kostaryka była zresztą pierwszym krajem w Ameryce Centralnej, który otworzył swój bank w 1857 roku. Funkcjonuje także wiele szkół, zarówno dla chłopców, jak i dla dziewcząt. Uczennice noszą eleganckie mundurki: granatowe spódnice i białe koszule w paski, a także czarne kapelusze o szerokim rondzie przewiązane żółtą wstążką. Wokół San José ciągną się kilometrami plantacje kawy. Co roku eksportuje się jej 15 milionów kilogramów”.

Po tych opowieściach Roman musiał być przekonany, że chce płynąć do Kostaryki.

Tajemnica Romana

Dokumenty o Casa de Polonia, Domu Polskim, znajdują się w teczce z napisem „Poufne” w Archiwum Akt Nowych w Warszawie. Zanim na nią trafiłam, wiedziałam zaledwie, że Casa de Polonia to tajemniczy klub „zrzeszający około stu członków, lecz liczący tylko dwóch Polaków chrześcijan Dom Polski w San José. Zdaniem posła RP jest to organizacja aktywna, patriotyczna, ofiarna, składająca się z Żydów z zachodniej Małopolski. Umiąca znaleźć dostęp do prasy i zrećźnie służy propagandzie sprawy polskiej. Jest reprezentowana w komitecie międzyalianckim w San José de Costa Rica. Utrzymuje żywy związek korespondencyjny z Poselstwem”.

Wszystkich moich kostarykańskich rozmówców pamiętających lata trzydzieste pytałam, czy słyszeli o Domu Polskim.

– Casa de Polonia? – dziwili się. – Niemożliwe, by istniała organizacja o takiej nazwie. Żaden z naszych ojców nie lubił Polski ani za nią nie tęsknił!

Po kilku miesiącach poszukiwań w archiwum Centro Israelita w San José trafiłam na niezwykłą fotografię. Niski, chudy blondyn w zbyt dużym białym garniturze trzymał niczym tarczę godło Polski. Obok niego stały trzy dziewczynki przebrane w kolorowe stroje łowickie: długie spódnice w paski, gorsety wyszywane w kwiaty, białe koszule i korale. Wokół nich kilku mężczyzn w kapeluszach. Był to przedruk z 2000 roku oryginalnego zdjęcia w „Hayom”, gazecie kostarykańskiej wspólnoty żydowskiej. Pod zdjęciem podpis: „¿Cómo explicar esto?” [Jak to wytłumaczyć?]. Pokazywałam tę fotografię wielu Żydom, ale tylko kiwali głowami. Nie wiedzieli, kim są uwiecznieni na niej ludzie. Wreszcie w kwietniu 2010 roku udało mi się rozwiązać część zagadki Domu Polskiego. Dzięki Guicie poznałam Samuela i Saritę Rowińskich. Samuel był znanym w obu Amerykach powieściopisarzem i dramaturgiem, dyrektorem Teatru Narodowego w San José. Znał Alejo Carpentiera, Julio Cortázarę i Valéry’ego Giscarda d’Estaing.

Gdy pokazuję zdjęcie Samuelowi, rozpromienia się.

– Ten chłopiec w czapce krakowiaka to ja! – mówi wesoło. – Mój tata Roman Rowiński, zorganizował paradę w Dzień Niepodległości Kostaryki, 15 września 1941 roku. Zapraszał Kostarykan na polski kiermasz. Organizował tam zbiórkę pieniędzy dla polskich lotników, ofiar wojny. To wszystko w ramach aktywności Domu Polskiego, którego był prezydentem. Ale nikt nie chciał należeć do tej organizacji. Wszyscy się z niego śmiali. Nie potrafię wytłumaczyć, z jakiego powodu tak bardzo kochał Polskę, może dlatego, że był żołnierzem w polskiej armii?

Samuel nie wiedział, że tajne działania ojca uratowały polskich Żydów przed ekstradycją z Kostaryki.

Cud nad Wisłą

– Tato był jedynym patriotą w Kostaryce. W salonie wisiało jego zdjęcie, na którym siedzi wyprostowany na białym koniu. Ma na sobie sztywny mundur. Uczestniczył w wielu bitwach, o czym opowiadał bez ustanku. Mama najpierw się tylko śmiała, ale potem zaczęło ją to denerwować. Uważała, że swoimi wzniosłymi historiami z Polski uraża ich gości, których większość uciekła stamtąd z powodu antysemityzmu. W końcu wyrzuciła zdjęcie na śmietnik, tata się obraził, ale przestał mówić o Cudzie nad Wisłą, choć była to batalia, którą najbardziej lubił relacjonować – opowiada mi Reina, najstarsza córka Romana, która godzi się na rozmowę ze mną dopiero w styczniu 2016 roku. Ma pięćdziesiąt dwa lata, urodziła się w Warszawie, ale całe dzieciństwo spędziła w domu dziadków w Łapach koło Białegostoku. W 1931 roku przyjechała z mamą i siostrą do Kostaryki. Mieszka w San José na ogrodzonym drutem kolczastym osiedlu, którego niskie, pomalowane na żółto domy przypominają luksusowe rezydencje z amerykańskich seriali. Poruszając się za pomocą balkoniku, który odbija ślady w miękkich dywanach, Reina prowadzi mnie po domu i pokazuje czarno-białe zdjęcia w złotych ramach, snując rodzinne historie. – Wiesz, że nawet książę Karol był ciekawy, skąd polscy Żydzi wzięli się w Kostaryce? Mój syn poznał go w pałacu Buckingham, pracował wtedy w ambasadzie Kostaryki w Londynie. Książę zapytał go, jak to możliwe, by Kostarykanin miał polskie nazwisko. Syn

opowiedział mu o dziadku, co niezwykle go rozbawiło! Mojej mamie Dinie nie było do śmiechu, gdy weszła do domu, który tata wynajął dla nas w 1931 roku. Przyzwyczajona do komfortowych warunków swojego rodzinnego domu, nagle zamieszkała w dwóch pokojach z oknami bez szyb i karaluchami w szafach, których zewnętrzne ścianki pokryte były przypominającą mech zieloną warstwą zgnilizny. Przez wiele lat nie wypakowała drewnianych skrzyń przywiezionych z Łap. Trzymała tam kołdry puchowe, ale nie chciała ich wyjąć, bo ciągle miała nadzieję, że niedługo wrócimy do Polski. Została tylko dlatego, że bardzo kochała moją tatę.

Ameryka

Roman wyjechał z Polski, bo rodzice narzeczonej go nie akceptowali. Zakochani pobrali się więc w sekrecie i zamieszkali w Warszawie, gdzie urodziły im się dwie córki: Regina i Tola (w Kostaryce Reina i Thelma). Dina Gruszko pochodziła z rodziny browarników z Łap. Rodzice marzyli, by znalazła bogatego męża, którego stać będzie na wakacje w sanatorium w Otwocku, gdzie co roku wypoczywała z siostrami i matką. Chcieli, by jej szafa była pełna sukien równie pięknych jak te, które jej ojciec zamawiał u krawcowych w Białymstoku. Nie podobał im się wysoki i kościsty Roman, żołnierz polskiej armii, pracujący jako agent fabryki czekolady (pochodził z bogatej rodziny hodowców koni, którzy stracili majątek po I wojnie światowej). Nie podobał im się po ślubie ani po urodzeniu dziewczynek, choć Dina liczyła, że ich twarde serca zmiękną, gdy zobaczą, jak opiekuńczym ojcem jest ich zięć. W końcu rodzice przestali dawać jej pieniądze, co znacznie pogorszyło sytuację finansową młodego małżeństwa. Wtedy do Romana napisał kuzyn, namawiając go, by rzucił wszystko i przypłynął pierwszym statkiem do Kolumbii, gdzie kilka lat wcześniej osiedliła się rodzina Rowińskich. Dina i Roman długo się żegnali, mąż obiecał przysłać jej bilet jak najprędzej. On pożegłował do Ameryki, a ona wróciła do domu rodziców.

Dwa słowa

Gdy Reina przyjechała do Polski po siedemdziesięciu latach, poznała go już z oddali. Wszystko było jak kiedyś: czerwone maki rosnące w rzędzie pod parapetem i kolorowe okiennice. Reina podeszła bliżej i zaglądnęła przez szybę niskiego domu. Pokój dzienny nie zmienił się, brakowało tylko dziadka Gruszki, który w szabat wypoczywał na drewnianej ławie koło okna. Pamięta, jak się cieszył, gdy zdała do drugiej klasy. Siedziała dumna przy dziadku i jadła zupę, uważając, by nie poplamić mundurka i białego kołnierzyka. Na piersi połykiwała szkolna broszka z wizerunkiem Piłsudskiego.

Zatopiona we wspomnieniach Reina podskoczyła na dźwięk zatraskających się drzwi wejściowych. Właściciel domu popatrzył na nią wrogo. Wy tłumaczyła, że tu mieszkała jej rodzina.

– Browarnicy? – zapytał mężczyzna.

Reina przytaknęła.

– Byłem pracownikiem Gruszków i po wojnie kupiłem ten dom – wyjaśnił, ale nie wpuścił jej do środka.

Reina mówi mi, że ta podróż była bolesna.

– Wiem, że Polska jest piękna, ale nie dla mnie. Gdziekolwiek spojrzę, myślę: „Tu zabili Żyda, tam zabili Żyda”. Wróciłam do Kostaryki bardzo smutna.

Pytam Reinę, czy pamięta język polski.

– To dziwne, porozumiewałam się w tym języku lepiej niż w jidysz, ale wszystko zapomniałam – tłumaczy zawstydzona. Zamyka jednak oczy i po chwili mówi niepewnie: – Czerwony kwiat. Dobrze?

Dolary

Roman kupił bilet do Kolumbii, ale popłynął do Kostaryki. Jak wszyscy Żydzi z początku był klapperem. Nie lubił tego zajęcia, ale musiał zarobić na przyjazd rodziny. Teściowie, którzy docenili w końcu jego ciężką pracę w Ameryce, dołożyli do biletów dla córki i wnuczek. Tak samo jak wszyscy marzyli o lepszej przyszłości dla swych dzieci. We wrześniu 1931 roku Dina w koronkowej sukni po kostki i jasnym kapeluszu, dziewięcioletnia Reina i dwa lata młodsza Tola wyruszyły pociągiem do Hamburga. W porcie

nocowały w hotelu dla imigrantów. Reina pamięta, że do ich pokoju wpadało światło z ulicy, więc mama zasłoniła okna ciemnymi, ciężkimi zasłonami. Z Tolą spały razem na bardzo wąskim łóżku. W nocy śniło jej się, że tonie, a gdy ze strachu przebudziła się, odkryła, że młodsza siostra się zsikała. Rano Reina opowiedziała mamie swój sen i pokazała mokre prześcieradło. Wzięła winę na siebie, bo nie chciała, by Tola dostała lanie.

Na statku miały swoją kajutę i dwa piętrowe łóżka. Mama całą podróż spędziła, leżąc. Cierpiała jak większość pasażerów transatlantyków na chorobę morską: miała mdłości i bolała ją głowa. Kazała Reinie pilnować Toli, która pewnego dnia omal nie utonęła. Statek był już na Karaibach, Tola biegła po drewnianym pokładzie na dziób statku, by zobaczyć wyskakujące z oceanu delfiny. Wspięła się na śliską rampę i wychyliła za burłę, przyciskając brzuch do metalowej barierki. Wtedy statek trafił na większą falę, zakołysał się, Tola straciła równowagę i poleciała głową w dół. W ostatnim momencie chwycił ją za ubranie stojący obok pasażer. Reina, która wszystko widziała, ale była zbyt daleko, by pomóc siostrze, szarpnęła ją za rękę i zaprowadziła do kajuty. Tola płakała, więc starsza siostra kazała jej przysiąc, że nie powie o tym mamie. Gdy tylko weszły do ciasnej kajuty, Tola przytuliła się do matki i wszystko jej wypaplała. Reina za karę przez dwa dni nie mogła wychodzić na pokład.

W porcie oczekiwał na nie tata. Machał energicznie kapeluszem, by żona dostrzegła go wśród tłumu. Był bardzo szczęśliwy z ich przyjazdu, bo kochał Dinę ponad wszystko. Mimo to ona przepłakała pierwsze miesiące. Pisała do rodziców rozpaczliwe listy, na które Gruszkowie odpowiadali: „Wracajcie do Polski!”. Zaczęli też wysyłać do Kostaryki dolary. Babcia, oprócz kopert z pieniędzmi, posyłała prezenty dla wnuczek: ciepłe kołdry i korale z bursztynów. Roman w ciągu tygodnia pracował w Guanacaste, górzystym rejonie na zachodzie kraju. Kupował mleko, z którego razem z żoną robili masło. Dina zaczęła też szyć. Znała się na modzie, więc bez trudu przychodziło jej rysowanie nowych krojów na sukienki, spódnice i koszule dla pań. Jej sprzedaż wzrosła dzięki Jadwidze Michalskiej, chrześcijance z Polski, gorącej zwolenniczce emancypacji kobiet, żonie lekarza społecznika i mamie przyszłego prezydenta Kostaryki. Gdy Jadwiga pojawiła się na jednym

z bankietów w oryginalnej niebieskiej spódnicy, wszystkie koleżanki chciały znać adres jej krawcowej. Dina zaczęła szyc dla żon dyplomatów i biznesmenów – pierwszych klientek sklepu Cinelandia, który otworzyła po wojnie. Z czasem Polska stała się dla Diny tylko odległym wspomnieniem. Zakochała się w nowym kraju i Kostarykanach, którzy wprawdzie byli mniej odpowiedzialni od Polaków, ale dzięki temu podchodzili do życia z większym dystansem. Gdy napotykali problemy, mówili wesoło: „*No importa*” [nieważne] i zajmowali się czymś innym. Dla Polaków wszystko zdawało się trudne, na ulicach było zimno i szaroburo. Kostarykan Dina uważała też za bardziej uczynnych i cierpliwych. Nie mieli w sobie złości Polaków, bo nie doświadczyli wojny.

Telegramy

Dziewięć miesięcy po przybyciu Diny do Kostaryki Rowińskim urodził się syn Samuel. W dzieciństwie najbardziej bał się telegramów. W pierwszym, który zapamiętał, tata donosił o swym rychłym powrocie do domu. Był chory, ciężka praca handlarza w górach Guanacaste wykańczała go. Gdy wrócił, sześciolatek Samuel martwił się, że ojciec nie pojedzie więcej do dżungli i nie przywiezie mu nowej małpki titi. Poprzednia, tak mała, że mieściła się w dłoni, uciekła. Denerwowały go dyżury przy łóżku gorączkującego rodzica, przez co raz nie poszedł do kina na *Flasha Gordona* (film powstały na podstawie komiksu znanego w Polsce jako *Błysk Gordon*). Samuel nie rozumiał też, dlaczego tata nie mógł pracować jako klapper. Zajmowali się tym wszyscy ojcowie jego kolegów. Najbardziej zazdrościł Dawidowi, którego tata Abraham jeździł po całym kraju na koniu. Ludzie zapraszali go do siebie i częstowali ciastem. Potem wracał do domu spalony słońcem i z kieszeniami pełnymi pieniędzy. Czemu tata Samuela się rozchorował?

W kolejnym telegramie, który zapadł mu w pamięć, dziadek zawiadamiał o śmierci babci. Samuel jej nie znał, ale był smutny, bo co roku przysyłała mu na urodziny prezenty.

Potem było tylko gorzej. Wybuchła wojna i Samuel bał się każdej wizyty listonosza. Tata odbierał wiadomość, robił się nerwowy, chodził w tę i w

w tę po korytarzu, czekając z jego otwarciem, a mama kładła się do łóżka i ciężko oddychała. Samuel chował się pod stołem w kuchni i głaskał kota. Gdy po kilku miesiącach w ogóle przestała przychodzić korespondencja, mama coraz mniej wstawiała z łóżka. Potem już nigdy nie dostali telegramu z Polski.

Listy Romana

Dopiero zbierając materiały do książki, znalazłam w Archiwum Akt Nowych dokumenty dotyczące Domu Polskiego. To głównie listy pisane przez Romana Rowińskiego, które zgrałam na pendrive'a przed podróżą do Kostaryki w styczniu 2016 roku. Chciałam je pokazać Samuelowi. Zadzwoiłam do jego żony Sarity, ale powiedziała mi ze smutkiem, że mąż zmarł na raka w zeszłym roku. Mimo wszystko zaprosiła mnie na kawę, była bardzo ciekawa rękopisów teścia.

Sarita włącza komputer w biurze Samuela. Ciemny pokój zostaje rozświetlony przez białoniebieski ekran. Siadamy na skórzanych fotelach, Sarita wkłada okulary i zaczynamy przeglądać listy. Niektóre są pisane po polsku, inne po hiszpańsku. Czytamy je na zmianę.

Roman Rowiński do Mieczysława Marchlewskiego, polskiego posła w Meksyku, San José, 1 lipca 1939 roku [pisownia i interpunkcja zgodne z oryginałem]: „Co do otwarcia klubu Polskiego, już mieliśmy dwa zebrania które dali dobrego rezultatu, to znaczy skoro już będzie zebrany całkowity fundusz, przystąpimy do dalszej pracy. Tymczasem jeżeli Poselstwo posiada jakiś kolwiek materiał co mógł by mnie służyć na propagandę Polska kulture i sztuki, proszę nam takowe przesłać. Również był bym bardzo wdzięczny za przesłanie mi Kalendarza Polskiego na mogune się lepiej orientować w jakie dni i dacie wypadają Narodowe Święta Polskie. Pozostaje do dalszych usług. z powazaniem. Roman Rowinski”. Z boku odręczna notatka: „Proszę mu wysłać parę broszurek propagandowych, plakatów itd. – i powiadomić, że polskie święta narodowe przypadają w dniu 3 maja i 11 listopada. M”.

Sarita prosi, żebym przetłumaczyła. W trakcie wojny znalazła schronienie w polskich klasztorach i u Polaków za pieniądze. Polski to język, którego nie chciała zapamiętać.

– Ach ten Roman! Był jedyny w swoim rodzaju! Uparcie kochał Polskę. Bardzo się tym naraził wspólnocie żydowskiej – komentuje.

Przeglądamy kolejne pliki. Trafiamy na szary wycinek z gazety. Dziennik „La Tribuna” z 16 sierpnia 1939 roku podaje wiadomość o utworzeniu Casa de Polonia. Organizacja będzie pracowała nad wymianą kulturalną i handlową pomiędzy Polską a Kostaryką. Założyciele informują też, że „narodziła się w dniu chwalebnej bitwy zwanej Cudem nad Wisłą, w której żołnierze marszałka Piłsudskiego odepchnęli bolszewickiego nieprzyjaciela”.

Sarita chichocze.

– To mógł napisać tylko mój teść! Ciągłe mówił o Cudzie nad Wisłą!

W tym samym numerze gazety artykuł o tytule: *Polska może i powinna stać się ważnym rynkiem zbytu dla kawy z Kostaryki*. Roman pisze w nim między innymi: „Polska jest dla nas wszystkich matką, niezależnie od rasy czy religii, i powinniśmy dla niej pracować wspólnie”. Potem podkreśla, że Polska to serce Europy, naród odważnych wojowników oraz rolników, którzy piją bardzo dużo kawy.

– To jest niemożliwe, zaraz umrę ze śmiechu. – Sarita opada na fotel. Zdejmuje okulary. Łzy ciekną jej po policzkach. – Polska jest dla nas wszystkich matką, no, no! Co ten Roman wymyślał...

W kolejnych listach do Marchlewskiego pojawia się już okrągła pieczętka w dwóch wersjach językowych: „Casa da Polonia. Dom Polski. Związek obywateli polskich dla współpracy polsko-kostarykańskiej”. W odpowiedzi na pytania ambasadora Marchlewskiego Roman wysyła informacje o organizacji, która zrzesza czterdziestu pięciu członków. Spotykają się cztery razy w miesiącu, w każdy wtorek. Na kiermaszu zebrano na rzecz ofiar wojny 443 dolary. Oprócz tego członkowie dołożyli 303 dolary i 100 franków francuskich.

20 grudnia 1940 roku Roman życzy panu Marchlewskiemu wesołych świąt.

W marcu 1941 roku tajemniczy „H. Rubinstein”, polski Żyd z Wyszkowa, wysyła do polskiej ambasady w Waszyngtonie kilka alarmujących wycinków

z kostarykańskich gazet o jednoznacznych tytułach i treści: „Wypędzenie z C. R. wszystkich Polaków rok po zakończeniu wojny. Komisja badająca sytuację Polaków w kraju podjęła decyzję o ich wydaleniu. Koniec z »paga a la polaca«, handlem na kredyt, który spowodował spadek sprzedaży w kostarykańskich sklepach. Koniec z naturalizacją cudzoziemców. Komisja uważa polską rasę za niepożądaną. Po zakończeniu wojny w Europie będą mieli rok na wybranie kraju, w którym chcą zamieszkać”. W krótkiej notce do wyciętych fragmentów z gazet Rubinstein dodaje kilka słów po polsku: „Tak pracuje propaganda tego bandyty Goebbelsa i Hitlera”. Z boku kolejna odręczna notatka, zrobiona inną ręką: „Niezwłocznie przesłać p. ministrowi Marchlewskiemu”.

Sarita patrzy na mnie zaskoczona.

– Co to za historia? Nigdy o niej nie słyszałam.

Po kilku dniach Marchlewski pisze do Rowińskiego, prosząc o relację z sytuacji w Kostaryce: „Nie ulega wątpliwości, że za tym prawem kryje się nasz odwieczny wróg, którego postanowienia dyktowane są antysemityzmem. Proszę zbadać sytuację i napisać, czy mamy traktować ją poważnie”. W odpowiedzi Roman postuluje: „Wszyscy wiedzieliby, że stoi za nami i broni naszych praw Ojczyzna. Skończyłyby się plotki, jakoby polscy dyplomaci nie przejmują się naszym losem”.

Marchlewski natychmiast wysłał kopię listu Rowińskiego do ambasadora Stanów Zjednoczonych w Kostaryce. Prosi o pomoc, nadmieniając, iż stosowna wiadomość została też wysłana do ministra spraw zagranicznych Kostaryki. Kontaktuje się również z organizacją polonijną w Meksyku, której członkowie, w większości polscy Żydzi, doradzają, by nagłośnić temat i pójść z nim do największych amerykańskich gazet, na przykład „New York Timesa”. Informację tę Marchlewski przekazuje Rowińskiemu.

Tydzień później William H. Hornibrook, amerykański ambasador w Kostaryce, odpisuje: „Zalecenia komisji dotyczące wydalenia Polaków zostały przez kostarykański rząd odrzucone. Istnieje małe prawdopodobieństwo, by kiedykolwiek wrócono do sprawy”.

W maju 1941 roku Poselstwo Polskie w Meksyku pisze do Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Londynie: „Kilka miesięcy temu została utworzona

półoficjalna komisja dla zbadania niebezpieczeństwa grożącego rzekomo handlowi i przemysłowi ze strony Żydów polskich w tym kraju. Komisja, do której należeli parlamentarzyści oraz wybitni kupcy i przemysłowcy, przedłożyła rządowi wniosek krańcowy, domagający się ni mniej, ni więcej jak ścisłego dozoru policyjnego nad obywatelami naszymi i wydalenia wszystkich Żydów polskich po ukończeniu wojny obecnej. Zaalarmowany tym zarząd »Domu Polskiego w Costa Rica«, który obejmuje 97% Żydów, zwrócił się do mnie z usilną prośbą o pomoc. Związek podkreślił, że ustawy zawierają realne niebezpieczeństwo. Wypływają bowiem nie tylko z motywów konkurencyjnych, ale również z machinacji elementu niemieckiego, który w Costa Rica dysponuje silnymi wpływami tak gospodarczymi, jak politycznymi. Zwróciłem się obszernym listem prywatnym do ministra spraw zagranicznych. [...] Dalej zainteresowałem sprawą posła USA. W tych dniach minister doniósł mi notą oficjalną, że kolonia polska nie ma podstaw do jakichkolwiek obaw. [...] Ponadto otrzymałem od pana Hornibrooka powiadomienie, że rząd nie uwzględni uchwał komisji i że sprawa polska spoczęła na półkach”.

– To niewiarygodne... – mówi pod nosem Sarita i dalej przegląda pliki.

W sierpniu 1941 roku Rowiński informuje ambasadora o nacjonalizacji handlu w Kostaryce, ale uważa sytuację za bezpieczną dla Polaków. Marchlewski odpisuje, by pozostał czujny.

Miesiąc później Rowiński zdaje relację z kostarykańskiego Dnia Niepodległości, w trakcie którego dziewczynki z polskiej kolonii przebrały się za krakowianki. Dziękuje też Marchlewskiemu za portret Paderewskiego, który został powieszony w szkole dla dziewcząt Escuela de las Señoritas.

We wrześniu do Marchlewskiego pisze Stephen Wise, prezydent Amerykańskiego Kongresu Żydowskiego. Dziękuje mu za wsparcie polsko-żydowskich obywateli Kostaryki.

Rok później Rowiński wysyła Marchlewskiemu ostatni list. Jest to wykaz osób, które wpłaciły środki na rzecz funduszu pomocy polskim żołnierzom, lotnikom i marynarzom. Dwadzieścia osób zebrało w sumie kwotę tysiąca trzech colones.

Sarita wyłącza komputer.

– Żałuję, że Samuel nie może tego przeczytać! Jakżeby się cieszył, z tego, co dokonał ojciec. Choć nie jestem pewna, czy można wierzyć tym dokumentom. Nie wydaje ci się dziwne, że nikt o tym we wspólnocie nie słyszał?

Kiermasz

Kolejnego dnia spotykam się z Reimą, najstarszą córką Romana i siostrą Samuela. Opowiadam jej o listach ojca. Przypomina sobie Dom Polski, a przede wszystkim dzień, w którym tata kazał jej i siostrze przebrać się za polskie chłopki. Krawcowa uszyła im na tę okazję spódnice w kolorowe paski.

– Na kiermaszu sprzedawałyśmy papierosy i ciastka upieczone przez mamę. Wszystkie pieniądze były przeznaczone na fundusz organizacji ojca. Nikomu w naszej wspólnocie nie podobało się to, co robił tata. Nie chcieli słuchać, jak mówił, że w Polsce było mu dobrze. „Roman, wszyscy byliśmy źle traktowani tylko nie ty? Jak to możliwe?”, pytali. Jedną pani, gdy przechodziła koło naszego stoiska, aż krzyknęła: „¿*Dinero para polacos? Polonia, ¿ni loca!* [Pieniądze dla Polaków? Polska, nigdy w życiu!].

Polaco i Esperanza

W ciągu jednego dnia w maju 2010 roku wydarzyły się trzy nieprawdopodobne historie: pozowałam nago brazylijskiej fotografce w ogrodzie kostarykańskiego komunisty, zjadłam kolację szabasową z kandydatem na prezydenta Kostaryki, którego ojciec pochodził z Wyszkowa, a przede wszystkim dowiedziałam się o istnieniu Jaimego Goldenberga.

– Ania, dam ci numer do córki żydowskiego poszukiwacza złota, ale musisz mi jedno obiecać – powiedział mi tego popołudnia Miguel Sobrado, siedemdziesięcioletni profesor Uniwersytetu w San José, z którym zaprzyjaźniłam się tuż po przybyciu do Kostaryki. – „Życie nie jest tym, co człowiek przeżył, ale tym, co i jak zapamiętał”. To cytat z Márqueza. Chcę, byś nie zapomniała o tym, opisując historię Goldenberga.

Gdy spotkałam Olę Goldenberg, powtórzyła to samo:

– Historia mojego ojca utkana jest z faktów i mitów, choć na pewno jej nie zmyślił. Nie lubił mówić o swoim życiu. Musiałam zawsze wyciągać z niego nowe fragmenty tej niezwykłej opowieści. Ale nigdy nie sprawdziłam wszystkich informacji, zrobiłam to celowo. Chciałam zachować tę historię taką, jaką zapamiętał Jaime.

Jezus Chrystus

Wiele lat później, uchylając się przed maczetą Indianina, ogarnięty gorączką złota Jaime Goldenberg przypomniał sobie to dalekie popołudnie, gdy matka Sara zabrała go ze sobą na najwyższe wzgórze w Linowie, żeby pokazać mu, jak daleko sięga świat.

– Idź na północ, aż dotrzesz nad morze. Nie zatrzymuj się. Wsiądź na największy statek i nigdy nie wracaj – powiedziała, po czym włożyła synowi do kieszeni zwitek banknotów.

Jefim Goldenberg – w Ameryce Jaime – przyszedł na świat w 1907 roku. Nie pamiętał, którego dnia się urodził, ale mówił wszystkim że był to 25 grudnia. Jak Jezus Chrystus, podkreślał. Jefim miał siedem lat, gdy wybuchła wojna. Kiedy dorósł, wspominał głód i cierpki smak zupy z pokrzyw, którą codziennie rano gotowała mama. Wspominał huk bomby, która spadła obok domu ciotki Rywki i zrobiła w czerwonym polu maków czarną dziurę. Ciemne jak studnia oczy kobiety, która pukała w nocy do drzwi i prosiła o kawałek chleba. Mama opowiadała Jefimowi, że ta kobieta udusiła własne dziecko, bo jego płacz mógł zdradzić kryjówkę ukrywających się w lesie dezertersów.

Rodzina

Sara, z domu Pomeraniec, pracowała na roli, a Abraham Goldenberg studiował Torę. Całymi nocami przesiadywał przy niewielkim oknie w kuchni i przy blasku świec odczytywał cichym głosem nieznane Jefimowi hebrajskie znaki. Kaszlał i charkotał. Gdy prosił Sarę o szklankę ciepłego mleka, z jego gardła wydobywał się zdławiony skrzek. Dużo chorował, leżał tygodniami pod pierzyną, a w tym czasie Sara i najstarsi synowie zajmowali się bydłem i wyrabiali sery. Jefim miał szesnaścioro rodzeństwa. Najstarsza siostra Emma wyjechała do Ameryki, gdzie wyszła za mąż za religijnego Żyda. Ponoć kupiła kiedyś do domu złotą wannę. Wszyscy bracia Jefima odbyli obowiązkową służbę wojskową w II RP. Polacy traktowali ich źle. Poniżali, kopali i wyzywali. Sara tak się bała Polaków, że kazała Jefimowi zniknąć. Za pieniądze odkładane przez całe życie mogła uratować tylko jedno dziecko.

Eliasz

Zanim Jefim wyjechał, po raz ostatni pokłócił się z najmłodszym bratem Eliaszem. Jak zwykle poszło o politykę. Eliasz mówił, że Izrael to żydowska ziemia, niech Palestyńczycy szukają sobie nowego miejsca. Jefim wierzył głęboko, że żydowski naród ma prawo do swojego terytorium, ale nie może zabrać go innym.

– Ta ziemia jest już zajęta. Palestyńczycy i Żydzi to kuzyni, potomkowie Abrahama – tłumaczył Eliaszowi.

Całe życie wymieniali potem listy pisane w jidysz. Jefim z Kostaryki, Elias z Izraela. Eliasz przypląnął nawet do Ameryki, by przekonać brata do alii. Posprzeczali się, Jefim z hukiem zatrzęsął za nim drzwi. Po kilku latach znowu zaczęli pisać, ale umówili się nie wspominać ani słowem o polityce. Listy przychodziły więc coraz rzadziej, aż w końcu Jefim dostał wiadomość o śmierci brata. Cierpiał, bo nie wiedział nic o ostatnich latach jego życia. Chciał o to spytać dzieci Eliasza, ale nie rozumiały jidysz.

Amsterdam

Za pieniądze, które dała mu mama, dotarł do Amsterdamu. Był 1923 rok, Jefim miał szesnaście lat. Zatrudnił się jako bagażowy w hotelu blisko portu. Codziennie wypatrywał statków, które mogłyby zabrać go do Ameryki. Wszystkie zarobione pieniądze odkładał na bilet. „Ameryka, Ameryka” – żuł to słowo jak żdźbło trawy, zamykał oczy i widział wybrukowane złotem ulice amerykańskich miast, od których bił taki blask, że nigdy, nawet w nocy, nie było potrzeby używać dodatkowego oświetlenia. By zarobić parę groszy, Jefim czyścił też gościom hotelu obuwie. Pewnego dnia przez obrotowe drzwi do holu wszedł niewysoki mężczyzna. Jego okrągły brzuch zdobiły złote guziki dwurzędowego płaszcza. Gdy wolnym krokiem zbliżał się do lady recepcji, przypominał wieloryba wynurzającego się z oceanu. Był spocony, czerwone plamy rozlewały się po jego policzkach i szyi. Walizki huknęły o posadzkę, aż Jefimowi, który polerował właśnie buty, zadrżała ręka. Czarna od pasty szczoteczka spadła na ziemię.

Przyjezdny zawołał do Jefima ze złością:

– Chłopcze, zanieś te walizki do mojego pokoju, byle szybko!

Na kontuarze położył białą czapkę kapitańską. Chusteczką w niebieską kratę wytarł pot z czoła. „To kapitan statku! Zabierze mnie do Ameryki!” – cieszył się w duchu Jefim, ciągnąc po schodach ciężkie bagaże. Cały kolejny dzień starał się mu dogodzić, rano przyniósł gazetę i wypastował buty. Kapitan zapytał w końcu, dlaczego tak o niego dba.

– Chcę do Ameryki, panie kapitanie.

Mężczyzna skinął głową.

– Zabiorę cię z sobą, chłopcze, ale będziesz pracował pod pokładem jako pomoc kuchenna.

Jefim, płynąc pierwszy raz do Ameryki, nie zobaczył oceanu. Obierał ziemniaki i rozmyślał o złotych ulicach.

Ameryka

Po kilku tygodniach na morzu kapitan zszedł do kuchni.

– Jesteś w Ameryce, chłopcze, możesz już iść.

Dał mu dwa dolary. Jefim wyszedł na ląd, ale nie wiedział, gdzie się znajduje. Rozglądał się po nieznanym mu porcie, mrużąc oczy od słońca.

– *¿Cómo se llama?* [Jak się pan nazywa] – zapytał ktoś, ale Jefim nie zrozumiał.

– *Name, name?* [Imię, imię?] Jefim – przedstawił się. W Amsterdamie nauczył się kilku słów po angielsku.

– *¿Cómo? No entendi. Jaime?* [Jak? Nie rozumiałem. Jaime?] – powtórzył po hiszpańsku nieznajomy w słomkowym kapeluszu.

Wyspa

Dopiero po kilku dniach Jefim zorientował się, że jest na Kubie. W Hawanie zatrudnił się w pierwszym lepszym miejscu – akurat werbowano do pracy przy budowie kolei we wschodniej prowincji wyspy. Było gorąco, słońce paliło mu plecy. Na białej skórze rosły bąble, rany się jątrzyły. Harował od świtu do późnej nocy. W kilka tygodni nauczył się mówić po hiszpańsku, ale z twardym akcentem. Ta wymowa dodawała mu powagi, dzięki niej sprawiał wrażenie hardego.

Sprzedawcy

Nie szukał Żydów. Pewnego dnia w trakcie przerwy obiadowej sami po niego przyszli. Żydzi zajmowali się na Kubie handlem obwoźnym. Sznurówki, kolorowe materiały, guziki. W dniu wypłaty odpoczywał na kopcu świeżo usypanej ziemi. Nagle usłyszał znajome dźwięki jidysz. Podbiegł do

sprzedawców, którzy zawsze wiedzieli, kiedy budowniczy kolei dostają wynagrodzenie. Przedstawił się jako Jaime Goldenberg z Linowa. Jaime – tak mówili na niego Kubańscy. Gdy opowiedział ziomkom o swoich przygodach, po krótkiej naradzie zabrali go z sobą do Hawany. Byli zgodni, że ten młody Żyd nie może pracować w tak ciężkich warunkach. Jaime nie był co do tego przekonany, bo lubił pracę fizyczną, ale poszedł z nimi.

Fabryka

Wstydził się handlować. Żydowska rodzina, która przygarnęła go pod swój dach, pożyczyła mu przenośny kram pasmanteryjny. Była to zakładana na szyję drewniana taca na dwóch tasiemkach. W pierwszym tygodniu, stojąc na rogu jednej z głównych ulic Hawany, sprzedał dwie pary sznurowadeł. Jaime pochodził ze wsi, lubił ziemię. W Hawanie mu się nudziło. Ludzie, którzy się nim zaopiekowali, zaczęli narzekać, że do niczego im się nie przydaje. Przejada więcej, niż zarobi, a ciągle chodzi głodny. Wspólnota dumiała, co na to poradzić, może odesłać go do kraju?

– Umiałbyś obsłużyć maszynę do szycia? – zapytał wtedy jeden z Żydów mający niewielką fabrykę materiałów.

Jaime odpowiedział, że może robić wszystko, byle nie sprzedawać. W piętnaście dni nauczył się działania wszystkich maszyn w zakładzie. Pracował dużo, przychodził pierwszy i wychodził ostatni. Podobało się to staremu Żydowi, który szukał męża dla swojej pięknej córki. Chciał, by zięć przejął po nim interes. Zaproponował więc Jaimemu nową posadę, lepiej płatną. Miał nadzorować pracowników, sprawdzać, czy nie marnują czasu. Ale Jaime nie lubił nikogo popychać do pracy. Poza tym coś go gnało. Był tułaczem natury. Trapiło go, że od pięciu czy sześciu lat (sam dokładnie nie wiedział) mieszka na Kubie, a nie w Ameryce o złotych ulicach.

Kompania bananowa

W 1929 roku Jaime dotarł statkiem przez Kajmany na Wybrzeże Moskitów, do legendarnej krainy piratów, gdzie w XVIII wieku bywał Edward Thatch, najokrutniejszy z korsarzy zwany Czarnobrodym. Jaime od razu po zejściu na

ład zaczął szukać pracy. Było to w Hondurasie lub w Nikaragui, w miasteczku Puerto Castilla lub Bluefields, którego większość mieszkańców pracowała dla El Pulpo – Ośmiornicy. Tak mówiono na United Fruit Company, potężne przedsiębiorstwo, które przez sto lat do 1975 roku eksportowało banany do wszystkich krajów świata. Jego właściciele kontrolowali sytuację polityczną w Ameryce Centralnej. Goldenberg udał się do biura kompanii.

– Jakiej pracy pan szuka? – zapytał amerykański brygadzysta łamanym hiszpańskim.

– Jakiegokolwiek.

– Miałbym dla pana robotę, ale trzeba znać angielski.

Jaime od razu pobiegł do księgarni i za ostatnie pieniądze, które zostały mu z pracy w fabryce na Kubie, kupił podręcznik *Angielski w sześciu lekcjach*. Przez cały tydzień chodził po plaży i studiował nowy język. Uczył się na pamięć pojedynczych słów i całych zdań: „*Hello, my name is Jaime. I'm looking for a job. I know everything about bananas*” [Dzień dobry, mam na imię Jaime. Szukam pracy. Wiem wszystko o bananach]. Morze to „*sea*”. Piasek to „*sand*”. O wymowę pytał amerykańskich pracowników kompanii odpoczywających nad brzegiem morza. Szóstego dnia wrócił do brygadzysty.

– *I speak English. You can hire me, sir* [Mówię po angielsku. Może mnie pan zatrudnić] – powiedział płynnie po angielsku.

Brygadzysta zaniemówił, a potem wybuchnął śmiechem.

– Kto cię nauczył angielskiego tak szybko?

– *Hunger* [Głód] – odparł Jaime.

Amerykanin uścisnął dłoń Polaka i wysłał w podróż po wybrzeżu karaibskim Ameryki Centralnej.

Kompania bananowa 2

Jaime został księgowym. Miał za zadanie kontrolować rachunkowość *comisariatos*, sklepów United Fruit Company, w których pracownicy zaopatrywali się w artykuły pierwszej potrzeby – jedzenie i ubrania. Płacili w bonach przydzielanych przez kompanię pod koniec miesiąca. Była to ich jedyna pensja. W większych portach znajdowały się butiki zarezerwowane dla

białych, którzy kupowali tam atłasowe koszule, krawaty i eleganckie kapelusze. Jaime, choć nie umiał zbyt dobrze liczyć, spodobał się brygadziście, bo był biały. Czarni mogli tylko ściąć banany i ładować je na statki. Na plantacjach obowiązywały proste zasady: jeśli *mozo* (pracownik plantacji) zabił innego *mozo*, zostawał przeniesiony na sąsiednią plantację. Jeśli biały zabił *mozo*, to wyjeżdżał zarządzać plantacją w sąsiednim kraju. Gdy to *mozo* zabił białego, miał zostać „nieumyślnie” zastrzelony. Jaime w towarzystwie dwóch Haitańczyków odwiedził wszystkie karaibskie porty Ameryki Centralnej. Oni liczyli, a on podpisywał dokumenty i popijał coca-colę, którą od początku lat dwudziestych sprzedawano we wszystkich sklepach United Fruit Company. Była butelkowana w Gwatemali.

Pierwszy strajk

W trakcie jednej z wypraw Jaime dotarł do Puerto Limón, karaibskiego portu w Kostaryce. Był wyczerpany malarią, na którą chorował przez wiele miesięcy. Cierpiało na nią wielu pracowników kompanii.

– Już tu zostanę – powiedział swoim towarzyszom i zatrudnił się w lokalnym *comisariato*, mimo że nie lubił sprzedawać.

Był 1934 rok, w Kostaryce powstawały pierwsze związki zawodowe pracowników United Fruit Company, która od początku lat trzydziestych przechodziła kryzys. Liczono go w liczbie maczet. Zwykle zamawiano ich trzydzieści sześć tysięcy rocznie. W 1931 roku – o jedną trzecią mniej. Rok później wartość przedsiębiorstwa spadła na giełdzie o dziewięćdziesiąt procent. W sierpniu 1934 roku w Kostaryce strajkowało dziesięć tysięcy pracowników tej firmy, chcieli lepszych warunków, płacy minimalnej w wysokości sześciu colones dziennie, a także zapłaty za nadgodziny. Na plantacjach doszło do zamieszek. Część społeczeństwa wywierała presję na prezydenta Ricardo Jiménez, by stłumił protesty przy użyciu siły. Jiménez, nie słuchając nikogo, robił to, co uważał za najskuteczniejsze: rozmawiał. Z robotnikami i właścicielami plantacji. Pod koniec sierpnia podpisano porozumienie o warunkach zatrudnienia i pracy na plantacjach, połowicznie uwzględniające postulaty strajkujących. Prezydent był krytykowany za uległość

wobec komunistów. Odpowiadał wtedy ze spokojem, że zamykanie oczu i udawanie, że komunistów nie ma, nie sprawi, że oni znikną. Jaime stanął po stronie protestujących i stracił posiadłość. Wciąż jednak marzył o złocie i Ameryce Południowej, wyruszył więc pieszo w głąb lądu. Szedł trasą kolejową łączącą wybrzeże karaibskie ze stolicą Kostaryki, San José. W Cartago spotkał Żyda prowadzącego niewielki sklep z materiałami. Pracował u niego przez kilka tygodni, po czym z paroma dolarami w kieszeni wyruszył dalej.

Paryż

W Wenezueli, dokąd dopłynął statkiem z Kostaryki, poznał swata, który przyrzekł znaleźć mu żonę. Jaime był przystojny, podobał się kobietom. Miał jasną karnację, kasztanowe włosy i szare, głęboko osadzone oczy. Szczupłą, pociągłą twarz. Elegancką postawę. Często w zamyśleniu marszczył wysokie czoło. Swat po kilku tygodniach poszukiwań przedstawił mu młodą Żydówkę. Była brzydka, ale jej rodzice mieli bardzo dużo pieniędzy. Znana była też z nieznośnego charakteru. Mówiło się, że ma diabła za skórą, w złości tupiała jak małe dziecko i rozbijała talerze. Jaime zdecydował się podjąć wyzwanie, ale postawił jeden warunek: by lepiej się poznać, mieli pojechać razem w podróż do Europy. Rodzice przystali na to i sfinansowali wycieczkę młodych do Paryża. Tam Jaime zrobił coś, co nie spodobało się damie. Nigdy nikomu nie zdradził, co to było. Narzeczona zerwała zaręczyny, podarła jego bilet powrotny i kazała się wynosić. Jaime uciekł do Polski.

Zdjęcie

Jaime w garniturze, białej koszuli z muszką i czarnym berecie obejmuje dwie wpatrzone w niego siostry, ubrane w białe, letnie sukienki. Stoją po kolana w kwiatkach rumianku obok drewnianego domu z otwartym na oścież oknem. Koronkowa firanka powiewa na wietrze. Z pobytu w Linowie zachowało się tylko to zdjęcie. Został tam trzy miesiące. Widział wtedy swoją rodzinę po raz ostatni.

Złoto

Z Polski przedostał się do Hiszpanii, skąd odpływały statki do Ameryki Południowej. W porcie poznał Izaaka Sunikanskiego, handlarza z Litwy. Przyjaźnili się do końca życia. Popłynęli razem na Kubę, a stamtąd Jaime wyruszył do Peru. Wiedział już, że tam jest złoto. Nie wiedział tylko, jak je znaleźć. Zatrudnił się w fabryce materiałów prowadzonej przez dwóch Żydów z Polski (mogło być to w porcie Chiclayo). Indianie, których pracę nadzorował, nazywali go „policjantem” (*cua-cua*). Nie podobała mu się ta rola. Nie podobało mu się też, jak traktowani byli Indianie. Zorganizował więc strajk, a Indianie w zamian zdradzili mu, gdzie w Andach ukryte jest złoto.

Koka

Jaime został tragarzem. Było to w Kordylierce Kondora na północy Peru. Wchodząc z Indianami wysoko w Andy, żuł liście koki. Dzięki niej miał dużo siły. Po kilku godzinach wspinaczki z bagażem na plecach zatrzymywał się, by odpocząć. Ból całego ciała był nie do wytrzymania. Raz dziennie dostawał miskę gotowanej kukurydzy z ziemniakami. Za pierwszym razem Jaime zaczął obierać ziemniaki ze skóry. Indianin, który siedział obok, doradził:

– Bracie, umrzesz z głodu. Zjedz wszystko.

Indianie Aguaruna

Pewnego dnia, schodząc z gór, Jaime trafił do wioski Indian Aguaruna. Kobiety nosiły grube, połyskujące bransolety, chaty dekorowano ozdobami ze złota. Mieszkali nad rzeką Chinchipe, która uchodzi do Marańón, niegdyś uważanej za główny dopływ Amazonki. W latach trzydziestych wybuchła tam gorączka złota. Region pełen był *bandoleros* – bandytów i złodziei, a także prostytutek. Złoto jak magnes przyciągało wszystkie szelmy świata. Jaime zamieszkał z Indianami. Zaprzyjaźnił się z młodym Aguarunem, który pomógł mu postawić chatkę podobną do innych, zbudowaną na pniakach ściętych drzew.

Złoto

Młody Aguaruna pokazał Jaimemu, gdzie szukać złota i w jaki sposób wydobywać je z rzeki. Co kilka dni Jaime chodził do najbliższego miasta i za parę ziarenek kruszcu kupował trzy rzeczy: alkohol (mówił, że bez niego nie mógłby przetrwać w dżungli, a pół butelki wypite co wieczór pozwalało mu zasnąć), sól (Indianie jej nie używali, przez co ich potrawy były dla Jaimego pozbawione smaku) i zapalki. Puste butelki po *aguardiente* zapełniał *pepitas de oro* – ziarnami złota. Zakopywał je w ziemi na czas uroczystości, które odbywały się w wiosce co kilka tygodni.

Miłość

Jaime chciał się zakochać, ale w Indiankach jakoś nie potrafił, mimo że kobiety z plemienia Aguaruna umiały śpiewać magiczne pieśni. Tygodniami uczyły się ich w sekrecie, pijąc wywar z tytoniu zmieszanego ze śliną. Robiły to, by maniok w ich ogrodach rósł szybciej. Jeśli w tym czasie odbyłyby stosunek seksualny, melodia uciekłaby z ich duszy.

Chicha

Najpierw na środku wioski pojawiał się ogromny gliniany garnek, wokół którego zasiadały najstarsze kobiety we wsi. Z zamkniętymi oczami żuły leniwie surowe ziarna kukurydzy i s pluwały do garnka. Po trzech dniach fermentacji chicha była gotowa. Spraszano Indian z sąsiednich osad. Po kilku godzinach wszyscy byli pijani. Jaime pił razem z nimi, czasem ledwo uchodząc z życiem. Niektórzy sięgali po roślinę halucynogenną *floripondio*, która wprowadzała ich w dziki, zupełnie szalony stan. Kłócili się, popychali i krzyczeli. Nieraz wyciągali maczety i gnali przez wioskę na oślep, zabijając na chybił trafił. Ciągłe czuli nieznośne pragnienie, więc pili jeszcze więcej chichy. Nawiedzani przez makabryczne wizje zasypiali ciężkim snem, a po obudzeniu nie pamiętali nic z tego, co się wydarzyło.

Rozmowa

Jaime dużo rozmawiał z młodym Aguarunem, który pokazał mu, jak szukać złota. Nie rozumiał, dlaczego w trakcie uroczystości giną ludzie. Indianin zapytał go, czy w Polsce nie zabija się ludzi bez powodu. Jaime przypomniał sobie wtedy, dlaczego mama kazała mu jechać do Ameryki.

– Żydów w polskim wojsku się wykańcza, często morduje – odpowiedział.

– To jaka jest różnica między wami a nami? – dociekał Aguaruna.

Od tego momentu Jaime dużo rozmyślał o przeszłości. Poczł, że brakuje mu wiedzy. Chciał wrócić z Ameryki nie tylko bogaty, ale i mądrzejszy. Postanowił więc, że następnym razem, gdy wybierze się do miasta, zamiast tracić złoto na alkohol, kupi książki.

Antykwariusz

Stary Hiszpan żył już tak długo, że nikt nie pamiętał, ile miał naprawdę lat. Niektórzy mówili, że był jednym z *bandoleros*, którzy na początku XX wieku ukrywali się w Andach przed sprawiedliwością, inni upierali się, że przybył tu wraz z pierwszymi konkwistadorami. Gdy pytano o to samego Hiszpana, tylko wzruszał kościstymi ramionami. Prowadził antykwariat, jedyny sklep z książkami w całej prowincji. Siedział za niewielkim stolikiem i przy lampie naftowej czytał wciąż te same dzieła. Nikt nie przynosił nowych, a antykwariusz nie potrafił robić nic innego. Wiedział tylko, jak czytać, przewracał więc zniszczone strony ksiąg, albumów i manifestów. Jaime przyszedł do niego pewnego popołudnia i powiedział, że nie wie nic, a chciałby wiedzieć wszystko. Księgarz zdradził mu wtedy sekret, którego nie powierzył nikomu wcześniej:

– Jestem anarchista, chłopcze. – Krzesło zaskrzypiało, woluminy spadły ze stołu na ziemię. – Pomogę ci dobrać lektury, byś zrozumiał otaczający świat.

Z trudnością wstał zza stołu. Był zgarbiony i tak niski, że szafy z książkami wydawały się biblioteką wielkoluda. Zniknął w głębi pomieszczenia. Nie było go bardzo długo, aż Jaime pomyślał, że już nigdy nie wróci. Nagle wynurzył się zza ostatniej z szaf i wręczył Jaimemu *Manifest komunistyczny* i *Państwo a rewolucję* Lenina. Jaime od tej pory czytał całymi nocami. Co kilka dni wracał do antykwariatu, gdzie czekały na niego nowe lektury. Gdy przeczytał

Kapitał, zdał sobie sprawę, że złoto to niemający wartości fetysz. Postanowił opuścić wioskę Aguarunów, ale zabrał butelki wypełnione kruszcem, bo nie wiedział, co go czeka. Stary Hiszpan powiedział mu o istnieniu Peruwiańskiej Partii Komunistycznej. Jaime postanowił do niej dołączyć.

Drugi strajk

Komuniści mu nie ufali. Skąd ma tyle złota? Co polski Żyd robi w Peru? Skąd o nich wiedział? Na pewno jest szpiegiem albo oszalał przez tych Indian. By zyskać ich zaufanie, Jaime podarował partii połowę butelek ze złotem. Poza tym sporo potrafił: znał się na księgowości i umiał pisać raporty w kilku językach. Został wybrany na skarbnika partii. Gdy koło Limy wybuchł strajk, Jaime dostarczał wiadomości, kursując na rowerze między robotnikami a komunistami. Początkowo policja nie interesowała się nim – był obcokrajowcem z dziwnym akcentem, nieszkodliwym szaleńcem. Ale w końcu został złapany. Pech chciał, że tego dnia podliczał składki i w kieszeni miał listę wszystkich członków partii. Osadzono go w więzieniu El Frontón, na wyspie naprzeciw Limy. Zakład karny znany był z torturowania więźniów w najbardziej okrutny sposób. Ale dla Jaimego to był uniwersytet. Tam nauczył się politykować. Razem z nim karę odsiadywała większość peruwiańskich działaczy komunistycznych, intelektualistów i marzycieli. Kilka godzin dziennie rozprawiali o polityce latynoamerykańskiej, o prawach pracowników kompanii bananowej. Omawiali kostarykański model demokracji. To tam Jaime zrozumiał wyjątkowość strajku w Kostaryce, w którym uczestniczył parę lat wcześniej. Prezydent Jiménez jako jedyny w Ameryce Centralnej i Południowej nie stłumił protestu przemocą. Wtedy, po ośmiu miesiącach, postanowiono wypuścić Jaimego. Dla rządu peruwiańskiego był problemem, nie miał dokumentów, pochodził znikąd. Chcieli się go pozbyć, zapytali więc, do jakiego kraju go deportować.

– *A Costa Rica, por favor* [Do Kostaryki poproszę] – odpowiedział prędko.

Na granicy

W porcie Callao kazano mu wsiąść na pierwszy statek odpływający w kierunku Kostaryki. Okręt płynął dalej przez Kanał Panamski do Europy, więc Jaime wysiadł w mieście Panama. Był wolnym człowiekiem. Wciąż jednak chciał do Kostaryki, dlatego wyruszył zachodnim wybrzeżem, a po drodze najmował się do pracy na farmach w Chiriquí i Puerto Armuelles nad Pacyfikiem. Gdy miał już w kieszeni parę groszy (andyjskie złoto przepadło wraz z peruwiańskimi komunistami), udał się na granicę panamsko-kostarykańską. Podróżował bez dokumentów, być może sprzedał je gdzieś za litr *aguardiente*. Próbował przekupić celników, ale miał za mało pieniędzy, został więc aresztowany i odwieziony do więzienia w San José.

W więzieniu

W czasie gdy Jaime szukał złota w Peru, Izaak Sunikanski, którego poznał na statku z Europy na Kubę, przeprowadził się do Kostaryki. Dobrze mu się powiodło, ożenił się z Maszą, polską Żydówką. Założyli niewielki sklepik przy Avenida Central w San José, gdzie sprzedawali mortadelę, salami, sery, śmietanę i masło. Izaak miał gosposię Bonifację, której brat ukradł kurę. Siedział za to w więzieniu, a ona odwiedzała go co niedzielę. Raz Bonifacia była świadkiem rozmowy brata z innym osadzonym – białym i piegowatym, z kościstymi, ale szerokimi ramionami, który mówił po hiszpańsku z tym samym co Izaak twardym akcentem. Bardzo się emocjonował, wyklócał o politykę. Powtarzał ciągle: „*Comunismo, comunismo, comunismo*”.

– Ukradłeś kurę? A dlaczego? – zapytał brata Bonifacii.

– Bo byłem głodny – odpowiedział speszony chłopak

– Czy wydaje ci się sprawiedliwe, że siedzisz za to w więzieniu? – perorował nieznajomy.

Bonifacia opowiedziała o nim don Izaakowi.

– W następną niedzielę podejdziesz do niego i powiesz, że pracujesz dla Żyda. Zapytasz, czy nie potrzebuje pomocy. Dam ci za to mortadelę dla brata – zaproponował Izaak.

Bonifacia przekazała wiadomość więźniowi

– Powiedz, że potrzebuję paru colones na wysłanie telegramu – odparł Jaime i nagryzmołił kilka zdań na białej kartce. Brzmiało to mniej więcej tak: „Jestem członkiem Peruwiańskiej Partii Komunistycznej, zostałem deportowany do Kostaryki z wyboru. Byłem przekonany, że to kraj sprawiedliwy. Tymczasem od trzech miesięcy siedzę w więzieniu, nie wiedząc dlaczego. Czy mógłby szanowny Pan osądzić, czy zrobiłem coś złego? Jeśli tak – proszę wymierzyć najsurowszą karę. Jeśli nie – proszę mnie wypuścić”. Telegram zaadresował do prezydenta Kostaryki Ricardo Jiménez. Bonifacia oddała go Izaakowi. Wielce się zdziwił, gdy ujrzał koślawy podpis: Jaime Goldenberg. Zadumał się nad losem przyjaciela, wygładził czarny wąs i czym prędzej udał na pocztę. Trzy dni później Jaime był wolny. Wkrótce po otrzymaniu wiadomości prezydent zadzwonił do więzienia i polecił go wypuścić.

Przyjaciele

Po wyjściu z więzienia Jaime odwiedził trzy miejsca. Pierwszym był pałac prezydencki. Chciał osobiście podziękować Ricardo Jiménezowi. Jaime opowiadał o swoich przygodach w Peru i próbował nakłonić prawie osiemdziesięcioletniego prezydenta, by choć zajrzał do *Manifestu komunistycznego*. Jiménezowi podobała się jego zuchwałość, wystawił więc dokument, swego rodzaju dowód tymczasowy na czas nieokreślony: obywatel Goldenberg oczekuje na paszport, który zaginął w podróży. W tym okresie może przebywać w Kostaryce. Prezydent nie wiedział, że Jaime będzie używał tego skrawka papieru przez następne pięć lat. Drugim miejscem, do którego zaszedł, był dom, w którym pracowała Bonifacia. Chciał poznać swojego wybawcę. Izaak przyjął go radośnie. Komunista i syjonista, wiecznie się sprzecząc, zbili potem fortunę na maśle. Trzecim miejscem była siedziba partii komunistycznej. Jaime pragnął działać, już, od razu. Don Manuel Mora Valverde, założyciel Kostarykańskiej Partii Komunistycznej, zadał mu wiele pytań związanych z aktywnością partii w Peru, by mieć pewność, że nie trafił na oszusta. Gdy dowiedział się, że Jaime zna się na wydobywaniu złota, bezzwłocznie powierzył mu misję.

Miłość 2

Śniło mu się, że ma żonę, i od tej pory wszędzie jej szukał.

Złoto po raz ostatni

Na półwyspie Osa było dużo złota. A także moskity, zabójcze węże, tapiry i jaguary. Wilgoć, która sprawiała, że popołudnia były lepkie. Palce przyklejały się do kubków z kawą, kurz osiadał na skórze, przemieniając się w brudną maź. Noce były tak zimne, że biwakującym pod gołym niebem poszukiwaczom w trakcie snu dzwoniły zęby. *Coligalleros* – wydobywający nielegalnie złoto – wkradali się do kopalni i w butach wynosili niewielkie ilości kruszcu. Robili to dla partii. Mówiło się, że pomaga im w tym anioł, który wsypywał do ich sakiewek po kilka dodatkowych ziarenek.

– Bóg jest z nami, komunistami! – wykrzykiwali, by dodać sobie otuchy. Ale po kilku tygodniach Jaime był pewien, że już nie chce szukać złota.

Polaco

Jeszcze dziesięć lat temu rumienił się, sprzedając sznurówki w Hawanie. Ale pobyt u Indian Aguaruna pozbawił go wstydu. Wszyscy polscy Żydzi trudnili się wtedy w Kostaryce handlem obwoźnym. Jaime poszedł więc do największego sklepu w stolicy, La Glorii.

– Kto tu jest szefem? – zapytał.

Santiago Crespo Calvo, siostrzeniec hiszpańskiego handlarza, który trzydzieści lat wcześniej założył La Glorię, przywołał go do swojego biura. Już wtedy pływał z wujkiem do Nowego Jorku, gdzie kupowali najlepszej jakości tkaniny i eleganckie suknie dla pań. Był wytworny, zawsze nosił muszkę, włosy zaczesywał do tyłu, wąsy przycinał równiutko, tuż nad linią ust.

– Znam się na handlu. Niech mi pan da kredyt na sto colones, oddam jutro zawiązką – zaproponował Jaime. Jako dowód swojej uczciwości, pokazał list od prezydenta.

Don Santiago kiwnął głową na znak zgody i z wielkiej kasy wyciągnął kolorowe banknoty. Jaime od razu kupił u niego skórzaną walizkę, kilka

metrów materiałów, kilkanaście grzebieni i parę sztuk mydła. Pracował po południu i cały następny dzień, sprzedał wszystko i zarobił sto pięć colones. Don Santiago udzielił mu kolejnego kredytu i tak, *poco a poco*, Jaime rozkręcał sprzedaż. Szybko jednak zdał sobie sprawę, że w San José jest zbyt wielu takich jak on. Ciągnęło go nad ocean, wyruszył więc na zachód. Autobusem dojechał do portu Puntarenas, a tam wsiadł na statek, który popłynął w górę rzeki Tempisque. Wynajął konia i ruszył do pobliskich gospodarstw handlować rzadkim towarem. W dzikim, wulkanicznym rejonie Guanacaste był pierwszym *polaco*. Przemierzał kilometry mglistego lasu, trafiał do wiosek, których mieszkańcy o indiańskich rysach dotykali z ciekawością jego białej skóry. Przyglądali się kasztanowym włosom. W zamian za mydło, którego użytkowanie objaśniał, i materiały, które rozwinięte łopotały na wietrze niczym latające dywany, dawali mu świeże kurczaki, jajka i sery.

Esperanza

Esperanza Guevara do końca życia bała się żydowskich duchów. Dybuki ze sztetlu we wschodniej Polsce nie pozwalały jej spać. Ich obecność poczuła pierwszy raz na pokładzie statku płynącego w górę rzeki Tempisque. Noc zapadła tak szybko, jakby ktoś zdmuchnął świecę. Lodowata fala wiatru przelała się przez pokład. Esperanza zadrżała, okryła się białą chustą z frędzlami.

– Jest pani głodna? – usłyszała za sobą, po czym odwróciła się gwałtownie. Wszyscy pasażerowie spali. Jedyne Jaime pilnował swoich skórzanych sakw z towarem na wymianę. Od początku podróży obserwował drobną Metyskę. Miała kręcone, czarne włosy spięte w kok. Siedziała wyprostowana na drewnianej ławce, wpatrzona w ciemny horyzont.

– *No, gracias* [Nie, dziękuję] – odpowiedziała.

Jaime zaczął dopytywać, kim jest i skąd pochodzi.

– Lepiej niech pan się ze mną nie zadaje. Ja jestem komunistką. – Esperanza miała nadzieję, że zniechęci tym nieznajomego.

– *¿De veras?* [Naprawdę?] – Jaime się uśmiechnął.

– *Sí, señor* [Tak, proszę pana].

– A czym jest dla pani komunizm?

Esperanza pierwszy raz o komunizmie usłyszała od zakochanego w niej szewca z Hondurasu, który zapraszał ją na manifestacje i zebrania partii. Komunizm to *amor libre* – tłumaczył – wolna miłość. Ślub uważał za przestarzałą tradycję, co bardzo zaniepokoiło Esperanzę. Kazała mu więcej nie przychodzić.

– A co pan sądzi o małżeństwie? – spytała nieufnie Jaimego.

– Don Federico Engels pisał, że ślub jest bardzo ważny! To fundament rodziny.

Esperanza odetchnęła. Do rana słuchała Jaimego, który opowiadał o kubańskich Żydach w słomkowych kapeluszach i indiańskich dzieciach brodzących w rzece, szukających tam drobinek złota.

– Za dziesięć dni proszę wypatrywać mnie z okna domu – powiedział Esperanzie na pożegnanie.

Isolina

Esperanza otworzyła na oścież drzwi kuchni, by wpuścić trochę powietrza. Zaparzyła kawę. Szyby w niewielkim oknie pokryły się mgiełką pary. Oparła się o drewniany blat kuchenny, małymi łykami piła słodki napój z blaszanego kubka. Nagle ujrzała mężczyznę zbliżającego się w kierunku domu na białym koniu. Porwała cynkowe wiadro i wybiegła tylnym wyjściem umyć się do rzeki Tempisque. Gdy wróciła, zobaczyła przez uchylone drzwi Jaimego, który siedział przy stole, rozmawiając z matką. Pospieszyła do pokoju przebrać się w ładniejszą sukienkę. Drżały jej ręce, nie mogła zapiąć drobnych guzików przy rękawach.

Isolina, matka Esperanzы, kazała Jaimemu napisać swoje imię i nazwisko na kartce. Jaime Goldenberg Pomeraniec – przeczytała na głos.

W piątym dniu pobytu Jaime oficjalnie oświadczył się Esperanzie, ale Isolina była przeciwna.

– Kim jest ten człowiek? *Sin Dios, sin patria, sin ley*. Nie ma Boga ani ojczyzny. To wyjęty spod prawa Judío Errante, Żyd Wieczny Tułacz, który

przyniesie rodzinie nieszczęście.

Ślub

Gdy Isolina dowiedziała się o ślubie Esperanzy, płakała przez pięć dni i nocy. W szóstym ogłosiła śmierć swojej córki i kazała całej rodzinie chodzić w żałobie.

Po ślubie

Jaime czekał na Esperanzę na molo w Puntarenas. Stamtąd pojechali do San José, gdzie wzięli ślub cywilny. Ze względu na Jaimego ślub kościelny był niemożliwy, przez co Esperanza kolejne dwanaście lat żyła w ciągłym strachu przed Bogiem. Zamieszkali w centrum miasta, Esperanza z okna kuchennego sprzedawała artykuły pierwszej potrzeby: cukier, kawę, fasolę, ryż, konfitury i inne smakołyki, które mąż przywoził z Guanacaste. Najpopularniejszy był ser robiony przez chłopów na zamówienie Jaimego. Tłusty i wilgotny, przypominał Jaimemu wyrabiany przez matkę żydowski ser ze sztetlu. Jaime pokazał chłopom działanie wirówek mleczarskich, które sprzedawał na kredyt. Śmietanę woził Izaakowi, który ubijał z niej masło. Nazwali je Corona i odnieśli sukces. Pierwsze gospodarstwo Jaime kupił pół na pół z Izaakiem. Potem nabył działkę obok, potem kolejną, aż w końcu był właścicielem tysiąca dwustu hektarów ziemi w Guanacaste. Hodował bydło, kury i świnie. Miał kukurydzę, ryż, trzcinę cukrową i fasolę. Zatrudniał czterdziestu pracowników. Zasiadał w radach nadzorczych kilku banków regionalnych. Najwięcej czasu zajmowała mu jednak działalność w partii komunistycznej, za co poszedł do więzienia jeszcze dwa razy.

Polska

Nigdy nie mówił o rodzinie w Polsce. W czasie wojny w Europie nocami słuchał radia w nieznanym nikomu językach. Dwadzieścia lat później pojechał do Związku Radzieckiego i po drodze odwiedził Linowo. Jeden z mieszkańców pamiętał wóz, którym jego matka i rodzeństwo zostali

odwiezieni na pole za wsią. Tam wykopano im groby i zastrzelono. Jedna z sióstr taty wyszła za Rosjanina. Gdy ją zamordowano, Rosjanin snuł się w rozpacz po wiejskich ścieżkach, przez łąki nie widząc, dokąd idzie. Dwaj żołnierze zagrodzili mu drogę, potrząsali nim i dopytywali, dlaczego płacze. Gdy wytłumaczył, zaczęli go kopać i krzyczeć: „Psie żydowski!”. Wrzucili do rowu i zastrzelili.

Śledzie

W 1946 roku Jaime wybudował dla rodziny duży dom w Guanacaste. Nazwali go La Alianza. Miał już wtedy czworo dzieci – Olgę, Vladimira, Maxa i José, które spędzały całe dnie w Rio Grande, płytkiej rzece obok domu. By dostać się na jej drugą stronę, trzeba było przejść po pniu drzewa koralowego. W gorące popołudnia lubili przesiadywać na zadaszonym tarasie, gdzie Esperanza zwijała tamales, a Jaime dyskutował z partyjnymi towarzyszami o sytuacji w kraju. Co tydzień Izaak wysyłał mu z San José śledzie i ciężki bochen żytniego chleba. Jaime kroił grube pajdy, na które kładł wędzone ryby ociekające olejem, plastry pomidorów i grube pióra cebuli. Dzieci zatykały wtedy nosy.

Rozstanie

Jaime bywał w domu coraz rzadziej. Znikał na całe dnie, niespodziewanie pojawiał się w nocy, rozgorączkowany ciągłymi dyskusjami, gniewny, niepewny, zamykał się w swoim gabinecie i znów słuchał trzeszczącego radia. Potem krążył po całym domu, mówiąc do siebie w jidysz. W przeddzień wybuchu wojny domowej, 11 marca 1948 roku, Esperanza była w piątym miesiącu ciąży. Spakowała walizki, zaprzęła wóz i razem z dziećmi pojechała do matki, która dawno wybaczyła jej ucieczkę z domu. Tydzień później Jaime został aresztowany, a La Alianzę przejęło wojsko. Esperanza urodziła chłopca, ale zmarł w siedemnastym dniu życia. Lekarz orzekł niewydolność serca, matka jednak wiedziała swoje. Zabił go smutek towarzyszący jej całą ciążę. Jaime przyszedł na pogrzeb syna w kajdankach.

W latach sześćdziesiątych trafił do więzienia po raz ostatni. Oskarżano go o planowanie zamachu na prezydenta Kennedy'ego, który miał odwiedzić Kostarykę.

Duchy

Po urodzeniu szóstego dziecka lekarze wykryli u Esperanzy raka macicy. Była przekonana, że to kara od Boga za życie bez ślubu. Postawiła więc Jaimemu ultimatum: ślub kościelny albo rozwód. Isolina odwiedziła wszystkie kościoły w Guanacaste, aż w końcu znalazła księdza, który zgodził się udzielić ślubu Żydowi. Mimo to Esperanzę do końca życia nawiedzały demony. Bardzo się ich bała, nie chciała zasypiać, budziła się z płaczem. W 1984 roku, na wieść o rozpadzie partii komunistycznej, Jaime dostał zawału serca, a potem paraliżu ciała. Zmarł cztery lata później. Po jego śmierci było tylko gorzej. Dybuki przychodziły do Esperanzy co noc.

Rozmowy po polsku

Wspomnienia z Polski przychodzą do nich nagle, czasem w dwóch, trzech zdaniach. Nawiedzają jak dybuki.

Gucia

Nie patrzy na mnie, nie chce z nikim mówić o numerze, który ma wytatuowany na przedramieniu. Polacy podobno ukrywali Perłę w piwnicy, ale sąsiedzi poszli wydać ich do Niemców. Przeżyła Auschwitz i Joint wysłał ją do Kostaryki, bo miała tu siostrę. Przychodzi co tydzień do Corona de Oro, żydowskiego domu seniora, żeby porozmawiać w jidysz. Siedzimy tam przy długim stole nakrytym białym obrusem. Pijemy gorącą kawę. Jest jeszcze Hanka, Gucia i kilka innych kobiet, których imion nie znam. Gdy obwieszczam, że jestem Polką, wszystkie zaczynają się odzywać naraz. Mieszają jidysz i hiszpański. Dwie z nich kłócą się po polsku.

– Był tylko jeden dobry prezydent, Józef Piłsudski – mówi Gucia, osiemdziesiąt dziewięć lat.

– Nie. Najlepszy był Rydz-Śmigły – przerywa jej Hanka, rok starsza.

– Piłsudski to był nasz król, nasz dziadek żydowski. Mama mi opowiadała, że chował się u Żydów przed Rosjanami. Przebrali go w tałas, dali modlitewnik, a jak przyszli bolszewicy, to powiedzieli, że to ich bardzo religijny ojciec – nie daje za wygraną Gucia.

– Gdyby nie Rydz-Śmigły, to mnie by w Ameryce nie było. W ogóle by mnie chyba nie było. A pani jak uważa? – pyta mnie Hanka.

– Dlaczego jej mówisz „pani”? Ona ma dwadzieścia sześć lat. Ja ją „tykam” – obrusza się Gucia.

– Nie jest moją koleżanką, nie urodziła się razem ze mną! Ja mówię „pani”. Panienska. Ty się bawiłaś z nią razem?

– Słuchaj no, ty mi nie powiesz „Gucia”?

– Nie, z panią też się nie bawiłam. Przez respekt nie mogę.

– Ja też respektuję. Ale cię „tykam”. Ty w Polsce nazywałaś się Hanka, a po żydowsku? Nie ma imienia żydowskiego Hanka. Jest Chana.

– Droga pani, w moim polskim paszporcie jest napisane: Hanka – denerwuje się Hanka.

Opiekunka społeczna powiedziała mi wcześniej, że to najbardziej kłótniwa i uparta ze starszych pań.

– W polskim paszporcie? A skąd ty masz polski paszport, jak nam je zabrali? Co z ciebie za Polka? Jak poszłam do konsula po paszport dla syna, to kazał mi dać dowód, że jestem Polką.

– Ja nie mam żadnych dowodów. Na dowód jestem ja. – Hanka dumnie prostuje się na krześle.

– Teraz bądź już cicho, Hanka, bo nam przeszkadzasz. Ja teraz chcę opowiedzieć pani Polce moją historię. – Gucia ucisza Hankę gestem, jakby odganiała muchę, i odwraca się w moim kierunku. – Polskiemu konsulowi w Kostaryce przyniosłam zdjęcia naszego sklepu w Polsce. Zobacz pani. – Pokazuje mi czarno-białą fotografię. Z tyłu napis: „Zamość 1939”. – Ja się nazywałam Gucia Kasnerówna, po żydowsku Gitla. W Rosji Ewa, w Izraelu Towa, po niemiecku Gut. Jak przyjechałam do Kostaryki, to zapomnieli o „i” więc jestem Guta zamiast Guita. Patrz pani. – Pokazuje mi kolejną fotografię. – Kiedy poznałam mojego narzeczonego, to dałam mu to zdjęcie, więc by mnie rozpoznał, tak samo ubrana pojechałam do Kostaryki. Szeroko wykładany kołnierz i kapelusz Piotruś. A tutaj jest moja mamusia nieboszczka w Krasnobrodzie, gdzie jeździło się na letniska do lasów sosnowych. Po wojnie wróciliśmy z Rosji do Wrocławia i mój ojciec nieboszczyk otworzył olejarnię i wytwórnię pokostu. Rafał Kasner, Wrocław, ulica Józefa Stalina. I zobacz pani, tutaj mam zapisany jego telefon. – Podtyka mi pod nos wyrwany z zeszytu w kratkę skrawek papieru.

– Opowiedz lepiej o swoich trzech ślubach – wtrąca Hanka.

– Mogę, a dlaczego nie? – obrusza się Gucia. – Przyjechałam do Kostaryki bez niczego, w Izraelu dali mi tylko paszport międzynarodowy. Urzędnicy w San José wzięli go i już nie oddali. Pewnie zrobili z nim biznes. Mój mąż na to:

„Żebyś dostała obywatelstwo *costarricense*, to musimy się pobrać”. Stoimy do ślubu, a oni go pytają: „Jak chcesz się żenić, jak już masz żonę?”. Znajomi musieli przyjść i przysięgać, że „Gitla Kasner” to ja. Wcześniej wzięliśmy ślub cywilny w Rosji, a potem w Polsce dla pewności. Mój mąż wyjechał do Kostaryki w 1947 roku, trzy lata później wysłał mi wizę. Myślałam, że Kostaryka należy do Ameryki, więc poszłam do poselstwa amerykańskiego. – Gucia zamyśla się. – Żałowałam, że w naszej szkole w Zamościu nie było angielskiego – wzdycha. – Chętnie bym go wzięła, gdybym wiedziała, że pojedę kiedyś do Ameryki. Wybrałam francuski, bo to był język salonowy. Mam koleżankę, z którą gram w pasjansa, i mówimy do siebie tylko po francusku: „*Bonjour, madame, levez vous, asseyez vous, comment ça va?*” [Dzień dobry pani, proszę wstać, proszę siadać, jak się pani czuje?].

– A czemu pani zmienia temat? Zgubimy się – niecierpliwi się Hanka.

– W poselstwie pytali, gdzie to się znajduje, ta Kostaryka. Nikt nie wiedział. Złożyłam więc podanie o wizę do Izraela. Konsul zapytał, dlaczego chcę wyjechać, skoro w Polsce Żydom jest tak dobrze? Powiedziałam mu prosto z mostu: „Cały czas wyście krzyczeli: »Żydy do Palestyny!«. Teraz jak już mamy Palestynę, to czemu jest pan zły, że tam jadę?”

Opiekunki wołają na obiad. Gucia mówi, że opowie mi więcej następnym razem, ale nie udaje nam się spotkać. Hanka zgadza się na rozmowę po obiedzie.

Hanka

– Ja mówię, a pani milczy. – Hanka jest kategoryczna. Siedzi na wózku inwalidzkim i długo nie mówi nic. Nagle nabiera powietrza i zaczyna opowiadać. – Myśmy uciekli do Rosji dopiero w 1942 roku. Kolega mojego brata, dziesięć lat starszy od nas, pojechał z nami. I dobrze, bo ktoś nas pilnował. Raz w nocy usłyszeliśmy: „Niemiec jest dwa kilometry od was”. To poszliśmy na granicę. – Mam wrażenie, jakby Hanka zaczęła tę opowieść od środka. Próbuję dopytać o jej początek, ale Hanka ucisza mnie gestem. – Czekaliśmy na rozkaz z rosyjskiego rządu, że możemy wejść. Stalin wtedy był, nie można było jechać, gdzie kto chce, trzeba było jechać, gdzie oni chcą. Nie

planowałam za niego wychodzić, za tego kolegę brata. Ale później pomyślałam: „Ja nie znam nikogo, lepszy rydz niż nic”. Jego rodzina mieszkała w Ameryce i nas później tutaj sprowadzili. Nie mam nic więcej do powiedzenia. – Hanka zaciska usta i unosi głowę. Nie patrzy na mnie. Siedzę przy niej długo, aż w końcu zaczyna mówić. – Niedawno byłam w Warszawie z synem. Pojechałam dorożką na Ogrodową 26, do mojego domu. Tam jest teraz Dom Dziecków. Polacy nie rozumieli, że ja rozmawiam tak dobrze po polsku, a mój syn nie jest Polak. „To co on jest?”, pytali. W Kostaryce był konsul polski. Poszłam i mówię, że chcę polski paszport. Powiedziałam, gdzie się urodziłam, ile bratów mam. A on, że bardzo trudno jest to zrobić, bo nie wie, skąd jestem. Nie ma dokumentów. Zdenerwowałam się: „Ja ci mówię, gdzie mój ojciec miał sklep, a ty mi mówisz, że nie wiesz, czy ja jestem z Warszawy?”. – Drobna głowa Hanka zaczyna się trząść. Drżą jej ręce. Opiekunka podchodzi spytać, czy wszystko dobrze. Hanka ją odgania. – SÍ, ja mówię jidysz *pero más* [ale bardziej] po polsku. Polacy były, nie mówię, że wszyscy, ale antysemita. W Warszawie nie można było chodzić po ulicy i rozmawiać po żydowsku. Dlatego myśmy musieli bardzo dobrze mówić w waszym języku. Raz jak poszłam do ogrodu z jednym chłopcem, to jego koledzy śpiewali: „Precz z Żydami, Żydóweczki z nami”. Teraz to już taka ładna nie jestem, jak ktoś jest młody, to wygląda lepiej. Co można zrobić. Urodziłam się w dwudziestym pierwszym roku, jestem bardzo stara. Lata lecą, i dzięki Bogu za to.

Hanka zaczyna nucić:

– Ojciec już nie sam, drugą mamę mam... – Nagle milknie i wyrywa mi dyktafon. – Zamknij to, już skończyłam.

Pięć lat później, w styczniu 2016 roku, spotykamy się znowu, tym razem u Hanka w domu. Jej opiekunka, młoda Kostarykanka, tłumaczy, że pani Hanka nie chodzi już do Corona de Oro, bo dwa lata temu zmarła jej najlepsza przyjaciółka. Nie miałyby tam do kogo się odezwać. Pytam, jak miała na imię.

– Gucia – odpowiada Kostarykanka. – Pani Hanka dobrze się trzyma, choć jest nieznośna. Często się denerwuje. Właśnie skończyła dziewięćdziesiąt pięć lat, ale myśli, że ma osiemdziesiąt.

Zaprasza mnie do okrągłego stołu w kuchni. Siedzimy z Hanką naprzeciwko siebie. Koniecznie chce mnie nakarmić, każe opiekunce podać ciasteczka. Dużo ciasteczek – upomina ją. Sama pije kawę z mlekiem.

– Staruszka to nie jestem, ale całkiem młoda też nie. Już nie pamiętam polskiego tak dobrze – ostrzega Hanka. Szuka słów. Gdy znajduje jedno, dawno zapomniane, bardzo się cieszy. Powtarza je wtedy kilka razy, żeby więcej go nie zapomnieć.

Lód.

Ślizgawka.

Kurtka.

Pantufle.

Dziecki.

Pierogi.

Kartofle.

Kapusta.

Tłumaczy po hiszpańsku, że Polska wraca do niej nocą. Jak nie może zasnąć albo nad ranem. Potem długo milczy. Popija kawę. Nagle zaczyna opowiadać. Opiekunka przysłuchuje się zaciekawiona, jeszcze nigdy nie słyszała Hanki mówiącej po polsku.

– Ja jestem Żydówka. Polski to jest mój język nie nabyty, ale urodzony. W domu były dwa pokoje i kuchnia. Mama gotowała kapustę. Kartofle. Kapustę z kartoflami. Barszcz. Pierogi. „Mama, gotuj mnie pierogi”, tak wołaliśmy. Z mamą spałam w jednym łóżku, tatuś w kuchni. Już nie ma ich. Umarły. To wszystko trzeba zapomnieć. – Hanka macha ręką. – Zabili ich Niemcy. Mego ojca i innych z tego samego podwórka wzięli na cmentarz. Postawili ich i plak, plak, plak. Trzeba to zapomnieć, ale nie da się. Co można zrobić? Później, jak Niemiec przyszedł i chciał wracać do siebie, to uciekłyśmy do Rosji. – Zdania po polsku są coraz dłuższe, błędów coraz mniej. Nieużywany język rozwija się jak kwiat z pączku. – Rodzice zostali w Warszawie. Pięć lat wojny. Jedna staruszka dała nam pokój. Sprzedawałam piwo. Polak robił mi pianę. W *París yo tengo* [mam] kuzynów. Pojechaliśmy do nich, dali nam wizy do Kostaryki. Lecieliśmy samolotem dwanaście godzin, nie czułam się dobrze. Przeszło wiele lat, dużo lat.

Hanka przerywa. Opiekunka wstawia wodę na kawę, która po chwili zaczyna bulgotać w garnuszku.

– Zaraz zapomnę polski – ostrzega znów Hanka. – Szkoła była na ulicy Nowolipki. *Había que* [trzeba było] uczyć się. *Uno no* uczyć się, *no sabe* nic [Jak ktoś się nie uczy, to nie wie nic]. Bardzo lubiłam matematykę, historię nie. Nauczycielka to była pani Rabinowiczowa. Chodziłam na ślizgawkę. Nie było wody, tylko... – Nie może przypomnieć sobie słowa.

– Lód – podpowiadam.

– Tak, lód. Przepraszam, ale są słowa, których zapomniałam. Chodziliśmy na ślizgawki w butach. Zimno. Ale to wszystko już za mną. Niech tam zostanie. W Kostaryce pierwsze lata były niedobre. Widziałam ludzi bez butów. Chodzili na bosy i w *sombreros*. Trzeba było uczyć się hiszpańskiego. Później było *un poco* [trochę] lepiej. Czterdzieści lat miałam sklep. Sprzedawałam buty italiańskie, z zagranicy. Buty dla dzieci, buty dla dużych. Chyba pani wie, co to są buty? – Pokazuje na swoje stopy. Stara się unieść jedną z nich, ale nie ma siły. – Ja teraz mam pantufle, ale to też są buty. Wszystko przychodzi i odchodzi. Zaraz zapomnę polski. – Hanka robi smutną minę.

Znów długo nie mówi nic.

– W sklepie były też *jacket*. Jak to się po polsku mówi?

– Kurtki? – upewniam się.

– Tak, kurtki, jak mogłam zapomnieć to słowo? Rozmawiam *mal polaco* [źle po polsku]. Tutaj nie ma takich, co rozmawiają po polsku. Zapomnieli, mówią. Ale to nieprawda. Oni nie chcą, bo to ich boli. Mam polskie płyty, kupiłam kilka lat temu w Warszawie. Najbardziej lubię Wojnickiego. I jeszcze to – Hanka zaczyna nucić: – Ojciec już nie sam, drugą mamę mam... Wszystko się zapomina. Tak po troszkę. Troszeczkę. Potem nie ma nic.

Moises

Moisesa poznaję przez jego żonę Sarę Befeler, historyczkę. Sara zaprasza mnie do domu w San José, bym skserowała trudno dostępną książkę o Żydach w Ameryce Centralnej. W korytarzu przedstawia mnie mężowi. Moises kiwa głową. Przedstawiam się, a on na to, że wolałby, żebym nie była Polką. Może

opowiedzieć mi tylko o dwóch wydarzeniach, więcej nie wie i nie chce wiedzieć.

W 1933 roku do sadu jego ojca przyszło kilku Polaków.

– Masz wyjechać jak najszybciej. Inaczej cię zabijemy – zagrozili. W kolejnym dniu był już na statku do Kostaryki.

Moises pamięta też rodziców mówiących po polsku. Krzywi się na to wspomnienie.

– Zwykle rozmawiali po żydowsku. Ale kłócili się tylko po polsku.

Frieda

– Mój mąż Abraham z bratem Jankielem przeżyli wojnę w piwnicy. Sąsiedzi się nie zorientowali. Gdyby wiedzieli, toby ich wydali za kilo cukru. Powiedzieliby: „Tam są Żydzi”. Dlaczego Polacy tacy byli? Ty masz odpowiedź na to? Ciężko, ciężko to znieść. Całe życie odczuwam z tego powodu ból. Na Syberii było minus czterdzieści pięć, ale nie mam żalu do Rosji. A do Polski mam. Myśmy byli w Polsce w czterdziestym szóstym roku, to jeszcze mało było dla Polaków. Przepraszam, że tak mówię. To nie twoja wina. Kielce, pogrom, słyszałaś? Można było żyć w takim kraju?

Frieda urodziła się w 1927 roku. Poznaje ją w kawiarni obok synagogi. Pachnie świeżą chałką. Siedzimy przy stole, dokoła biegają amerykańskie dzieci i hałasują. Ledwo słyszę Friedę, która na szczęście mówi do mnie po polsku. Jej córka Jany zaczyna płakać, gdy przyznaję, że nie jestem Żydówką. Śledztwo mamy dotyczące żydowskiej praprababci niczego nie dowiodło.

– Tata całe życie opowiadał o Polsce i o wojnie – odzywa się przez łzy Jany. – Całymi dniami, przy każdym obiedzie, na dobranoc. Nie miał innego tematu. W 2010 roku pojechaliśmy odwiedzić panią Janinę, której rodzina ukryła tatę i wujka Jankiela w piwnicy. Jak skosztowałam jej drożdżówki z serem, to się popłakałam. Mama mi takie w Boliwii piekła, to było moje dzieciństwo. A teraz ty jesteś tutaj, mówisz z moją mamą po polsku i piszesz książkę o Żydach w Kostaryce. Jak to jest możliwe? Mój dziadek został zamordowany przez Polaka. Ten człowiek napadł go w drodze z Parysowa do Garwolina. Ukradł mu wszystkie pieniądze (dziadek szedł zapłacić za nowy

dom) i zabił go. Ja słyszałam same złe rzeczy o Polakach. Dobrze, że tu jesteś – uśmiecha się do mnie Jany. Frieda mówi coś do córki w jidysz. Jany się czerwieni. – Ania, czy ukradkiem nagrywasz naszą rozmowę? – Patrzy podejrzliwie na mój telefon. Upewniam ją, że nie i na wszelki wypadek chowam iPhone'a do torebki.

Zapada nieprzyjemna cisza, którą przerywam, zwracając się do Friedy po polsku. Jany przysuwa się do matki, jakby chciała ją ochronić. Pytam Friedę, jak to się stało, że trafiła do Boliwii. Tłumaczy niechętnie, że po wojnie mieszkała w Łodzi, tam wyszła za mąż za Abrahama. Potem wyjechali do Monachium. Ale nie chciała być u Niemców. Urodziła się Chana (w Kostaryce Jany), Abraham zarabiał na życie, sprzedając puszki po kawie. Potem Joint dał im listę krajów, które przyjmują uchodźców. Wybrali Boliwię dlatego, że jechało tam dużo Żydów. Po dwudziestu latach przenieśli się do Kostaryki, bo od wysokości Friedę bolała głowa.

– W La Paz mieszkaliśmy na prawie czterech tysiącach metrów! Dobrze nam się powodziło, otworzyliśmy sklep z bucikami i ubrankami dla dzieci. Dziękowaliśmy Bogu, że mieszkamy tam, gdzie nie słychać strzałów.

Frida więcej po polsku mówić nie chce.

– To mnie boli *adentro*, w środku. – Uderza się pięścią w klatkę piersiową.

Abraham

Jany daje mi do przeczytania wspomnienia swojego taty Abrahama i list do brata, który napisał po hiszpańsku z wyprawy do Polski. Abraham miał wtedy osiemdziesiąt osiem lat, a Jankiel – dziewięćdziesiąt osiem.

„*Querido* Jankiel:

Postanowiłem napisać do Ciebie ten list, byś odbył tę podróż ze mną.

Rozumiem, że wolałeś zostać w Kostaryce. To szaleństwo chcieć przeżyć to wszystko jeszcze raz, wrócić do miejsca, w którym wszystko straciliśmy. Ale ja nigdy nie chciałem zapomnieć. Tym się różnimy. Ty nigdy nie chciałeś mówić o przeszłości, nigdy nie kwestionowałeś też istnienia pana B-ga. Ale kocham Cię i wbrew Twojej woli zabiorę Cię w tę podróż ze mną.

Jak zwykle lot do Europy był wyczerpujący. Wiele godzin w samolocie i na lotniskach. Dobrze, że Jany, Maxi i Irene są ze mną, czuję się z nimi bezpieczniej. Mimo to umieram ze strachu. Wiesz, co mnie męczyło i dlaczego całe życie opowiadam moim dzieciom o przeszłości? To wina, Jankiel. Poczucie winy, że się uratowałem i nie zginąłem tak jak reszta.

Najpierw odwiedziliśmy Tykocin. Polska, którą znaliśmy, dalej istnieje, ale jakby schowana za nowoczesną fasadą. Mógłbym ci nawet napisać, że to bardzo piękny kraj. Ale mam stąd zbyt dużo złych wspomnień.

Pierwszej nocy zdarzył się wypadek. Nie mogłem spać. Miałem sny na jawie, nawiedziły mnie upiorne obrazy z przeszłości. Czułem się jak w pułapce. Obracałem się na boki tak nerwowo, aż w końcu spadłem z łóżka, uderzając głową o posadzkę. Jany zerwała się z przerażeniem. Od tego momentu nie zmrużyła oka, w nocy siadała na krześle obok łóżka i mnie pilnowała.

W Treblince znaleźliśmy kamień z napisem »Parysów«. Czy jestem w stanie opisać w tym liście, co poczułem? Chyba nie, *hermano*. W tym miejscu została spalona nasza matka, nasi bracia, nasi kuzyni... twoja żona, twoje dzieci. Pozostaliśmy tylko ty i ja. Świadkowie. Żywi umarli. Tam doświadczyłem, bardziej niż kiedykolwiek, poczucia winy za to, że przeżyłem. Wszystko się w mojej duszy skomplikowało, gdy uciekliśmy z tego pociągu, Jankielu. Ten brak równowagi wpłynął potem na moje dzieci, zaciąży na moich wnukach i ich potomkach.

W Treblince nagle usłyszałem ich szepty, Jankielu. Wszyscy mówili naraz, opowiadając szczegółły ich ostatniej podróży pociągiem, z którego nie mogli się wydostać. Zacząłem krzyczeć. Nie mogłem się powstrzymać.

Wróciliśmy do hotelu wyczerpani, ale wiedzieliśmy, że nie uda się nam zasnąć. Na szczęście Max to przewidział i dał każdemu po tabletkę nasennej. Nasz sen nie był głęboki, ale wystarczający, by ruszyć dalej w drogę.

Następnym przystankiem był Parysów. Myślałem, że serce wyskoczy mi z piersi. Poszliśmy na cmentarz. Nie mogłem znaleźć grobu ojca, bo napisy były nieczytelne, ale odmówiliśmy kadysz. Potem poszliśmy do tej stajni, w której nas ukrywali. Były tam krowy, prawdopodobnie prawnuczki tych, co kiedyś. Pamiętasz, jak ssaliśmy mleko z ich wymion?

Zaczęliśmy szukać rodziny Bolka, tego Polaka, bez pomocy którego nie przeżylibyśmy. Max podszedł do grupy mieszkańców i zaczął rozmawiać po angielsku z niewysoką 60-latką.

»Jestem wnuczką Bolka. Wszyscy znamy historię Abrahama i Jankiela. Są w naszej rodzinie legendą. Jako dzieci bawiliśmy się w chowanego, udając, że to my się ukrywamy« – powiedziała kobieta i wskazała nam dom Bolka.

Zapukałem i zza drzwi wyszła 78-letnia kobieta. Od razu rozpoznałem w niej małą Janinę. Pamiętasz ją, Jankielu? Była najbardziej strachliwa ze wszystkich. Raz usłyszałem, jak prosi swojego ojca, by wydał nas Niemcom, dzięki czemu nie ponosiliby ryzyka rozstrzelania za ukrywanie Żydów. Muszę ci wyznać, że przez te wszystkie lata miałem do niej żal, ale teraz stała naprzeciwko mnie, a ja po tylu latach zrozumiałem, dlaczego się bała.

Ku zaskoczeniu wszystkich Janina mnie rozpoznała. Zacząłem płakać, gdy powiedziała: »Panie Abraham!«. Padliśmy sobie w ramiona. Żadne z nas nie mogło powstrzymać płaczu. Gdy Janina odzyskała głos, zapytała: »Czy pan Jankiel żyje?«. Bardzo się ucieszyła, gdy odparłem, że tak i że masz 98 lat. Potem dodała coś, co nami wstrząsnęło: »Myślałam, że prędzej jak ciebie, to śmierć ujrzę«.

Tej nocy także nie mogłem spać.

Masz czasem takie wrażenie, że czegoś zapomniałeś? Są ludzie, którzy przed wyjściem z kuchni dziesięć razy sprawdzają, czy wyłączyli gaz i zgasili światło. Mimo wszystko, gdy jadą później do pracy, ale są już daleko, napada ich uczucie, że o czymś zapomnieli. Coś zostawili. To uczucie towarzyszy mi całe życie. Co zostawiłem w Parysowie? Jakich drzwi zapomniałem zamknąć? Połowa mnie została w niewielkim polskim sztetlu na zawsze”.

Jankiel zmarł w wieku stu jeden lat. Przez sześćdziesiąt lat mieszkał ze swoim bratem i Fridą pod jednym dachem. Cztery lata później zmarł Abraham. Dzień przed śmiercią siedział w łóżku podparty poduszkami, otoczony dziećmi, wnukami i prawnukami. Pił whisky i wznosił toast: „*Lechaim, lechaim!*”. Za życie.

Figle na transatlantyku

Pewnego styczniowego dnia listonosz przyniósł długo oczekiwany list. Fajga przetarła ścierką namokłe od śniegu kolorowe, trójkątne znaczki. Niektóre litery zapisanego niebieskim atramentem adresu straciły ostrość: Fajga Necha W jsleder, Żel hów. Dane nadawcy nieczytelne prócz krótkiego adresu: San José, Costa Rica. Koperta ważyła więcej niż zwykle. Jakies dwieście gramów więcej. Pół chałki. Fajga schowała list do kieszeni fartucha, obiecała Dawidowi, że otworzą go wspólnie.

Dawid zobaczył listonosza z końca ulicy. Jak zwykle po szkole rzucali z kuzynami śnieżkami. Gonili się jak szaleni, wpadali w zaspę. Zrobienie śnieżki było trudną sztuką, trzeba było za każdym razem ściągać skórzane rękawiczki, bo inaczej śnieg się nie kleił. Palce na chwilę przywierały do białej, twardej kulki, która zaraz szybowała na drugą stronę ulicy. „Pał, trafiony, zatopiony!” – krzyczeli w jidysz. Najlepsze śnieżki lepił Abraham i właśnie taka duża trafiła Dawida w nos, gdy kątem oka zauważył wychodzącego z domu listonosza. Przyszedł wreszcie list! Chłopiec otrzepał się ze śniegu i pognął do mamy.

– Gdzie masz rękawiczki?! – Siwe oczy mamy wpatrywały się w niego twardo. Sześciolatek wsadził lodowate ręce do kieszeni kurtki, sprawdził w spodniach.

– Zgubiłem. – Spuścił wzrok i przygryzł dolną wargę. Po chwili popatrzył na mamę i posłał jej uśmiech.

– Ty łobuzie, leć do pokoju się przebrać!

– A list?! – wykrzyknął Dawid. – Widziałem listonosza! Przyszedł list, na pewno, pokaż mi, pokaż!

Fajga wyjęła kopertę z fartucha.

– Ale gruby! Przeczytasz mi? – Chłopiec podskakiwał z emocji. Śnieg na butach topniał, tworząc w korytarzu kałużę.

Kołdra puchowa

Kiedy pierwszy raz spotkałam Dawida w 2009 roku, świętował siedemdziesiąte ósme urodziny. Przedstawiła nas Guita, z którą mieszkał po sąsiedzku. Siedzieliśmy w jego kuchni, piliśmy gorącą kawę, a za oknem padał deszcz, jak codziennie przez sześć miesięcy w Kostaryce. Dawid nie mówił po polsku od siedemdziesięciu dwóch lat, pamięta tylko fragment polskiego hymnu i dwa słowa: „kołdra puchowa”.

Costarica

W pokoju Dawid szybko zmienił mokre spodnie. Zanim wybiegł, popatrzył na portret taty, który wisiał nad łóżkiem. Znał go tylko z tego obrazka. Codziennie przed zaśnięciem przyglądał mu się długo, by kiedyś umieć go rozpoznać. Potem opowiadał mu szeptem o szkolnych figlach i pytał o Amerykę. Lubił wymawiać to słowo: „Ameryka”.

W kuchni usiadł koło mamy przy małym stole. Pachniało kapustą. Mama otworzyła nożem kopertę i ostrożnie wyjęła zawartość na blat. Był tam złożony na pół, gęsto zapisany list i pieniądze. Dawid wziął do ręki podłużny banknot, przyglądał się panu na owalnym obrazku. Przypominał mu jednego wariata z Żelechowa, który zawsze chodził tylko do tyłu. Robił to z niezwykłą zręcznością. Dawid chował się przed nim, choć nie do końca rozumiał dlaczego.

– Mamo, zobacz, on ma taką brodę jak Mosze Falik! Mamo, a co to znaczy „*five dollars*”? – przeliterował napis na banknocie.

Ale Fajga nie słuchała, czytała już list. Spomiędzy stron wypadła na podłogę niewielka karteczka zapisana koślawym pismem. Dawid podniósł ją i przyglądał się z uwagą niedawno poznanym literkom. Nie mógł odczytać notatki. Na górze wypatrzył znaki alfabetu, który znał z szyldów polskich sklepów: ZAPATERÍAELRECORDCOSTARICA [Sklep obuwniczy El Record].

– „*Costarica*” to Kostaryka? Tam, gdzie jest tata? To jest ta Ameryka, tylko inna nazwa? Mamo? – niecierpliwił się.

Fajga odłożyła przeczytany list i spojrzała poważnie na syna. Zupa zabułgotała. Dawid wyprostował się na krześle.

– Jedziemy do Ameryki.

Kołdry

– Nawet nie wiedziałem, gdzie to jest, nie znałem się na mapie – opowiadał mi Dawid. Od tego czasu minęło ponad siedemdziesiąt lat, a on wciąż pamiętał najdrobniejsze szczegóły z dzieciństwa. – Było mi wszystko jedno, czy pojedziemy do Kostaryki, czy do Ameryki. Myślałem tylko o tacie z obrazu nad łóżkiem. Po sześciu latach udało mu się uzbierać wystarczająco dużo colones, byśmy mogli kupić bilety na statek. Kazał mamie zamówić wielkie kosze, które miały służyć za bagaże. Pierwsze, co spakowała, to grube kołdry. To było najważniejsze! Pamiętam, że miały takie kłujące piórka w środku. Do końca życia spali z tatą pod tymi wielkimi pierzynami, mimo że było im za ciepło. Z takimi zwyczajami człowiek przychodzi na świat i nie może się ich pozbyć do końca życia.

Zakłęcia

Fajga zaprosiła na wieczór koleżanki, by przeczytać im list od męża. Odkąd z Żelechowa wyjechali wszyscy mężczyźni, spotykały się, jak tylko któraś miała nowe informacje. Listy czytały na głos, grzejąc się koło pieca w kuchni i pijąc kawę z cykorii. Potem rozmawiały o życiu w Ameryce i Kostaryce, żadna nie znała dokładnie różnicy między tymi miejscami.

Ostatni list czytały wspólnie dwa miesiące temu. Oscar, brat Noego, męża Fajgi, napisał do żony Sary, że ma się dobrze, choć wciąż trudno przyzwyczać się do upałów. Wspominał o długiej podróży statkiem i o dziwnym żółtym owocu, który przez przypadek zjadł ze skórką.

Dawid nie spał. W ciemnościach leżał na wznak pod kołdrą i patrzył na portret taty, częściowo oświetlony uliczną latarnią. Słyszał, jak kobiety zdejmują płaszcze, szurają krzesłami i stukają filiżankami. Mama od razu pokazała im list. „Kupisz bilety w Warszawie, w tej samej agencji co Sara w tamtym roku?” „Kiedy jedzicie?” „Skąd wypływacie?” „Co zabierasz?” „Gdzie będziecie spać po drodze do Hawru?” „Czy Dawid nie jest za mały na taką długą podróż?”

Dawid znał list od taty na pamięć. Szeptem czytał go wraz z mamą: „Moi kochani. Żyję i jestem zdrowy. Po sześciu latach udało mi się zarobić tyle pieniędzy, by móc przesłać Wam dość dolarów na podróż. Wciąż chodzę od domu do domu, sprzedaję ubrania. Butów nie chcą nosić, tutaj wszyscy biegają boso. Już pięć miesięcy, jak Mosze nie żyje. Kup duże kosze, zapakuj tylko najpotrzebniejsze rzeczy. W porcie w Colón będziesz mogła jeszcze coś dokupić, jest tanio. Uważajcie we Francji, dużo złodziei. Całuję. Noe”. Do listu dołączył napisaną w pośpiechu karteczkę z nazwami portów, w których zatrzyma się statek. Fajga odczytała je po kolei, zerkając co chwilę na koleżanki, czy na pewno słuchają:

- „1. Boulogne, to jest we Francji.
2. Port angielski.
3. Barbados, port angielski.
4. Trinidad, port angielski.
5. Zapomniało mi się, jak się nazywa.
6. Curaçao, port holenderski.
7. Kolumbia.
8. Zapomniało mi się, jak się nazywa.
9. Colón w Panamie.
10. Puerto Limón”.

Noe dopisał jeszcze kilka słów: „Wydaje mi się, że się przyzwyczaisz. Zobaczysz, podróż nie będzie długo trwała, tyle że statek zatrzymuje się w każdym porcie, ładują i rozładowują towary, ale mówię ci raz jeszcze, że to wszystko jest bardzo ciekawe. Oblecz kołdry poszewkami tak, żeby wyglądały na używane. Jak nie, to zapłacimy bardzo duży podatek w porcie. To bardzo ważne, żebyś nie zapomniała. Daję wam jeszcze 25 dolarów na drogę, tyle powinno wystarczyć”.

Dawid powtarzał szeptem nazwy portów: Boulogne, Barbados, Trynidad, Curaçao, Colón, Puerto Limón. Brzmiały jak zaklęcia, magiczne formuły. Zasnął, słuchając oddalającego się głosu mamy w pokoju obok. Barbados,

Trinidad, Curaçao, Colón, Puerto Limón... Barbados, Curaçao, Colón...
Trinidad, Colón, Curaçao.

Paszport

Oglądaliśmy z Dawidem paszport jego mamy. Był to dokument emigracyjny, wydawany bezpłatnie.

„Kraje, na które niniejszy passport jest ważny: Kosta Rika – Costa Rica.

Termin ważności paszportu kończy się z dniem: 12 czerwca 1938, o ile nie będzie wznowiony. Garwolin dn. 12 czerwca 1937 r. Starosta powiatowy dr Pokiński Adam, Wicestarosta”.

Zapatrzyłam się na zdjęcie przystojnej kobiety z czarnowłosym sześciolatkiem na kolanach. Niepewne spojrzenie. Odstające uszy. Grzeczny, może trochę zawadiaka. Na innym zdjęciu wyrośnięty pięciolatek o okrągłej buzi. Uśmiech łobuza.

– To zdjęcie zrobił mi wujek Mosze przed domkiem dziadków w Garwolinie. Miałem na sobie wełnianą bluzkę, spodnie, ciepłe kalesony lub rajstopy i na pewno dwie pary skarpetek. Na to wełniany płaszcz z kołnierzem z kożuszką, nauszники, skórzane rękawiczki i buty, na które nakładało się getry, ochraniacze z filcu. W Kostaryce większość moich kolegów chodziła boso. Dopiero w 1942 roku minister zdrowia nakazał wszystkim obywatelom nosić buty, choć wielu skarżyło się, że obuwie za bardzo uciska im palce.

Obok mnie na kanapie siedział siwy staruszek. Niebieskie oczy miał rozmazane jak atrament. Uśmiech rozciągnął mu usta na boki, ciężar zmarszczek wydłużył twarz. Uszy się powiększyły, teraz były kłapciate i miękkie. W ciągu kolejnych miesięcy słuchałam opowieści Dawida. Potem, już w Polsce, spisałam ją, łątając dziury w jego pamięci. Rozmawiałam z historykami, szukałam też osób, które przebywały o tej samej porze na trasie jego przeprawy transatlantyckiej. Odwiedziłam miejsca, gdzie zatrzymał się w trakcie podróży: Gdynię, Paryż, Boulogne-sur-Mer, Puerto Limón. Znalazłam jego nazwisko w portowych archiwach. Po pięciu latach, w styczniu 2016 roku, znów spotkaliśmy się w Kostaryce. Dawid powtarzał mi te same historie, a ja czasem dodawałam to, czego się dowiedziałam.

Dawid był dumny, że wszystko tak świetnie pamięta, złościł się, gdy umykał mu najmniejszy szczegół.

Miesiąc później pojechałam do Żelechowa, gdzie Dawid spędził pierwsze sześć lat swojego życia. Wcześniej przysłał mi mailem dokładne wskazówki, jak szukać jego domu, szkoły, synagogi i mykwy. Prosił też, bym się dowiedziała, co się stało z jego dziadkami, a także z ukochanym wujkiem Mosze Nisbergiem, szwagrem matki.

Dzięki pomocy mieszkańców znalazłam informacje na temat rodziny Dawida, od której ostatnią pocztówkę dostał w 1941 roku: „Moi kochani. Komunikuję, że wszyscy żyjemy i jesteśmy zdrowi”.

Dzieciństwo

Dawid urodził się 18 października 1931 roku w Garwolinie. Jego pradziadek był podróżnikiem, niespokojną duszą. W XIX wieku wyjechał z Polski do Palestyny. Wszyscy myśleli, że nie żyje, ale po kilku latach milczenia wysłał list. Wracał do Żelechowa przejąć garbarnię po swoim ojcu. Dawid pamięta to miejsce, znajdowało się w podwórzu domu rodzinnego taty. Zalewane kwasem i wapnem bydlęce skóry okropnie śmierdziały. Tata Dawida, Noe Wajsleder, miał dziewięciu braci i pięć sióstr. Gdy zmarła im mama, siostry ciągle kłóciły się o opiekę nad najmłodszym bratem. Każda uważała, że zajmuje się nim najwięcej. W końcu Sura urządziła loterię, nagrodą był tydzień z siedmioletnim Noem. Dawid najlepiej pamięta ciotkę Blumę, która prowadziła w Żelechowie sklep spożywczy. Była mała i okrągła, przypominała mu polskie pączki.

Dawid opowiadał swoim wnukom i prawnukom własną wersję historii Żydów w Polsce, którzy mieli przyjechać do Polski na zaproszenie króla w 1400 roku. Dzięki nim kraj bardzo się rozwinął. Niestety po kilkuset latach w Polakach obudził się antysemityzm, a Żydzi ze strachu ukryli się w sztetlach, takich jak Żelechów, przez co zbiednieli i przestali się kształcić. Gdy już nie mieli co jeść, wyjechali dalej, do Ameryki.

W Żelechowie Dawid z rodzicami mieszkał przy głównej ulicy miasteczka, niedaleko cmentarza żydowskiego. Godzinami podziwiał pracę kamieniarza,

który dłutem rzeźbił nagrobki. W ich kamienicy mieściło się osiem mieszkań. Nie było łazienki, wszyscy chodzili więc do wychodka z dziurą w ziemi. W zimie, gdy temperatura spadała do minus trzydziestu stopni, nikt nie ośmielał się wystawiać na zewnątrz gołej pupy.

Kamienica należała do pięciu Wajslederów, braci ojca Dawida. Wszyscy wyemigrowali w latach dwudziestych do Ameryki. Pierwszy brat, Jankiel (w Ameryce Jacobo), opuścił Żelechów w 1920 roku. Nie wpuszczono go do Stanów, więc pojechał do Kanady. Przez trzy tygodnie próbował przejść przez granicę. „*Papers? No papers? Go away*” [Dokumenty? Nie masz dokumentów? Odejdź] – usłyszał od celnika. Wtedy zaobserwował, że porządnie ubranym panom z aktówkami pod pachą nie sprawdza się dokumentów. Uchylają tylko kapelusza, mówią „*Hello*” i idą dalej. Z kolejki zaciągnął więc na bok eleganckiego Kanadyjczyka, który podróżował z dużą walizką. Poprosił go o pożyczenie ubrań, kapelusza i teczki. Opowiedział mu o biedzie w Żelechowie i o wielkiej miłości do ciotki Hani, którą zostawił z córką w sztetlu. W końcu biznesmen zlitował się nad nim. Wujek przeszedł przez granicę, naśladując innych. „*Hello*” – uśmiechnął się do urzędnika, który uprzejmym gestem pokazał mu drzwi wejściowe do Ameryki.

Podróż do Ameryki. Dzień pierwszy

Dawid z matką wyjechali wczesnym rankiem pod koniec czerwca 1937 roku. Nie podróżowali sami, bo pieniądze na bilety wysłał też swojej żonie Sarze i pięciorgu dzieciom stryj Oscar. Musieli zaprząć dwa wozy. Dawid mógł jechać z kuzynami, ale wolał z mamą. Gołda, Abraham, Ruchla, Herc Perc i Moszek wdrapywali się po kolei na drewniany wóz. Ruchla trzymała na kolanach sześciolatniego Moszka. Jedenastoletni Herc, który bardzo nie chciał opuszczać Żelechowa, usiadł obrażony na końcu ławy. Dwudziestoletnia Gołda i młodszy o trzy lata Abraham kłócili się o ostatnie miejsce siedzące. Dawid, jako jedynek nieprzyzwyczajony do takiego harmidru, wtulił się więc w rękaw mamy i wyliczał w głowie porty. Od tygodni pakował swój bagaż. Dwie pary spodni, kilka koszul, buty i książkę do nauki. Udawał, że ma znacznie więcej rzeczy, i wkładał do skórzanej sakiewki wymyślone

przedmioty, które i tak byłyby za duże, by się do niej zmieścić. „Lornetka na pewno przyda się do obserwacji ptaków. Biorę. Wędka do łowienia wielkich ryb. Siatka na motyle. O nie, tyle miejsca nie ma, albo wędka, albo siatka na motyle...”

Dziadkowie

Pierwszym przystankiem był dom dziadków Budzyńskich w Garwolinie. Chcieli chociaż kawałek drogi przebyć wspólnie. Wtedy po raz ostatni Dawid ich widział. Dziadek Mosze zastępował mu ojca, który wyjechał do Ameryki rok po jego narodzinach. Dawid był małym księciem dla babci Sary, zakradał się do jej łóżka, gdy u nich nocował. Pamięta, że była ciepła i miękka w dotyku, grzała mu stopy o swoje stopy.

W domu dziadków na dole mieścił się warsztat krawiecki, który zniknął w szabat. Babcia zaczynała sprzątać o dwunastej, trzy godziny później nie było śladu po drewnianych stołach i ścinkach materiałów. W sobotnie zimowe poranki przychodził goj i rozpalał w piecu. Pod podłogą w kuchni była spiżarnia zastępująca lodówkę. Gdy babcia otwierała kłapę, pachniało mokrą ziemią. Chowała tam ziemniaki, dzemy i ogórki. Kilka lat później w Kostaryce zamiast lodówki Wajslederowie mieli zamykaną od góry, zbitą z desek skrzynię obłożoną ze wszystkich stron blokami lodu, który topniał po dwóch dniach. Lód kupowało się w sklepach, gdzie sprzedawcy cięli go na kawałki wielkimi nożycami.

Oprócz dziadków Dawid pamiętał też wujka Nisberga. Wydawał mu się bogatszy od dziadka, bo przy drzwiach obok mezuzy miał dzwonek. Był właścicielem fabryki mebli przy ulicy Młyńskiej w Garwolinie. Przed podróżą do Kostaryki podarował Dawidowi drewniane szachy. Chciał, by nigdy o nim nie zapomniał.

Z Garwolina do Gdyni i dalej w świat

– Z domu dziadków w Garwolinie do Warszawy, gdzie spaliśmy u dalekich kuzynów. Następnego dnia po południu kilkoma dorożkami dotarliśmy na dworzec. Było pełno ludzi, krzyczano i przepychano się. Pamiętam jak dziś, że

moja mama weszła do wagonu jako pierwsza. Czekałem na peronie z kuzynami, którzy przyszedli nas odprowadzić. Nagle któryś podniósł mnie wysoko i podał mamie przez okno. Lokomotywa ruszyła pomału, zaczęła się rozpędzać i za chwilę koła już turkotały po szynach.

Z mamą, kuzynami i ciotką Wajslederowie dotarli nocnym pociągiem do Gdyni o 5.44. Było już całkiem widno, słońce weszło tego dnia o 3.15. Na trasie Warszawa–Gdynia, według „Urzędowego rozkładu jazdy i lotów” z 1937 roku, kursował tylko jeden pociąg nocny. Wyjeżdżał o 21.50 z Warszawy Głównej. Zatrzymywał się w Toruniu (23.15), Bydgoszczy (0.22). W Tczewie pociąg dzielony był na dwie części: gdyńską i gdańską.

Dawid nie pamiętał wszystkiego, dając się więc prowadzić pieczętkom w paszporcie. 1 lipca w Warszawie w Komisariacie Rządu Inspektor Emigracyjny wydał Fajdze i Dawidowi wizę. Podpis: N. Taube. Cztery dni wcześniej wbito pieczętkę Konsulatu Kostaryki w Amsterdamie.

Visto bueno para el viaje con el vapor Costa Rica en el mes de julio 1937. Visto bueno en el CONSULADO de la República de la COSTA RICA, en Amsterdam a los veintiocho (28) días del mes de Junio 1937 [Zatwierdzono podróż parowcem w miesiącu lipcu 1937. Zatwierdzono w KONSULACIE Republiki KOSTARYKI w Amsterdamie, w dniu dwudziestego ósmego (28) czerwca 1937]. Cónsul (podpis nieczytelny). Pieczętka: Consulado de Costa Rica, Amsterdam.

To mało możliwe, by Fajga pojechała aż do Holandii po wizę. Prawdopodobnie skorzystała z usług agencji emigracyjnej, których w okresie międzywojennym było w Polsce około sześciuset (działały w ramach jednej spółki Syndykat Emigracyjny SA).

Kolejna pieczętka już z Dworca Morskiego w Gdyni, 2 lipca. Tego dnia z Gdyni do Hawru „wyszła s/s Warszawa z 335 pasażerami (34 I klasy i 301 III klasy)”. Wśród tych trzystu jeden ośmioro jest mi znajomych.

– Nic tam wtedy nie było, dwa–trzy budynki i ot, cała Gdynia – wspominał Dawid.

Ale Gdyni pewnie w ogóle nie widział, bo choć znał Warszawę i Garwolin, pochodził ze sztetlu, więc modernistyczne miasto zrobiłoby na nim wrażenie. Tak dla „Wiadomości Literackich” w 1937 roku pisał o nim

Zbigniew Uniłowski: „Gdynia [...] była budowana jak gdyby w tańcu. Jako człowiek nastroju i gość kilku wielkich miast portowych świata stwierdzić muszę wesołą odrębność Gdyni, jeśli chodzi o atmosferę cechującą nadbrzeżne skupiska. Jak podłotek, który przed pierwszą randką źle maluje usta, tak Gdynia wzrusza swoim nieporadnym flirtem z uwodzicielskim doświadczeniem morza. Ciągłe zdają się być przed pierwszym pocałunkiem”.

Może Fajgę i Dawida z pociągu od razu skierowano do Obozu Emigracyjnego w Grabówku, zwanego też Etapem Emigracyjnym? Otwarcie obozu, zaprojektowanego z wielkim rozmachem, nastąpiło dwa lata wcześniej, w 1935 roku. Miał być tak duży jak pięć krakowskich Rynków Głównych i zajmować powierzchnię stu osiemdziesięciu tysięcy metrów kwadratowych, ale wybudowano tylko trzy z dwudziestu planowanych budynków. Podzielony był na stronę „brudną” (dla siedmiuset osób) i „czystą” (dla tysiąca trzystu osób). Recepcja miała obsługiwać czterystu emigrantów, kuchnia wydawać tysiąc sto posiłków w tym dwieście pięćdziesiąt koszernych. Dla Żydów sala modlitw, dla chrześcijan kaplica. Dla najmłodszych emigrantów żłobek i pokój zabaw (dla sześćdziesięciu–osiemdziesięciu maluchów). Oprócz tego sypialnie drugiej i trzeciej klasy, biblioteka, czytelnia, sale odczytowe. Ambulatorium, miniszpital, łaźnia i stacja dezynfekcyjna. Dla obsługi mieszkania, dla zwierząt obory, chlewy i kurniki. Kiedy Dawid z mamą opuszczał Polskę, przez Gdynię emigrowało miesięcznie zaledwie tysiąc pięćset do dwóch tysięcy osób. Pod koniec lat dwudziestych, gdy budowano obóz, wyjeżdżało ich dziesięć razy więcej, zatem kompleks planowano tak, by mógł obsłużyć około sześciuset emigrantów dziennie. W połowie lat trzydziestych część budynków udostępniono szkole. Książka adresowa z 1937 roku zawiera informacje o noclegach letnich oferowanych przez Obóz Emigracyjny.

Doktor Marcin Szerle, gdyński historyk, uważa, że Wajslederowie przebywali w Grabówku co najmniej kilka godzin. Przed koszernym śniadaniem musieli się zarejestrować: pokazali w recepcji paszporty i bilety na statek. Ich bagaż podręczny został przejrzany i czekał na odbiór po „czystej” stronie. Dawid miał tylko przepasaną przez ramię prostokątną

skórzaną torebkę. Przed podróżą nosił w niej książki do chederu. Może zapakował do niej kilka skarbów? Ołówek, kamyk z żelechowskiej ulicy?

Następnie zostali skierowani do fryzjera. Wszy nie znaleziono. Potem Dawid czekał na mamę w poczekalni. Fajgę poproszono o rozebranie się, a następnie ogolono jej miejsca intymne. Wzięła prysznic, zadbała o toaletę Dawida i przeszli do gabinetu, gdzie skontrolował ich lekarz. Zaglądał do uszu i gardła. Ważył i mierzył. Osłuchiwał zimnym stetoskopem.

Byli gotowi do drogi. Odebrali bagaż podręczny i czekali na pociąg, który miał ich zawieźć do Dworca Morskiego. Trasa ta zwana była „torem do Ameryki”.

Linja Gdynia–Ameryka

Pociąg zbliżał się z łoskotem do Nabrzeża Francuskiego. Słysząc było gwizdy i pokrzykiwania konduktorów. Dawid nie spał od piątej rano, marzył o ciepłym łóżku u dziadków w Garwolinie. Przypomniawszy sobie, jak pod pierzyną babci spali w czwórkę: on, Ruchla, Mosze i Abraham. Teraz siedzieli na jednej ławce w wagonie, było ciasno i wbijali sobie łokcie w bok. Herc płakał, Mosze wrzeszczał, że już tego nie wytrzyma. Ciotka uciszała dzieci, Fajga uspokajała ciotkę. Dawid zatkał uszy i zbliżył buzię do porysowanej szyby. Oczy mu się zamykały. Spod półprzymkniętych powiek zobaczył wyłaniający się zza zakrętu prostokątny budynek. Nigdy takiego nie widział. Front budowli przypominał mu metalowe płytki cymbałków. Pociąg zatrzymał się pod płaskorzeźbą orła polskiego. Dawid zeskoczył lekko po żeliwnych stopniach. Poczł dziwny, słonawy smak. Zadarł głowę, obserwując lot mew. Przeliterował napis na budynku dworca: „LINJA GDYNIA–AMERYKA”. A więc to tutaj zaczyna się Ameryka! Ucieszył się, bo to oznaczało, że zbliżają się do taty. Fajga kazała mu trzymać się jej rękawa. Dokoła było wiele dzieci, większość przypominała Dawidowi kolegów z żelechowskiego chederu. Przepychając się w drzwiach, udało im się wejść do środka dworca. Dawid nigdy nie widział tylu ludzi naraz. Może dzień wcześniej w Warszawie, ale tutaj podróżujący byli inni. Nie uśmiechali się, mieli zatroskane miny. Wszędzie słyszał jidysz. Szuranie, tupanie, stukanie. Wzrost nie pozwalał mu

zobaczyć wszystkiego, więc oglądał nogi i buty. Długie spódnice, spodnie w kant i trzewiki. Czarne, brązowe i czerwone. Były jak w tańcu. Po prawej mignął mu złoty napis: „BAGAŻ”, po lewej musiała być poczta, bo słyszał stukot pieczętek. Zawsze zastanawiał się, czemu panie na poczcie wkładają w to tyle siły. Mówił babci, że marzyłaby mu się praca na poczcie, ale powiedziała, że to niemożliwe, że Żydzi nie mogą. Pochłonięty myślami utknął między spódnicą w kwiaty a granatowymi spodniami. Mama szarpnęła go za rękę. Weszli na szerokie, imponujące schody. Przystanął pod rzeźbą wielkiej głowy jakiegoś pana.

– Mamo, kto to?

– Piłsudski przecież, polski prezydent – odparła Fajga niecierpliwie, popychając go do przodu. Dawidowi przypomniało się, jak z dziadkiem śpiewali „Marsz, marsz Piłsudski”. Może to ten sam? Fajga pokazała paszport inspektorowi, który wbił pieczętkę i kazał iść dalej, do poczekalni. Statek wypływał za godzinę.

S/S Warszawa

– W porcie pełno było Żydów z całej Polski. Płynęli we wszystkie strony świata. Do Ameryki, Kolumbii, Argentyny, Kanady. Spotkaliśmy tylko jedną rodzinę, która wybierała się do Kostaryki. Flikierowie byli z Ostrowca. Bardzo się do tej pory przyjaźnimy, to nasi *hermanos de barco*.

Dawid opowiadał mi wielokrotnie o braciach i siostrach ze statku. O tym zjawisku pisał też Horacio Vázquez-Rial, argentyński pisarz: „Język jidysz stworzył wyjątkowe słowo, które definiuje przyjaźń zawartą w trakcie ucieczki z Europy: *szifbruder*, *hermano de barco*. Te przyjaźnie, z reguły wiążące na całe życie, były charakterystyczne dla masowych migracji. Brat ze statku stawał się wujkiem dla dzieci wychowywanych na drugim końcu świata”.

– Podróż do Kostaryki trwała długo, czasem miesiąc czy półtora. Razem się jadło i spało, pożyczano pieniądze na nowe życie i snuło plany. Na statku spędziłem trzy tygodnie, grając w berka z moim kuzynem Moszkiem i córką pani Flikier, Ruchlą. Siedemdziesiąt lat później, gdy spotkałem ją

w supermarkecie, żartowała z kasjerką: „Z tym panem płynęłam z Polski do Kostaryki. Pamiętam, że bez przerwy ciągnął mnie za włosy!”. Przez całe życie wspominaliśmy naszą przeprawę, był to zawsze nasz ulubiony temat rozmowy.

Wajslederowie przeszli na statek po trapie z nabrzeża.

– Wsiadliśmy na mały statek, który nazywał się Warszawa. Miał nas zawieźć do Francji, gdzie czekał parowiec do Kostaryki.

W dniu podróży Fajgi i Dawida, kapitanem Warszawy był przypominający Humphreya Bogarta Jan Ćwikliński, po wojnie kapitan Batorego. We wspomnieniach pisał, że „Warszawa nie miała kabin II klasy. Emigranci, którzy rozlokowywani byli po sześciu i ośmiu w jednej kabinie, to byli z reguły Polacy lub Ukraińcy zmierzający do Ameryki Północnej lub Południowej. Dowoziliśmy ich do portów w Londynie i Hawrze”.

2 lipca 1937 roku w Gdyni morze było spokojne. Czy było takie przez całą drogę do Hawru? „Na poczciwej Warszawie zdarzały się dni trudne. Przechylało nią tak, że strumienie spienionej wody przetaczały się ponad statkiem, a marynarze obrywali niezły prysznic” – pisał Ćwikliński. Dawid nie pamiętał pogody ani siły wiatru. Nie wspominał marynarzy ani przystojnego kapitana.

– Z podróży pamiętam głównie figle – ostrzegł mnie na początku. – Gdy byliśmy już na morzu, podszedł do mnie nieznajomy i zapytał, gdzie mam pieniądze, które mama dała mi na przechowanie. Na pokład nie wolno było zabierać pieniędzy, było to zabronione przez panów inspektorów. Speszony, nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć, krzyknąłem więc: „Mamo, gdzie są te pieniądze, które kazałaś mi schować?”. Dałem plamę, czułem się głupio wobec mamy, bo musiała płacić karę. W tym samym dniu mijaliśmy fabrykę wina. Jej pracownicy sprzedawali pasażerom trunki, podając go w torbach zawieszonych na długich drewnianych kijach. Przypominało to siatki na motyle. Nagle pewien młodzieniec wrzasnął w jidysz, żeby nie kupować od Niemców, bo zabijają Żydów. Podszedł i wyrwał z ręki jednemu chudemu Żydowi butelki, a następnie wyrzucił je za burtę. Z Moszkiem i Ruchlą kuliliśmy się ze strachu w kącie pokładu.

Z każdą opowieścią Dawida s/s Warszawa dopływała do innych portów: pierwszy raz zacumowała w Paryżu, drugim razem zawinęła do Amsterdamu, za trzecim – do Londynu. W rzeczywistości statek, który 2 lipca wypłynął z Dworca Morskiego w Gdyni, dotarł pięć dni później do Hawru (potwierdza to pieczętka w paszporcie Fajgi: 07 *JUILL* 1937 *HAVRE TRANSMIGRANT, DÉSEMBARQUEMENT* [7 LIPCA 1937 HAWR W DRODZE DO PAŃSTWA DOCELOWEGO, ZEJŚCIE ZE STATKU]). Wrócił do Gdyni 13 lipca. We wspomnieniach kapitana Ćwiklińskiego Warszawa najpierw płynęła do Londynu. „Płynąc z Gdyni, przepływaliśmy przez Kanał Kiloński, najpierw odwiedzaliśmy Anglię. Wpływając na Tamizę, sunęliśmy prawie do centrum Londynu, dosłownie rzut beretem od mostu Tower Bridge. Wielkie doki Londynu nie były dla nas. My jednakże wolno posuwaliśmy się zatłoczoną Tamizą, mijaliśmy Wyspę Psów, Rotherhithe i dobijaliśmy w pobliżu Tower of London. Musieliśmy wpływać przy wysokim przypływie. Ważne było staranne trzymanie się kursu. Przy odpływie Warszawa obnażyłaby się ze swoim kilem w błocie, śrubą na wierzchu i wyglądałaby co najmniej zabawnie. Z Londynu płynęliśmy do Le Havre, a stamtąd wracaliśmy prosto do Gdyni”.

Dawid wspominał o moście w Londynie. Pamiętał go jednak nie z pokładu s/s Warszawy, ale z parowca, którym płynął z Francji do Kostaryki.

– Niedługo po wypłynięciu dotarliśmy do Londynu. Zostaliśmy na pokładzie, nie mogliśmy opuszczać statku. W pamięci pozostał mi most, który unosił się dla przepływających statków. Coś niesamowitego! Była dziesiąta wieczorem, ściemniało się. W mroku migotał oświetlony most. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Całą noc na niego patrzyłem, na żółte światła i ich odbicie w morzu.

Hawr

– Czy wiesz, że na pokładzie Normandie, największego francuskiego transatlantyku, dzieci na kolację dostaną mózdzek, pieczeń i brukselkę? – Dawid skrzywił się na myśl o mózdzku. Stał oparty o barierki na dziobie Warszawy, a poznany w podróży Herszel opowiadał mu o statkach, które stały zacumowane we francuskim porcie. Warszawa wpłynęła na redę ostatnia. –

Żydzi podróżujący trzecią klasą zasiądą do stołu w eleganckiej, oszklonej jadalni. Mają zapewnione koszerne jedzenie przygotowane pod okiem rabina, który pływa między Francją a Nowym Jorkiem kilka razy w miesiącu.

– To jak długo ten statek płynie do Ameryki? – zafrasował się Dawid.

– Cztery dni i trzy godziny, tyle samo co my z Gdyni do Francji! Dwa lata temu Normandię zdobyła Błękitna Wstęga Atlantyku, była najszybsza ze wszystkich transatlantyków. – Dawidowi wydało się to niemożliwe. Czemu mama powiedziała, że do Ameryki płynie się cały miesiąc? Poprosił Herszela, by opisał szczegółowo każdy okręt. – Ten największy to amerykański s/s Washington. Ma basen wykończony ceramiką i marmurem, telefony w kajutach. A tam Lancaster-Castle, przy płynął tu pewnie z Afryki. – Herszel próbował przekrzyczeć wiatr i marynarzy, którzy podawali cumy robotnikom portowym, obkładającym liny na polerach. Wśród tego zgiełku, wrzasku mew i chlupotu fal uderzających o zżartą przez rdzę burzę starzejącej się Warszawy Dawid ledwo dosłyszał wołającą go mamę.

Paryż

Jedenastoletnia Yvonne Levyne 8 lipca 1937 roku poszła z tatą po raz dwunasty na Wystawę Światową, która trwa w Paryżu od maja. Mama dopiero co urodziła drugą córkę, kazała więc tacie zająć się nastolatką. Tata z braku pomysłów codziennie zabierał ją na Exposition internationale (trzy franki za wstęp). Yvonne szczególnie lubiła patrzeć na wieżę Eiffla naprzeciw Wystawy. Drżała na widok niemieckiego pawilonu. Chudy jak chart budynek, wysoki na pięćdziesiąt cztery metry, dźwigał na dachu wielkiego, czarnego orła. Yvonne obawiała się, że jeśli podejdzie zbyt blisko, ptaszysko runie na nią. Po drugiej stronie stał pawilon rosyjski, według Yvonne bardziej ludzki, bo ozdobiony statua trzymającej się za ręce pary.

Do domu wrócili wieczorem. Mieszkali w Le Pletzl, religijnej dzielnicy żydowskiej. Mama przed zaśnięciem lubiła poczytać plotki i zerknąć na zdjęcia gwiazd. „Osiem dni temu przyjechały do nas blondynki, brunetki i rude, olśniewając paryskie ulice swoją młodością i pięknem. Już jutro odpłyną do Nowego Jorku...” – donosił na pierwszej stronie „Paris-Soir”.

Z paryskiego dworca Saint-Lazare rankiem tego samego dnia odjechało czterdzieści osiem tancerek synchronicznych Rockettes Girls. Za oknem Yvonne słyszała odgłos bijatyki i klekot pędzących po kocich łbach taksówek.

Jedną z nich tego samego dnia jechali Dawid z mamą oraz pani Flikier z dwiema córkami, Chaną i Ruchlą. Sara z dziećmi prawdopodobnie pojechała z Hawru bezpośrednio do Boulogne-sur-Mer (Dawid nie pamiętał dokładnie, kiedy się rozdzielili). Siedzieli ściśnięci na tylnym siedzeniu żółtego peugeota 401 z czarnym dachem. Dawid był w samochodzie po raz pierwszy w życiu. Nie mógł się nadziwić, że w środku grało radio.

– Syma Flikier, moja nowa ciotka, poprosiła mamę, by pojechała z nią do Paryża. Sama się bała, a bardzo chciała odwiedzić brata.

Dawid był w stolicy Francji przez dwa lub trzy dni. Nie mieli dużo czasu, statek do Kostaryki odpływał z portu Boulogne-sur-Mer 10 lipca.

– Nie znaleźliśmy dokładnego adresu. Po dwudziestu minutach wjechaliśmy w labirynt wąskich uliczek, które pięły się coraz wyżej. Ludzie wychodzili z domów zobaczyć, kto to jedzie, pomyślałem, że pewnie rzadko przejeżdżają tędy taksówki. Kluczyliśmy jeszcze dwa, trzy kilometry, było coraz mniej latarni, ulice coraz bardziej zaśmiecone. Zatrzymaliśmy się, by zapytać o drogę, i nagle pani Flikier zaczęła machać gwałtownie rękami, krzycząc: „To mój brat! To mój brat!”. Zabrał nas do domu. Kamienica była zaniedbana. Mieli jeden pokój z kuchnią, w której jedliśmy i piliśmy. Dorośli ciągle powtarzali: Hitler to, Hitler tamto. Ja bawiłem się z dziećmi mówiącymi w jidysz. Potem spaliśmy w piątkę na jednym łóżku, słyszałem, jak mama mówi ciotce szeptem: „Jakie to dziwne, że twoja bratowa nie nosi peruki!”. Rano pani Flikier uścisnęła swojego brata po raz ostatni w życiu. Kilka lat później cała rodzina została wywieziona do obozu.

Byłam ciekawa, gdzie dokładnie w Paryżu przebywał Dawid. Zapytałam o to Jeana Birenbauma, którego rodzice przyjechali do Paryża w latach dwudziestych z Piotrkowa Trybunalskiego.

– Brat pani Flikier mógł mieszkać w Belleville – zgaduje. – Tam mieszkali najbiedniejsi Żydzi, nowi imigranci z Europy Wschodniej. Stanowili dwanaście procent społeczności. Połowa nie miała dokumentów. Mieszkania były tanie. Ulice wąskie: jedenaście i pół metra szerokości, w innych

dzielnicach Paryża o pięć metrów więcej, kocie łby nierówne. Żydzi pracowali w domach, byli spodniarzami, prasowaczami, mechanikami, krawcami. Część trudniła się handlem obwoźnym. Szybko zapominali język polski, na ulicach słychać było tylko jidysz i coraz częściej francuski, bo chcieli się szybko integrować. Nikt nie wspominał o Polsce, to była przeszłość. Rozstanie gwałtowne, tym bardziej trudne, bo wielu Żydów Polskę kochało. Teraz stała się dla nich ziemią wyklętą i tylko nowi imigranci przypominali o minionym życiu. To oni przywozili plotki ze sztetli i informacje o zbliżającej się wojnie, jak pani Flikier i mama Dawida.

Boulogne-sur-Mer

Elegancką koję numer 17 zajął pewien pisarz. „Żegluga z Gdyni do Buenos Aires nadzwyczaj rozkoszna... i nawet niechętnie mnie się na ląd wysiadało, bo przez dni dwadzieścia człowiek między niebem i wodą, niczego nie pamiętny, w powietrzu skąpany, w fali roztopiony i wiatrem przewiany” – napisał Witold Gombrowicz w *Trans-Atlantyku*. 29 lipca 1939 roku M/S Chrobry wypłynął z Gdyni na dziewiczy rejs przez Atlantyk do Buenos Aires.

Dwa lata przed Gombrowiczem do Boulogne-sur-Mer przyjechał z Paryża Dawid.

– W pociągu mógł spotkać angielskich biznesmenów, którzy podróżowali w interesach między Paryżem a Londynem. Mógł widzieć opalonych turystów wracających do Anglii z południa Francji – opowiada François Guennoc, mój przewodnik w Boulogne, który starał się odtworzyć dla mnie pobyt Dawida w Boulogne-sur-Mer. Chowamy się w portowej kawiarni przed wichurą. – Miał sporo czasu na obserwacje, bo pociąg z Paryża jechał trzy godziny, tyle samo co teraz i tyle samo co w 1900 roku. Wagony miały przedziały dla sześciu osób i długi korytarz. Pociąg zatrzymywał się w porcie, bo w latach dwudziestych, ze względu na ogromną liczbę imigrantów podróżujących do Ameryki przez Boulogne-sur-Mer, wybudowano dworzec morski. W latach 1928–1929 przyjmował dwadzieścia osiem tysięcy pasażerów rocznie. Potem nastąpił krach, Ameryka zamknęła granice i transatlantyków pływało coraz mniej. Dawid z mamą płynęli przez Boulogne, bo najprawdopodobniej tam

skierowali ich agenci. Niemieckie porty w połowie lat trzydziestych stały się dla Żydów niebezpieczne.

Pięć ton sztabek złota prosto z Ameryki dla Banque de France. Tyle dźwigał na pokładzie w 1931 roku Hollande, parowiec przewożący pasażerów z portu na redę w Boulogne. Był długi na czterdzieści metrów, miał nietypowy zielony komin z czerwoną obręczą.

– W czasach gdy Dawid przeprowiał się na Karaiby, pasażerowie wszystkich klas statku Hollande podróżowali razem, bo był tylko jeden pokład – kontynuuj opowieść Guennoc. – Imigranci z pewnością mieli wydzieloną przestrzeń, tak samo jak i teraz, gdy na statkach z greckiej wyspy Lesbos uchodźcy są separowani od turystów. Hollande cumował przy burcie transatlantyku, do którego pasażerowie wchodzili po chwiejnych sztormparach, drabinkach sznurowych z drewnianymi stopniami.

– Port, z którego odpływał nasz statek, nie był dostatecznie duży, by przyjąć tak wielki transatlantyk – przypomniał sobie Dawid. – Wspięliśmy się po kładce na pokład niewielkiego stateczku, który wywiózł nas na pełne morze. Nigdy nie zapomnę, gdy pierwszy raz zobaczyłem Costa Ricę. Musiałem podnieść oczy wysoko ku niebu, by dojrzeć dym unoszący się z potężnych kominów. Moi kuzyni zwinnie wskoczyli na sznurową drabinkę dzielącą jeden statek od drugiego, ale ja bałem się wpaść do lodowatej wody, więc jeden z marynarzy wziął mnie pod pachę. W ten sposób, jak wtedy myślałem, wspięliśmy się na największy okręt na ziemi.

S/S Costa Rica

Costa Rica była niegdyś księżną. Pod koniec lat dwudziestych pływała z San Francisco do Singapuru i Batavii. W 1930 roku zmieniła się nie do poznania. Wybudowana w amsterdamskiej stoczni na początku wieku Prinses Juliana mierzyła sto trzydzieści osiem metrów (Titanic był dwa razy większy). Osiągała prędkość piętnastu węzłów (Titanic dwadzieścia cztery, a Queen Mary trzydzieści dwa). Gdy w 1930 roku, kupiona przez holenderską kompanię Koninklijke Nederlandse Stoomboot-Maatschappij (KNSM), stała się S/S Costa Ricą, dostała nowy komin (teraz miała już dwa), osobny pokład

dla dzieci (z drewnianymi końmi na biegunach), palmiarnię, salon spacerowy i kajuty dla pasażerów trzeciej klasy. Od razu wyruszyła w drogę na Karaiby.

Mama Dawida kupiła bilety na s/s Costa Ricę najprawdopodobniej w Warszawie, w agencji KNSM. Dwa tygodnie przed podróżą wpłaciła dwadzieścia pięć procent sumy, resztę opłaciła w Boulogne-sur-Mer. Dawid załapał się jeszcze na zniżkę, bo bilet dla dzieci od trzech do ośmiu lat kosztował jedną czwartą ceny. Pani Wajsleder w sumie za dwa bilety trzeciej klasy zapłaciła sto czterdzieści dwa dolary i pięćdziesiąt centów. Bilet w pierwszej klasie był dwa razy droższy („cena obejmuje obsługę, nocleg i wyżywienie. Na pokładzie istnieje możliwość zakupu wina, piwa, wody mineralnej, tytoniu, papierosów i cygar w niewygórowanych cenach”). Kompania proponowała też piętnaście procent zniżki dla rodzin, przy czym „słowo rodzina oznacza: rodziców, ich dzieci, matkę, ojca, siostrę, brata, teściową, teścia, pasierba lub pasierbicę, synów i synowe, a także guwernantki i nianie, towarzyszące podróżującym dzieciom. Służący mogą podróżować za dwie trzecie ceny tą samą klasą co ich pracodawcy. Kompania przysługuje sobie prawo do przygotowania im miejsca do spania na rozkładanej koi. Każdy z pasażerów ma prawo do podróżowania z bagażem podręcznym, za który nie płaci. Może też zabrać do kabiny jeden bagaż o wymiarach nie większych jak 90 × 60 × 40 cm, ważący maksymalnie 150 kilogramów. Każdy bagaż dodatkowy jest odpłatny dwadzieścia guldenów od sztuki (około dziesięciu dolarów)”.

Transport kota kosztował połowę tego co dodatkowy bagaż, pies był dwa razy droższy. „Pasażerowie podróżujący ze zwierzętami nie mogą trzymać ich w kabinie ani spacerować po pokładzie. Istnieje możliwość wynajęcia leżaków w cenie 2,5 guldena za sztukę (nie licząc koca)”. Lekarz przyjmował wszystkich pasażerów za darmo przez całą podróż. Każdy ze statków wyposażony był w bibliotekę (z książkami na temat egzotycznych miejsc, które zwiedzą pasażerowie), basen na świeżym powietrzu, ciemnię do wywoływania zdjęć, telegraf bezprzewodowy. Pasażerowie mogli też skorzystać z usług golibrody i fryzjera dla pań.

s/s Costa Rica, według rozkładu z lat trzydziestych, wypływała z Hamburga. Europejskich podróżnych zabierała z Amsterdamu, Boulogne-sur-

Mer i Dover. W sumie mogła pomieścić stu czterdziestu czterech pasażerów w pierwszej klasie, pięćdziesięciu sześciu w drugiej i o dwóch więcej w trzeciej. Po czterech nocach żeglugi docierała na portugalską Maderę.

– Na statku całymi dniami z Ruchlą i Moszkiem biegaliśmy po pokładzie – wspominał Dawid. – Któregoś dnia poślizgnąłem się na mokrych deskach i zwicznąłem bark. Marynarze zanieśli mnie do specjalnej kajuty, gdzie czekał już na mnie lekarz. W tej samej kajucie przeleżała prawie całą podróż moja mama, która cierpiała na chorobę morską. Była blada jak ściana.

Po tygodniu Costa Rica była już na Karaibach.

Statek zatrzymywał się na kilku wyspach, ale tylko w niektórych portach można było zejść na ląd. Statek cumował na Barbadosie, Trinidadzie, potem w Wenezueli: w porcie Caracas-La Guaira i Puerto Cabello. Na jedną noc wpłynął do portu holenderskiej wyspy Curaçao.

– Czasem nam się nudziło. Raz wymyśliłem, że będę łowić ryby. Z Żelechowa zabrałem skórzaną sakiewkę, w której nosiłem książki do chederu. Zwinąłem jednemu z marynarzy kawałek sznurka, przywiązałem go do paska torebki, do środka wsypałem okruchy chleba i zarzuciłem za burtę. Gdy pociągnąłem za sznurek, sakiewki już nie było. Przed spaniem musiałem powiedzieć o tym mamie, która dała mi karę.

W Kolumbii s/s Costa Rica zatrzymała się w trzech portach, oddalonych od siebie o sto kilometrów: Santa Marta, Puerto Colombia i Cartagena. W Panamie, w porcie Colón, Noe doradził Fajdze zrobić zakupy, bo było taniej.

– Rozmawialiśmy w jidysz, ale niektóre słowa mówiło się po polsku, jak „plusz” – opowiadał Dawid. – To był miękki, miły w dotyku materiał. Mama kupiła pluszowe kapy na łóżka, mówiło się na nie „pluszki”. Większość kupowała je jako dekoracje. Były to małe dywaniki, które wieszano na ścianie w domu. Istniały we wszystkich kolorach: ciemnej kawy, wina, niebieskie. Piękne. Mama kupiła też płócienne poszewki na kołdry i poduszki, a także dwie zastawy z porcelany, jedną na Pesach, drugą na co dzień. I obrusy! Bardzo dużo obrusów. Jeden był purpurowy ze złotym brzegiem. Używaliśmy go aż do śmierci mamy.

Z Panamy transatlantyk popłynął jeszcze na trzy noce do Kingston na Jamajce, a potem do Puerto Limón w Kostaryce.

– Na Jamajce nie mogliśmy zejść z pokładu, staliśmy w porcie. Wtedy pierwszy raz zobaczyłem Murzynów. To byli chłopcy w moim wieku, którzy biegali koło statku i wyciągali ręce w naszym kierunku, prosząc o pieniądze. Niektórzy pasażerowie rzucali monety, ale byliśmy zbyt daleko od nabrzeża, więc wpadały do oceanu. Chłopcy wskakiwali do wody na główkę i wyławiali je zębami. Patrzyłem jak zaczarowany, ja nawet nie umiałem pływać, a co dopiero nurkować! Potem w podstawówce miałem kilku czarnych kolegów. Przezywali mnie „biała pchełka”, *pulga blanca*. Ale największe wrażenie zrobił na mnie kapitan portu w Limón. Przy płynięści 4 sierpnia około szesnastej. Było za późno, by zakotwiczyć w porcie, czekaliśmy więc dwanaście godzin na redzie. Jest taka tradycja, że każdy statek wprowadza do portu kapitan, bo tylko on zna wszystkie jego zakamarki i pułapki. Pamiętam to jak dziś. Na pokład wszedł bardzo czarny pan w białym mundurze. Kazał zaciągnąć dwie flagi: Kostaryki i Holandii. Podbiegłem do niego, bo założyłem się z Moszkiem, że go dotknę. Chciałem sprawdzić, czy jak podrapię, to zejdzie mu czarna farba ze skóry! Wcześniej nie widywałem czarnych ludzi. W Polsce byli, ale w cyrku, a do Żelechowa nie przyjeżdżał. Słyszałem też, że czarnych ludzi pokazywali w warszawskich night clubach, ale nie wiem, czy to prawda.

Według księgi wejść i wyjść statków, którą znalazłam w archiwum w Kostaryce, 5 sierpnia 1937 roku w Puerto Limón wysiadło dziewiętnastu pasażerów. Siostra Clara Luz z Meksyku. Wracająca do domu rodzina Borbon Gonzales – mama, tata i dwoje nastolatków, Enrique i Mercedes. Wsiedli w Caracas. Dwudziestosiedmioletni Alejo Bugerer Ponz z Hiszpanii, handlarz. Jedenastu Polaków („*nacionalidad: Polaca*”) płynących z Boulogne [pisownia oryginalna]: „Szyma, Roza i Chana Flikier, Fajga N. i Herc Dawid Wajsleder, lat sześć”. Jak podaje tabela rejestru, z zawodu mama Dawida była „*domestica*”, czyli gospodynią domową, a Dawid „*niño*” – dzieckiem. Sara Cydelska (lat 41) z piątką dzieci: Gołdą, Abrahamem, Ruchlą, Hercem Percem i Moszkiem.

– Oto dowód, że nic nie wymyśliłem! – zawołał Dawid, gdy dałam mu kopię strony z rejestru portowego. s/s Costa Rica w 1941 roku została zbombardowana przez niemiecki samolot u brzegów Krety. Pływała po wszystkich morzach i oceanach świata przez trzydzieści dwa lata.

W Ameryce. Puerto Limón

– „To jest twój tata”, powiedziała mama, wskazując jednego z machających w naszym kierunku panów w kapeluszu. Tatę pamiętałem z obrazka, który wisiał nad naszym łóżkiem, ale teraz wyglądał inaczej. Czekał na nas w porcie ze stryjkiem Oscarem. Stryjek był w grupie pierwszych Żydów, którzy wyjechali z Żelechowa do Kostaryki. Chciał do Stanów, ale nie było takiej możliwości. Jak tylko dotarł do San José, to od razu udał się do ambasady amerykańskiej i złożył podanie o wizę. Pięć lat później, w piątek, dostał telegram: „Oscar Weisleder ma zgodę na wyjazd do Stanów Zjednoczonych. Niezwłocznie stawić się w Ambasadzie”. Wajslederowie stali się w Kostaryce „Weislederami”. Był szabat, Oscar po siedemnastej nie mógł podróżować. Mieszkał w Cartago, daleko od ambasady. „Gdzie będę spał z piątku na sobotę?”, zastanawiał się. Zdecydował, że pojedzie w poniedziałek. Wstał o świcie i złapał pierwszy autobus do stolicy. Do ambasady dotarł o siódmej, ale otwierali dopiero o dziewiętej. Czekał cierpliwie. Konsul popatrzył na niego spod okularów: „Panie Weisleder, tu jest napisane »niezwłocznie«. A dziś jest poniedziałek”. „Przepraszam, ale szabat mnie zatrzymał”, odpowiedział wujek. „Bardzo mi przykro, trzeba będzie złożyć nowy wniosek”. Oscar wrócił do domu i podarł telegram. „Noe – zwrócił się do mojego taty – zapomnij o Ameryce. Zostajemy tutaj”. W porcie oczekiwali nas prawie wszyscy członkowie społeczności żydowskiej. Była to nasza tradycja, której przestrzegaliśmy przez wiele lat: gdy przybywali nowi imigranci, jechaliśmy witać ich do Limón. Wsiadliśmy do pociągu, drogi dla samochodów nie istniały. Jednym z pierwszych przystanków było Cartago, tam wysiadł stryjek Oscar, ciotka Sara i wszyscy kuzyni. My pojechaliśmy dalej, do San José. Nie było to łatwe mieć nagle tatę. Od początku był dla mnie bardzo surowy. Czuję, jakbym z nieba przeniósł

się do piekła. Co wieczór przed zaśnięciem wspominałem każdy zakamarek domu w Garwolinie. Bardzo tęskniłem za dziadkami.

Rodzina w Polsce

„Dnia 14 IX 41. Moi kochani. Komunikuję, że wszyscy żyjemy i jesteśmy zdrowi, napisz, co słyhać u was i jak twoje dzieci się miewają. Wszystkiego dobrego z intencji nowego roku. Pozdrowienia dla wszystkich. Helena”.

Nadawca: H. Nisberg. Garwolin. Młyńska 6. Na adresie odbita czarna pieczętka z orłem i swastyką. Adresat: Noe Wajsleder, Costa Rica, San José, apartado 17/56.

To był przedostatni list, jaki rodzina Weislederów dostała od bliskich.

Pierwszym, który dostarczył do Kostaryki wiadomości o rodzinie, był kuzyn Aron. Przegapił koniec wojny.

– Miał szesnaście lat, pracował pod ziemią w berlińskiej fabryce amunicji – opowiadał Dawid. – Kilka dni z rzędu nie dostał porcji ryżu, wspiął się więc na powierzchnię, a tam okazało się, że wojny już nie ma. Trafił do Jointu. „Masz gdzie rodzinę?” „Tak, ciocię”. „A gdzie?” „W San José”. „Jak się nazywa?” „Fajga Necha Budzyńska”. Wysłali kartkę do San Jose w Kalifornii, ale tam nikt o niej nie słyszał. Wysłali ten sam list do Kostaryki, ale tam również nie znano pani Budzyńskiej. Przez przypadek kartkę zauważyła koleżanka mojej mamy Sara Ickowicz. Wiedziała, że Fajga Budzyńska to Ofelia Weisleder. W Kostaryce wszystkie Fajgi zrobiły się Ofeliami. Wszystkie Ruchle – Rosami.

Notka Arona dotarła do Fajgi po dwóch latach. Prosił w niej o wizę, więc kazała mu wysłać zdjęcia paszportowe i rentgen płuc. Tymczasem Aron zdecydował jednak, że pojedzie do Palestyny. Był rok 1947. Mama Dawida nigdy go już nie zobaczyła, ale w liście z Izraela Aron opisał, co się stało z rodziną Wajslederów, choć niewiele wiedział. Kuzynka Gitla z córką chowały się u katolików w piwnicy. Cztery miesiące przed końcem wojny rodzina poprosiła, by poszły gdzie indziej, bali się nazistów. Gdy tylko pojawiły się na ulicy, zostały rozstrzelane. Dziadków Budzyńskich, donosił Aron, zabiło chyba bombardowanie Garwolina.

– Dom pewnie trafiła bomba, więc zginęli na miejscu. Ale nie mam pewności, nikt tego nie widział – mówił mi Dawid.

W *Garwolińskiej księdze pamięci* trafiłam na ślad dziadków Budzyńskich. „Getto w Parysowie było zlikwidowane pierwszego dnia chol hamoed na Sukot w roku 1942. Ja i moja żona – pisał Mordechaj Rotman – ukryliśmy się we wsi Jagodne niedaleko Garwolina. Tam przebywaliśmy do końca 1944 roku, kiedy to armia rosyjska zajęła okolicę. Chcę jeszcze dodać, że przedtem w Parysowie przebywali jeszcze garwoliniacy, których nazwiska zapamiętałem.

Szlojme Rotfus, żona i dzieci.

Chana Grynberg i dzieci.

Mojsze Budzyński. Żona Sara. Odwiezieni do Treblinki”.

Podczas jednej z naszych pierwszych rozmów Dawid opowiedział mi, jak w 2000 roku pojechał do Polski. Nie miał w planach odwiedzić Treblinki, ale był niedaleko.

– Ten obóz był inny od pozostałych. Pole, kamienie i nazwy miejscowości, z których pochodzili zamordowani tam Żydzi. I spokój. Cisza. To może i dziwne, ale dobrze się tam czułem – mówił wtedy, nie znając prawdziwej historii dziadków.

W Żelechowie, dokąd pojechałam w lutym 2016 roku, by odnaleźć sztetl, o którym opowiadał mi Dawid, poznałam panią Frankowską, opiekunkę Izby Pamięci znajdującej się w małej salce w bloku nad przychodnią. Opowiedziałam jej historię Dawida, a ona wręczyła mi plik dokumentów. Wciąż nie wiedziałam, co się stało z wujkiem Nisbergiem. Przeglądałam grubą teczkę: były tam kopie dowodów osobistych i paszportów przedwojennych, księga adresowa Polski z 1929 roku, odręcznie spisana legenda o powstaniu miasta, artykuły naukowe o chasydyzmie na ziemiach dawnego Królestwa Polskiego, sprawozdania ze spotkań żydowskiej samopomocy społecznej z 1942 roku. Czytałam wszystkie listy i odręczne notatki, które pani Frankowska zgromadziła przez lata – niektóre przywieźli Żydzi odwiedzający Żelechów, inne dostarczył Michał Sztelmach, dyrektor lokalnego Domu Kultury. Jeden dokument przykuł moją uwagę. Była to spisana ręcznie relacja Haliny Gedanken (po mężu Cymbrowicz) z 1962 roku,

pochodząca z archiwum zeznań ocalałych Żydów ŻIH-u. Pismo Haliny było eleganckie, lekko pochyłe, literki okrągłe, ale kartka pełna skreśleń. Na piątej stronie niektóre zdania były już nieczytelne, a opowieść chaotyczna.

„Już we wtorek czuło się, że zbliża się wysiedlenie [...]. Ludzi, którzy nie chcieli opuścić domów, zabijano, domy podpalano. [...] O godz. 11 wyszliśmy z Żelechowa do Sobolewa. [...] Już od samego początku myślałam o ucieczce, licząc na swój nieżydowski wygląd. Dopiero pod samym Sobolewem, we wsi Milanówek, poprosiłam granatowego policjanta, by za ostatni pierścionek przyniósł trochę wody. Gdy on się oddalił, zeskoczyłam z mijanego mostku do wody i ukryłam się pod nim. Tam przeczekałam, aż się ściemniło. Wówczas weszłam do pierwszej z brzegu chałupy w Milanówku. Powiedziałam, że uciekłam przed łapanką do Prus i proszę o przenocowanie mnie. Gospodarz nazywał się Józef Tobiasz i zgodził się. Byli to b. zacni starsi ludzie. [...] Potem znajomy zabrał mnie do wsi Goniwilk. Tam mieszkali znajomi moich rodziców, Krukowie. [...] Była to b. biedna rodzina składająca się z 7 osób. Od razu po przyjeździe do nich cała rodzina przeszła tyfus, zawleczony przez Żyda, kolegę p. Kruka z wojska. Ja też zachorowałam, dziadek p. Sobiech (ojciec Krukowej) zawiózł mnie do Garwolina do szpitala na wynajętej za własne pieniądze furmance i ulokował jako swoją wnuczkę. [...] Przez cały pobyt w szpitalu dziadek przyjeżdżał i opiekował się mną. [...] Gdy po chorobie nie miałam co ubrać, Krukowa oddała mi swój jedyny czarny sweter. [...] W maju czy czerwcu 1943 r. musiała mnie Krukowa ulokować gdzie indziej, gdyż pobyt u niej ze względu na szantaże sąsiadów stał się niemożliwy. Zawiózł mnie wtedy dziadek Sobiech do gajowego Lasoty, do wsi Unin, pow. Garwolin, gdzie służył brat Krukowej. Ja też byłam tam jako służąca [...]. Mój gospodarz wiedział, kim jestem, odnosił się do mnie jak najlepiej. Ukrywał on zresztą dwóch Żydów, Fajnzilbera z Sobolewa i Nisberga z Garwolina (stolarz), którzy niestety zginęli przed samym wyzwoleniem”.

Nisberg, stolarz z Garwolina, to wujek Dawida, który przed podróżą do Kostaryki wystrugał dla niego szachy.

Zwykle dzwoniłam do Dawida co tydzień, ale tym razem nie mogłam się zebrać, by powiedzieć mu o tym, co znalazłam. Czy powinnam? Wreszcie, po

trzech tygodniach, wykręciłam jego numer domowy.

– Ania, myślałem, że już cię gdzieś zgubiłem! – przywitał się ze mną wesoło Dawid. Gdy przekazałam mu informacje o dziadkach zamordowanych w Treblince i wujku Nisbergu, bardzo długo milczał. Potem powiedział tylko: „*Así es la vida, así es...*” [Takie jest życie]. Zwykle gadatliwy, tym razem nie chciał rozmawiać.

W Ameryce. Miłość

Leży w łóżku i mruczy w jidysz: „*Jidl mitn fidl, hej, jidl, fidl, szmidl, hej, dos lebn iz a szpas*” [Żyd ze skrzypcami, hej, Żyd, skrzypce, szmidl, hej, życie jest żartem]. I tak całe noce.

W liceum marzył o niebieskim głosie: „*la voz azul*”. W pierwszej klasie rekrutowano uczniów do szkolnego chóru *a capella*. Śpiewali wszyscy po kolei. Głosy miały kolory: najgorszy był czerwony („*rojo*” – dyskwalifikacja), potem niebieski i zielony. Od drugiej klasy śpiewał z chórem w żeńskich gimnazjach, raz nawet w Teatrze Narodowym.

W samochodzie podśpiewuje: „*Belz, majn sztetele Belz, majn hejmele, wu ich hob majne kindersze jorn farbracht*” [Moje miasteczko Belz, mój mały dom, w którym spędziłem dzieciństwo]. Skręcamy w ulicę, przy której w latach sześćdziesiątych z młodszym bratem Abrahamem wybudował Leonardo Disco Club, największą dyskotekę w Ameryce Centralnej. Dawid zabiera mnie na wycieczkę po San José jego młodości.

– Jak przyjechałem do Kostaryki, to nie było asfaltu, tylko jasnobrązowa ziemia. Wszędzie unosił się kurz, od kół samochodów odbijały się grudki suchej ziemi. Jedynie Avenida Central i kawałek Avenida Segunda były wyasfaltowane. Gdy padało, dziurawe ulice zalewało błoto. Deszcz wydawał się gęsty, ciężkie krople spadały na głowę. Robiły tyle hałasu, kiedy uderzały o blaszane dachy, że musieliśmy do siebie pokrzykiwać. Powstawały ogromne kałuże, tak duże, że przypominały małe jeziora. Ganialiśmy po tym deszczu całą chmarą. Na bosaka. Graliśmy w berka. Stopy miękko nurzaliśmy w błocie. Co jakiś czas któryś z chłopców wpadał po pas do wody, było sporo śmiechu. Gdy się przejaśniało, robiliśmy statki z papieru. Siadaliśmy we

dwóch czy trzech nad największą kałużą, kładliśmy białe statki na brunatnej wodzie i na trzy, cztery dmuchaliśmy, kto pierwszy na drugą stronę jeziora.

Wjeżdżamy w mniejsze uliczki, znikają wieżowce ze szkła i amerykańskie dżipy. Domy dzielnicy La Pitahaya, gdzie kiedyś mieszkali Żydzi, są pomalowane byle jak kolorowymi farbami, niebieską, brązową i pomarańczową. Wyblakłe od słońca. Od przechodniów dzielą je żelazne kraty.

– Ile razy rozbiłam sobie tutaj kolano na rowerze! – Dorita, żona Dawida, która stale nam towarzyszy, wskazuje szeroką aleję opadającą stromo w dół. Zachodzi słońce.

Dawid nuci hymn Polski: „Jeszcze Polska nie zginęła, puka my zjemy... Marcz, marcz Dombroski...”.

– Wiesz, że czasem zamiast „Dombroski” śpiewało się „marcz, marcz Piłsudski”? Piłsudski to był kochany prezydent.

Patrzy na mnie we wstecznym lusterku. Ma wciąż błysk w oku i szelmowski uśmiech. Mijamy błękitno-białą, kubistyczną fasadę nieczynnego kina Gran Líbano. Pod zadaszeniem w stylu art déco, gdzie Dawid z Doritą siedemdziesiąt lat temu stali w kolejce po bilety na nowego Bogarta, siedzą mechanicy w brudnych od smaru spodniach. Sprzedają opony, zdarza się, że i telewizory. Ulice stają się coraz węższe, domy niższe. Ogrodzeń coraz mniej, bo nie ma co kraść.

– Tutaj mieszkał mój kolega z klasy, Herman, jego mama robiła pyszne ciastka – pokazuje Dawid. Teraz Barrio México to jedna z najniebezpieczniejszych dzielnic.

– Napady z bronią, sprzedaż narkotyków. Ludzie tu już nie mieszkają, jest za to dużo hoteli dla prostytutek – wtrąca Oscar, szofer Dawida. Stoimy w korku obok ciemnożółtego budynku, gdzie na pierwszym piętrze mieszkały siostry Ethel i Ewa Goldberg z Żelechowa. Przypląnęły statkiem s/s Venezuela rok przed Dawidem. Na pokładzie tańczyły w strojach krakowskich dla pierwszej klasy.

Oscar każe nam zamknąć okna, blokuje drzwi. Po prawej bar Aguela, w latach trzydziestych bożnica.

– Tutaj piłem pierwszą lemoniadę z bąbelkami. – Dawid wskazuje zielony budynek naprzeciwko. Wciąż nazywany jest Canada Dry. Dorita pamięta pierwszą oranżadę, którą sączyła przez rurkę koło torów kolejowych w Cartago:

– Przesiadaliśmy tam całymi dniami, kładliśmy gwoździe na tory i czekaliśmy na lokomotywę z Puerto Limón. Płaski gwóźdź to było prawdziwe trofeum.

Dorita mieszkała na wzgórzu, przy Avenida Cinco, sto metrów na zachód od Centro Israelita, w pobliżu targu Mercado Borbón. Dawid po drugiej stronie miasta, obok pulperii Los Pinos (sklepu spożywczego, którego właścicielami byli Niemcy), na południe od Teatro Moderno. Jak się zakochał, to wbiegał do niej na górę szybciej od kolegów na rowerach. Siedzieli na łóżku w jej pokoju i opowiadali historie zasłyszane w szkole. Kilka miesięcy później, gdy Dawid po maturze wyjechał do Salwadoru studiować medycynę (nigdy nie ukończył studiów, bo jego mama ciężko zachorowała, zajął się, jak cała rodzina, handlem), Dorita pisała do niego listy miłosne. Była bardzo dumna z pachnącej papeterii, którą dostała na piętnaste urodziny od Guity Blau.

– Wraz z rozpoczęciem sezonu deszczowego kupowałem od Jaimego Steimberga dziesięć tuzinów kolorowych parasolek i zapełniałem nimi witrynę. – Zatrzymujemy się obok La Puerta del Sol, pierwszego sklepu rodziców Dawida kupionego w latach czterdziestych za sto tysięcy colones (samochód kosztował połowę tej kwoty). Sklep nie zmienił nazwy, tyle że zamiast eleganckich balerinek z fabryki Kosmos można kupić tam chińskie adidas i plastikowe klapki. Witryna od wewnątrz ozdobiona jest mrugającymi na kolorowo ledami i połyskującymi łańcuchami choinkowymi. Na stopniach sklepu stoją opaleni chłopcy z wykałaczkami w zębach i złotymi bransoletkami na nadgarstkach. Słuchają latynoskiego disco ze starych motoroli.

Oscar przejeżdża powoli ulicą, na którą z Zelechowa Dawid z rodziną sprowadzili się osiemdziesiąt lat temu.

– Tutaj była moja sypialnia. – Dawid wskazuje salon z flipperami.

W jego dawnym pokoju niektóre deski są wyłamane, ze ścian odłazi farba. Flippery stoją rzędem na gołej ziemi. Część jest zepsuta, nie działają światła albo monety nie pasują, te nowe sprzed dwudziestu lat są za małe.

– Korytarz, po prawej jeden pokój z oknem na ulicę. O, tutaj na łóżku pod oknem spałem ja. – Dawid rysuje na serwetce szkic domu, w którym mieszkał. Jego szofer zatrzymuje samochód na chodniku. – Czasem, gdy wracałem ze szkoły wcześniej, a drzwi były zamknięte, to wchodziłem oknem. Na końcu korytarza był schodek, który prowadził do małej jadalni z kuchnią. W głębi łazienka bez okna. – Maluje mały kwadracik. – Ze ściany wystawał kawałek rury. Lał się z niej cienki strumień lodowatej wody. W Żelechowie myliśmy się co tydzień, a w Kostaryce codziennie. Taki był zwyczaj, panie w szkole co rano sprawdzały czystość stóp i rąk. – Dorita kiwa głową, też to pamięta. – Po prawej patio, gdzie mama trzymała trzy kury. Jedna była warta dwa colones i pięćdziesiąt sześć centów. Trzy banany kosztowały wtedy pięć centów. Tata zarabiał jeden colon za dzień pracy. Pewnego dnia mama odkryła, że na patio zamieszkała rodzina szczurów. Przyniosła więc do domu kota, z którym znów nie mogły dogadać się kury. Kury mama przeniosła do łazienki. Za każdym razem, gdy chciałem się umyć, musiałem najpierw posprzątać ich kupy. A pomieszczenie nie miało światła! – śmieje się Dawid. – Patio było małe, ale pełniło funkcję ogródka. Rosły tam nie warzywa, ale srebrne łyżeczki wbite w ziemię. Wystawały tylko srebrne trzonki.

Szofer pyta Dawida, czy aby się nie pomylił. Łyżeczki w ogrodzie? Dorita chichocze.

– Nie mieliśmy miejsca na dwie kuchnie, ale mama i tak przestrzegała zasad koszerności. Wbijala więc w ziemię sztucce, które stawały się koszerne po dwudziestu czterech godzinach. Mówiła, że trzonków nie trzeba koszerować, bo się nimi nie je.

Szofer wzrusza ramionami. Mówi, że nigdy nie zrozumie żydowskich obyczajów.

– W kuchni stała komoda podzielona na pół, z jednej strony naczynia na mięso, z drugiej na produkty mleczne. Do pomocy mama miała młodą Kostarykankę. Ona też nie mogła zrozumieć koszerności, ciągle się myliła i mama musiała zakopywać w ogródku coraz więcej rzeczy: noże i widelce,

a nawet garnki. Gdy tata otworzył pierwszy sklep i potrzebował jej pomocy, mama nie dała rady utrzymać koszerne go domu. Odetchnęliśmy z ulgą!

Takich domów jak ten Dawida było przy ulicy kilkanaście. Podłużne, jednopiętrowe, drzwi po lewej, okno po prawej. Wszystkie drewniane, ale pomalowane na inny odcień. Ich był koloru kawy z mlekiem. Obok stał niebieski z granatowymi drzwiami, dalej dom w kolorze papai, o ciemnopomarańczowych okiennicach. Na rogu pulpería Los Pinos, gdzie Fajga wysyłała syna kupować ryż, czarną fasolę i owoce. Z początku najbardziej śmieszyły go banany, bo miały dziwny kształt. W Polsce jadło się na przemian jabłka i śliwki, nie było innych owoców. Najlepiej jednak pamięta smak ananasa. Nie znał w ogóle tego owocu, więc zdziwiło go, jak rośnie. Pole ananasów wygląda z daleka jak łąka zboża. Dopiero z bliska wyraźnie widać kolczaste skorupy, za duże jak na krzak, z którego wyrastają. Tak jakby z kłosa zwisały śliwki. Dawid przypomina sobie, jak chłopcy w szkole tłumaczyli mu, że biały miąższ w środku kokosa to „carne”, mięso. Zajadali się tym na przerwach.

Przecznice dalej od domu Dawida, na dyskotece zwanej „*tocadiscos*” [obrotnica/gramofon], Guita uczyła Dawida pierwszych kroków bolera, którego melodia płynęła z gramofonu przywiezionego przez jednego z imigrantów z Warszawy. Obok, w dawnym salonie sukien ślubnych, żelechowiacy dyskutowali o zbliżającej się wojnie. W kawiarni Tomboy w latach trzydziestych Dorita z przyjaciółką Martą Jacobo chodziły codziennie na trzy albo i cztery gałki lodów ananasowych. Szybko się topiły, lepiły palce. W tej samej okolicy dziesięć lat później Dawid mknął swoim pierwszym samochodem, ciemnoczerwonym desoto 1954 z białym dachem. A tam, dwieście metrów na północ, w sklepie La Flor koło targu Mercado Central, dzięki pani Flikier, z którą płynął statkiem z Polski, zarobił pierwsze dwadzieścia colones.

– Biegłem ile sił w nogach powiedzieć o tym mamie. Byłem wtedy najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi.

Pytania pani Ewy

Nie chciała ze mną rozmawiać. Poznałam ją w 2010 roku u Guity. Raz wspomniała o trudnym dzieciństwie w Żelechowie, ale szybko zmieniła temat. Gdy spytałam ją o to przy kolejnej okazji, spojrzała na mnie smutno, zakryła dłońmi usta i schowała się do kuchni. Słyszałam, że płacze. Chciałam ją pocieszyć, ale poprosiła tylko, bym zamknęła drzwi. Następnego razu – spotkałyśmy się wtedy ostatni raz przed moim wyjazdem, by pisać książkę o polskich Żydach w Kostaryce – Ewa podarowała mi odbitkę czarno-białego zdjęcia: ona i jej siostra Ethel na statku Venezuela przebrane za krakowianki. *Polaquitas que bailan*. Tańczące Poleczki. Z tyłu podpisała: „W drodze z Żelechowa do Kostaryki, marzec 1936 rok. Miałam 8 lat”.

Dopiero kilka lat później, w styczniu 2016 roku zgodziła się na spotkanie, ale pod jednym warunkiem: nie będziemy rozmawiać o Polsce. Przez telefon powtarzała wielokrotnie, że nie ma dużo czasu, bo musi pomóc siostrze prowadzić biznes (Ethel miała dziewięćdziesiąt dwa lata), bo się przeprowadza i ma dużo kartonów do noszenia, bo mąż jest w szpitalu (Leonel Baruch, zanim ciężko zachorował, był prezesem banków BCT i Banco Central de Costa Rica, a także ministrem finansów w latach 1998–2001).

Gdy wreszcie przychodzę do jej luksusowego wieżowca na przedmieściach San José, siadam blisko niej na skórzanej, zimnej w dotyku kanapie, Ewa chwyta mnie za rękę i prosi, bym nie zadawała jej żadnych pytań. Ma błękitne oczy i wąskie zaciśnięte usta. Jej głos nie jest stanowczy, mimo to po plecach przechodzi mi dreszcz. Porywisty wiatr otwiera drzwi na taras, w pomieszczeniu robi się chłodno. Ewa wstaje, idzie pomału w kierunku balkonu, jest zgarbiona i tak drobna, że apartament wydaje się dla niej za duży, jak zamek dla księżniczki. Ugładza delikatne białe włosy i siada na skrawku kanapy w rogu. Mówi bardzo powoli i cicho, często płacze. Opowiada po hiszpańsku, choć cytując Polaków, robi to polsku. Ma wschodni akcent –

zamiast „nie płacz”, mówi „nie płacz”. Miałyśmy nie mówić o Polsce, ale doña Ewa nie chce o niczym innym.

Ma bardzo dużo pytań do Polaków.

– Czy możesz zadać je w moim imieniu? – prosi.

Pasterka. Pytanie pierwsze

– Razem z mamą i Ethel mieszkaliśmy w domu, którego już nie ma. Polacy go spalili, została kupka gruzu. To był piękny dom, każdy następny, w którym mieszkałam, wydawał mi się przy nim nieładny. Nawet obecny apartament z tarasem. Na dole, w pokoju obok nas mieszkały pani Gecner i jej kuzynka, pani Ciupka, z ośmioletnią córeczką Lalcia. Jeden pokój na górze był niezamieszany, a drugi zajmowała para Polaków. Żyliśmy w harmonii, dobrze nam było razem. Niemki, Żydówki i Polacy. Byliśmy prawie jak rodzina. Opiekowaliśmy się sobą nawzajem.

Pani Ciupka przyjaźniła się z moją mamą. Była taka piękna! Zawsze elegancka, zgrabna, miała krótkie czarne włosy. Studiowała taniec w Warszawie. Uczyła nas tańców salonowych, walca, tanga i naszego ulubionego czardasza. Miała narzeczonego Bodka, który przyjeżdżał pod dom na białym koniu, przypominał księcia z bajki. Pełnił ważną funkcję w wojsku polskim, był pułkownikiem, a może generałem... Wzdychałyśmy do niego z okna.

Raz przywiózł nam bardzo dużo cukierków, wszystkie w kolorowych sreberkach. Wstawił też do domu choinkę, którą ubierałyśmy wspólnie, wszystkie trzy – ja, Ethel i Lalcia. Drzewko stało blisko okna, w pustym pokoju. 24 grudnia o północy dorośli poszli na pasterkę. Tylko mama została z nami. Siedziałyśmy obok choinki i podkradałyśmy karmelki z gałęzi. W radiu młoda kobieta o bardzo delikatnym głosie opowiadała historię chłopca, który narodził się w Betlejem. Miała taki piękny ten głos, było spokojnie. Ciepło.

Wrócili do domu po pasterce. Słyszałyśmy z piętra, jak otrzepują buty ze śniegu i zdejmują płaszcze. Wyszłyśmy z Lalcia na schody, by ich przywitać. Nagle Bodek wyjął rewolwer i zaczął krzyczeć: „Przyprowadź mi tu te

Żydów, zabiję je! Zabiję!”. Był pijany. Pani Ciupka sprowadziła nas na dół. „Zamknij pokój na klucz i nie wychodź”, powiedziała szeptem do mamy.

Następnego dnia rano Polka z góry zaglądnęła przez uchylone drzwi do naszego pokoju. Niestety nie pamiętam jej imienia. Podała mi talerzyk z pączkami. W środku miały marmoladę, a na wierzchu cukier. Był biały, rozlany na słodkiej bułeczce. „Weź jednego”, zachęcała. Pokręciłam głową. „Ja nie mogę, bo to smalec”, odpowiedziałam cicho. Ona się przeżegnała i wytłumaczyła, że to lukier. Pączek był taki miękki, jeszcze ciepły. Lukier kruszył się przy każdym kęsie i spadał na podłogę. Powiedziałam, że jest pyszny, więc zostawiła nam cały talerzyk. Musiała darzyć nas uczuciem, prawda?

Mówi się, że trzeźwy ma wątrobę, ale pijany ma język. Bodek był miły, dawał nam karmelki. Ale tak naprawdę musiał nas nienawidzić. Pani Gecner naprawdę nas kochała, ta Polka z góry też nas bardzo lubiła. Czy tak mi się tylko wydawało? Przez całe życie się nad tym zastanawiam.

Niewiele mówiłam, więc nikogo nie spytałam: Dlaczego on chciał nas wtedy zabić?

Podwieczorek. Pytanie drugie

– Mój tata po kilku miesiącach w Kostaryce chciał wracać do Polski, bardzo za nami tęsknił. Pisał o tym do mojej mamy w listach, które płynęły do Polski ponad miesiąc. Razem z tatą wyjechało jeszcze czterech Żydów. Dwóch zostawiło żony z dziećmi, inni narzeczone. Gdy któraś dostała list, spotykały się w piątkę i czytały je sobie niczym powieści z egzotycznych krajów.

Po roku w Kostaryce tata napisał do swoich rodziców, że chce wracać. Praca domokrażcy była zbyt ciężka. Jego ojciec się nie zgodził, kazał mu zarabiać i jak najszybciej wysłać bilet bratu. Dopiero po sześciu latach wysłał pieniądze na bilet dla nas trzech.

W tym czasie myślałam tylko o tym, by nauczyć się czytać. Nie mogłam iść do szkoły powszechnej, bo miałam sześć lat. Poza tym zbliżał się wyjazd do Ameryki, kilka miesięcy wcześniej pakowałyśmy już kufry i walizki. Naczynia sederowe owijałyśmy gazetami, by się nie potłukły. Krawcowe szyły nam

sukienki. Mama jeździła do Warszawy załatwiać wizy i inne dokumenty. Postanowiła, że do pierwszej klasy pójdę już w Kostaryce, ale ja chciałam wcześniej nauczyć się czytać.

Pewnego dnia koło naszego domu przechodziła pani Huszłowa, nauczycielka w szkole u Witka – tak mówiło się na szkołę podstawową w Żelechowie. Przywitałam się elegancko, jak uczyła mnie pani Ciupka, uniosłam rąbek spódnicy, dygnęłam na prawe kolano. „Czy mogłaby pani nauczyć mnie czytać przed wyjazdem do Ameryki?” Huszłowa zaproponowała mojej mamie, żebym dołączyła do dzieci w pierwszej klasie. W kolejnym dniu poszłam do szkoły. Miałam przynieść dwie bułeczki, jedną dla mnie, a drugą dla dziecka, którego rodziny nie stać było na podwieczorek.

Gdy weszłam do klasy, bardzo zdziwiło mnie to, co zobaczyłam. Po prawej, w pierwszych ławkach siedziały polskie dziewczynki. Za nimi żydowscy chłopcy. Po lewej polscy chłopcy, a w ostatnich ławkach żydowskie dziewczynki. Kazano mi usiąść w jednej ławce z Małką Popowską. Dlaczego Żydówki siedziały na końcu? Za chłopcami? Wydawało mi się to nieeleganckie.

Bułeczki zaniiosłam do wspólnego koszyka, który stał na środku klasy. Na przerwie pani Huszłowa poleciła polskim dzieciom bez drugiego śniadania podejść do koszyka. Byłam bardzo głodna, marzyłam o mojej „marchwiance”, bułeczce z marchwią, którą mama piekła bardzo wcześnie rano. Potem po bułeczki poszła reszta dzieci, ale Żydzi zostali w ławkach. Gdy wstałam, jedna z Polek zagroziła mi palcem i ostrzegła: „Żydzi nie!”. „Dlaczego nie?” Popatrzyłam na nią i wyszłam z ławki. Podeszłam do stołu, wzięłam marchwiankę i dałam ją bardzo biednemu żydowskiemu chłopcu, był sierotą. Nikt więcej nic nie powiedział.

To jest moje drugie pytanie: Dlaczego Żydzi nie mogli dostać bułeczek?

Lody. Pytanie trzecie

– Kilka dni przed wyjazdem do Ameryki pani Ciupka zabrała mnie na rynek w Żelechowie. Miała taki zwyczaj, że co tydzień lub dwa chodziła do centrum miasteczka załatwiać sprawunki. Szła na pocztę i do urzędu. Za każdym razem

brała z sobą jedną z nas: mnie, Ethel lub Lalię. Kupowała nam lody. Tamtego dnia była moja kolej. Szliśmy Berka Joselewicza w kierunku synagogi, pani Ciupka trzymała mnie za rękę. Stojące przed domem dzieci biegly za nami, krzycząc: „Idzie Ciupka, idzie Ciupka!”. Matki wychodziły przed dom i machały do niej. Była lokalną artystką, zwracała uwagę swoimi sukniami z Warszawy i krótką fryzurą. Wszyscy mężczyźni się w niej kochali.

Naprzeciwko nas szły trzy nastoletnie dziewczyny. Na mój widok zaczęły wołać: „Żydówka, Żydówka, to ty zabiłaś naszego Boga!”. Wtuliłam się w spódnicę pani Ciupki. Nie rozumiałam tego, co mówią. Moja babcia opowiadała mi o Bogu wszechmogącym, który jest dobry i łaskawy. Nikt go nie zna, ale wiadomo, że mieszka w niebie. To samo głosił ksiądz, sądziłam więc, że to ta sama osoba. Pomyślałam: „Jak to ja zabiłam Boga? Dlaczego miałabym to zrobić? Dlaczego ja?”.

Popatrzyłam na panią Ciupkę, która chwyciła mnie mocniej za rękę i powiedziała tylko: „Nie przejmuj się tym. Nie zwracaj na nie uwagi”.

Tak mną to wstrząsnęło, że przeszła mi ochota na lody. Nie zapytałam pani Ciupki, czemu te dziewczyny tak krzyczały, a ona nigdy mi tego nie wytłumaczyła.

Miałam kolejne pytanie na liście.

Ksiądz. Pytanie czwarte

– W dzień naszego wyjazdu, pod koniec lutego 1936 roku, cała rodzina przyszła nas pożegnać. Babcie bardzo płakały, ale najsmutniejsza była pani Gecner. Mówiła do nich: „To ode mnie odchodzą, nie od was. Ze mną mieszkali, mnie będzie ich bardziej brakowało”.

Brat mamy odwiózł nas do Warszawy, gdzie mama odebrała dokumenty z urzędu. Potem pociągiem pojechaliśmy do Gdyni, a stamtąd małym statkiem do Francji. Tam wsiadliśmy na kolejny mały statek, którym dopłynęliśmy do transatlantyku. Nazywał się Venezuela. Razem z nami podróżowały jeszcze dwie rodziny, których ojcowie wyjechali do Kostaryki z naszym tatą. W kajucie obok była dwa lata ode mnie młodsza Genia Azerman z mamą i siostrą. Dalej, w dwóch kajutach, Rochwalgerowie – Sara Rywka

z dorosłymi już Mojżeszem i Esterą, trzynastoletnią Bejlą, dziesięcioletnią Chaną Rajzlą i czteroletnią Frymet. Razem z Genią, Bejlą i Chaną bawiłyśmy się na górnym pokładzie, który przypominał ogromny taras. Mama przed wyjazdem zamówiła nam u krawcowej stroje krakowskie. Białe koszule, kamizelki z cekinami, czerwone korale i czarne, wysoko wiązane buciki na obcasie. Zakładała nam do nich białe skarpetki i tak wystrojone tańczyłyśmy co wieczór na pokładzie Wenezueli. Fotograf zrobił nam zdjęcie i sprzedawał odbitki pasażerom jako pocztówki, wspomnienie z podróży. Raz poproszono, byśmy zatańczyły dla pierwszej klasy, ale nie poszłyśmy. Chyba się wstydziliśmy.

Mama chciała z Kostaryki wracać do Polski, ale brat przekonał ją w liście, by tego nie robiła. „Pomyśl, jesteś pierwszą osobą w rodzinie, która zobaczyła morze! Tam będzie ci lepiej”. Szkoda, że tatusia stać było tylko na bilety dla nas trzech. Choć moje babcie i tak nie chciały jechać do Ameryki. „Co byśmy tam robiły? Kto nas w jidysz zrozumie? Co na obiad zrobimy?”, powtarzały. Były też bardzo religijne. „Statek do Ameryki płynie miesiąc, a w szabas nie można podróżować”, tłumaczyły.

Latem 1939 roku ciągle chodziłyśmy z Ethel do kina. Pokazywali mój ulubiony film, *Przeminęło z wiatrem*, moja siostra wołała Bogarta. We wrześniu w Polsce wybuchła wojna. Wszystkich zabili. Wszystkich. Wiele lat później w *Żelechowskiej księdze pamięci* przeczytałam, że mój piętnastoletni kuzyn Nachum uciekł z getta i schował się w kościele. Odnalazł go ksiądz i zaprowadził na policję. Najpierw złamali mu ręce. Gdy krzyczał z bólu, zastrzelili go. Sadyści.

Dlaczego polski ksiądz wydał mojego kuzyna nazistom?

Powrót. Pytanie piąte

– Najlepiej wspominam moje ósme urodziny. Dzień później dopłynęliśmy do Puerto Limón w Kostaryce. Statek stał zacumowany w porcie na Jamajce. Była ciepła, bezwietrzna noc. Tańczyłyśmy z Ethel ostatni taniec, na pokładzie zebrali się wszyscy pasażerowie trzeciej klasy, by nas oglądać. Nagle schodami na taras weszło trójkami dziewięciu przebranych na galowo

marynarzy. Ich białe dwurzędowe garnitury kontrastowały z czarnym morzem. Jeden z nich niósł wielki tort, na którym paliło się osiem świeczek. Podeszli do mnie i zaśpiewali po angielsku „*Happy Birthday*”. Wszyscy bili brawo, Ethel nuciła czardasza. W Kostaryce, zanim zeszyliśmy z pokładu, jeden z marynarzy podarował mi statek z czekolady. To były najpiękniejsze momenty w moim życiu.

W 2011 roku pojechałam do Polski. Zanim umrę, chciałam zobaczyć po raz ostatni dom, w którym się wychowałam. W drodze do Żelechowa myślałam tylko o tamtych chwilach na statku. Pomagało mi to przezwyciężyć ogarniający mnie smutek.

W Żelechowie starszy pan wskazał nam, w którym miejscu kiedyś stała synagoga. Stamtąd wiedziałam, dokąd iść dalej. Stałam na ulicy, gdzie mieszkała moja rodzina, i wydawało mi się, że mnie wołają. Słyszałam ich głosy. Obróciłam się, ale nikogo nie było. Dom pani Gecner został wyburzony.

Poszłam do restauracji przy rynku i zapytałam starszą panią za kontuarem, czy wie, co się stało z panią Gecner, panią Ciupką i Lalusią. Łudziłam się, że żyją i zaraz się wszystkie spotkamy. Pani z restauracji nie wiedziała. Ale wzięła telefon i wykrciła numer. „Mamusia kochana, pani Żydówka pyta o panią Gecner”, powiedziała do słuchawki. Za chwilę podeszła do stolika. „Pani Gecner zmarła. Nikt nie wie, co się stało z panią Ciupką i Lalusią”.

Nie wiem dlaczego, ale popłynęły mi łzy.

Ona na to: „Nie płacz, pani, nie płacz”.

Ostatnie pytanie

Na pożegnanie doña Ewa mówi, że nie spotka się ze mną, dopóki nie znajdę odpowiedzi na jej pytania. Dzwonię kilka razy dziennie, tłumaczę, że jestem w Kostaryce tylko tydzień. Nie chce mnie widzieć. Na szczęście chętnie rozmawia przez telefon, choć za każdym razem pyta:

– *Ania querida, ¿ya conoces las respuestas?* [Aniu kochana, czy znasz już odpowiedzi na moje pytania?].

Zawsze mówię to samo:

– *Doña Ewa, tengo las mismas preguntas que usted, a pesar de ser polaca*
[Pani Ewo, zadaję sobie te same pytania, choć jestem Polką].

Wtedy doña Ewa zadaje mi ostatnie pytanie. Jedyne, na które mam nadzieję znaleźć odpowiedź:

– Co stało się z panią Ciupką? Ja ją tak kochałam... Zapytasz?

Co siedzi w ziemi

Właz do mykwy

Czterdziestu uczniów technikum i szkoły zawodowej w Żelechowie maszeruje ulicami swojego miasteczka z wypieczoną samodzielnie macą. Towarzyszą im nauczyciele i kilku mieszkańców. Z pożyczonego od proboszcza megafonu wydobywa się dźwięk klezmerskiej muzyki. Odwiedzają wszystkie miejsca, które wcześniej oznaczyli na mapie jako „żydowskie”. Alejki na ulicy Pałacowej, „*alejen*” z opowieści Dawida, gdzie spotykała się młodzież na rendez-vous, w soboty żydowska, w niedziele polska. Starą elektrownię, której przedstawicielem był przystojny Żyd Srul Lerer. Sklep, w którym niegdyś była piekarnia żydowska. Park, gdzie stała zabytkowa synagoga, spalona przez Niemców na początku wojny. Idą na targ świński, gdzie przed okupacją Żydzi grali w piłkę nożną – tu doszło do zamieszek antysemitycznych po meczu między żydowskim Hapoalem z Żelechowa a polską drużyną z Garwolina. Młodzież wchodzi na teren getta. Tam na kilku ulicach mieszkało przez rok prawie dziesięć tysięcy osób. Kilku śmiazków schodzi po śliskich schodach do mykwy – łaźnia zachowała się w dobrym stanie. Potem (niektórzy) odmawiają *Ojciec nasz* na cmentarzu, którego macewy służyły po wojnie za materiał na budowę niejednego podwórka w mieście. W trakcie wycieczki chodzą też od domu do domu i wypytują o Żydów. Przed wyprawą z pomocą dziewięćdziesięcioletniego mieszkańca Żelechowa, pana Pszkita, narysowali przedwojenną mapkę Żelechowa. Zaznaczyli na niej, które budynki były żydowskie, a które polskie.

Idą, częstują macą, robią miny do kamery. Pod jednym z domów stoją trzy starsze kobiety i głośno komentują: „Ale się żydostwa najechało. Będą nam domy zabierać”.

– Część uczniów złorzeczyła, że ma pisać o Żydach. „Co nas to obchodzi?”, pytali. Gdy trzeba było pukać do domów, to się wstydzili, panikowali i zapominali, co mają mówić. Dlatego kazałam im nauczyć się kilku formułek na pamięć: „Dzień dobry. Szukamy pamiątek po Żydach, którzy mieszkali w Żelechowie przed wojną. Czy może nam pan pomóc?” – objaśnia mi Alicja Bienias, historyczka, która pracowała nad projektem „Szkola Dialogu” (edycja 2015) od początku. To program edukacyjny objęty patronatem Ministra Edukacji Narodowej. Rozmawiamy, spacerując po ulicach Żelechowa, którymi kilka miesięcy wcześniej przeszła młodzież. – Po skończeniu pracy, niektórzy przyznali, że teraz patrzą na Żydów inaczej. Wcześniej tylko negatywnie: Żydzi to ci, co chcą dziadkom ukraść dom.

Pytam Krystynę Wieczorkiewicz, pedagogkę szkolną, która jako pierwsza zaproponowała, by uczniowie wzięli udział w „Szkole Dialogu”, po co technikum taki projekt.

– Jak nie wziąć udziału, gdy tu tyłu Żydów mieszkało? Nie możemy dać się zwariować, jak ktoś będzie niezadowolony, to jego strata – wrzusza ramionami pani Krysia. Na stronie szkoły, przy godzinach urzędowania, wkleiła motto: „Tylko człowiek szczęśliwy może uszczęśliwić innych”.

Pani Ala dodaje, że rodzice na zebraniu reagowali raczej pozytywnie, tylko w mediach lokalnych na forach siedzieli hejterzy i pisali głupoty. Według dyrektora Grzegorza Szymczaka nie można uciekać od tematu:

– Dlaczego ludzie nie mogą ze sobą normalnie porozmawiać? Może dlatego, że żyjemy w kraju katolickim? Największy Polak, Jan Paweł II, żył bardzo dobrze z Żydami. Te wszystkie podziały w Polsce doprowadzają mnie do szału. Niektórzy Polacy nie dopuszczają myśli, że w naszej historii nie zawsze było kolorowo. Dlatego uważam, że szkoła powinna głównie uczyć rozmawiać.

Teraz pani Krysia chce odnowić mykwę, ostatni zachowany zabytek żydowski w Żelechowie (dzięki jej działaniom 23 listopada 2016 roku Mazowiecki Wojewódzki Konserwator Zabytków wpisał obiekt do rejestru zabytków nieruchomych). Mówi, że gdyby przed wojną Żelechów był cygańskim miasteczkiem, robiłaby to samo. Chce działać.

Stoimy nad wejściem do mykwy. Obserwuję, jak pedagożka wkłada latarkę czołówkę, energicznie otwiera zardzewiałą klapę i schodzi po śliskich schodach do wnętrza. W środku woda, mech porósł ściany. Czuć wilgocia.

– Tu były ogródki działkowe, rosły marchewka, cebula. W lecie przychodziliśmy się opalać, w zimie było piękne lodowisko. Trzeba było tylko uważać, żeby do mykwy nie wlecieć – opowiada pan Staniszewski, który poszedł do nas z ciekawości. – Pamiętam, jak w latach sześćdziesiątych grupa Żydziaków przyjechała. Jeden z nich był z Wenezueli, miał taki aparat cwaniacki, zrobił zdjęcie i zaraz wychodziło. Poszedł pod dom, który kiedyś należał do niego. Właściciel, Cebulski, wyszedł przed drzwi, a ten do niego po polsku: „Nawet dachu nie poprawiłeś!”. Mimo to wpuścił go do środka, potem pojechali razem na kielkut. Wtedy tam barany i kozy się pasły. Gruz leżał, całą wojnę tam sprzątnęli. Takie dziadostwo było. Jak ten Żyd to zobaczył, to wtedy, kurwa, afera się zrobiła. Poszedł na policję, kazał ogrodzić kielkut. Ręce załamywał, bo pomnika nie było ani jednego. Jeszcze w latach pięćdziesiątych na tych pomnikach noże się ostrzyło. Kiedyś było na fali, żeby niszczyć.

Sprzątanie Żelechowa

Aula internatu przy Zespole Szkół Ponadgimnazjalnych w Żelechowie. Kilkanaście ławek przykrytych obrusem tworzy długi stół. Na stole dwa domowe ciasta – sernik i szarlotka (upieczone przez panią Alę i panią Krysie), w PRL-owskich szklankach z koszyczkiem gorąca herbata z cukrem. Pani Krysia zapowiada plan na popołudnie. Najpierw będziemy dyskutować w małym gronie Towarzystwa Historycznego, a potem odwiedzą nas najstarsi mieszkańcy Żelechowa.

Wokół stołu siedzą: pan dyrektor Grzegorz Szymczak i pani Alicja Bienias. Pani Anna Frankowska, opiekunka Izby Pamięci, niegdyś polonistka. To do niej przychodzą Żydzi z zagranicy, gdy odwiedzają Żelechów. Naprzeciwko pan Grzegorz Kapczyński, historyk amator, właściciel serwisu urządzeń elektronicznych w Żelechowie. Od lat próbuje rozwikłać tajemnicę rodzinną. Obok niego pan Michał Sztelmach, trzydziestoletni dyrektor Domu Kultury

w Żelechowie. Pasjonat przedwojennej historii miasta. Ostatni zasiada przy stole pan Jasiu (tak przedstawia go pani Krystia), przyrodnik ubrany w moro, poszukiwacz rzeczy. Znajduje skarby żydowskie na żelechowskich polach.

Dziadek pana Kapczyńskiego ukrywał podczas wojny dwudziestoletnią Żydówkę.

– 12 marca 1944 roku oboje z dziadkiem zostali rozstrzelani przez Niemców. Ktoś ich wydał, ale wciąż nie wiem kto. Chciałem postawić dziadkowi nowy pomnik i dopisać, że obok leży Żydówka. Nie znałem jej imienia i nazwiska, więc zacząłem poszukiwania. To były lata dziewięćdziesiąte. Pojechałem do Żydowskiego Instytutu Historycznego i tam przeczytałem po raz pierwszy *Żelechowską księgę pamięci*. Była w jidysz, więc tłumaczył mi ją na głos starszy pan. Po ośmiu latach udało mi się ustalić nazwisko dziewczyny. Była to Terka Holhendler. Miała siostrę, która uciekła z transportu do Trebłinki i po wojnie zamieszkała w Falenicy. Pojechałem tam, odnalazłem jej córkę, ale nie chciała ze mną rozmawiać. Minęło ponad dziesięć lat i dopiero kilka dni temu zadzwoniła, że chętnie spotka się na kawę. Ani słowem nie zapytała o mamę. Jeszcze nie dopisałem nazwiska Terki na pomniku, bo mieszkańcy by gadali. Wielu nie podoba się ten pomysł.

Pan Jasiu wypakowuje z plecaka niewielkie przedmioty. Podaje mi małą lupkę.

– To jest stempelek do koszerności, którego używał rabin. Tak mi powiedziano, bo ja się na tym nie znam – mówi pan Jasiu. Z opakowania po ciastkach wysypuje na stół kilkadziesiąt drejdlu.

– Dlaczego pan to zbiera? – pytam.

– Ja tu mieszkam, interesuje mnie to, co siedzi w ziemi. – Pan Jasiu rumieni się przy każdej odpowiedzi. – To wszystko ukryte jest na polach, bo po wojnie sprzątano Żelechów, zgarniając wszystko na fura i wywożąc za miasto. Chodzę z maszyną i jak zadzwoni, to kopię. Jeden bączek to jest cały dzień chodzenia.

– To ile panu zajęło znalezienie tych wszystkich drejdlu?

– Dwadzieścia lat. Wtedy zacząłem szukać. Niektórzy szukają drugiej wojny światowej, inni pierwszej, a mnie wszystko ciekawi. Najstarszy przedmiot pochodzi z epoki brązu, to nagolennik, który przekazałem do Muzeum Archeologicznego.

Opowiadam Towarzystwu o pani Ewie. Pytam: dlaczego Bodek chciał zabić ośmioletnią Żydówkę?

– Tak jak w każdym środowisku, wśród Polaków byli porządni ludzie, ale było i tałatajstwo. Wśród Żydów to samo – komentuje pan Kapczyński. – Jedni Polacy pomagali Żydom, inni donosili. Żydzi pomagali, Żydzi donosili. Ja się nie wstydzę tego powiedzieć. Przed wojną było pewnie podobnie jak teraz z Cyganami. Dzieciaki jak to dzieciaki, wygłupiają się, szarpią i nie chodzi o politykę czy wyznanie, ale dla nich Cygany to Cygany. Przed wojną Żydzi byli większością, ale władza była polska. Przepychanki chuligańskie były. Walili się dla zasady. Jakiś Żyd wyrwał dziewczynę Polakowi, to dostał w łeb. Poza tym w mentalności polskiej jest tak, że jak tysiąc Żydów jest biednych i dwóch bogatych, to wiadomo, że wszyscy są bogaci. Ta historia jest zawila, ciągle zastanawiamy się, jak podejść do tematu. W Towarzystwie Historycznym pracujemy nad książką o historii Żydów żelechowskich.

– I skończymy na 1942 roku, kiedy zlikwidowali getto i wywieźli wszystkich do Treblinki? – pyta z przekąsem dyrektor Szymczak. – Po wojnie według szacunków do Żelechowa wróciło stu czterdziestu trzech Żydów. Niestety przyjęcie było... – Kręci głową, brakuje mu słów. – Atmosfera w miasteczku była... – Pan dyrektor zwiesza głowę. – Ich domy były w większości pozajmowane. Brat mojej mamy pamięta taką scenę z 1945 roku: dwoje dzieciaków żydowskich bawi się na ulicy, wyszli jacyś z bronią i ich zastrzelili. To samo wydarzyło się w domu Gugałów. W *Żelechowskiej księdze pamięci* jest wspomnienie tych, którzy się tam chowali. Zabili trzy osoby. Okropne. Lepiej nie mówić. Po tygodniu wszyscy wyjechali.

– Kto zabił Żydów? – pytam.

– Różnie ludzie gadają, często wspomina się o AK-owcach – odpowiada pan Kapczyński. – W Żelechowie trudno nawet o Wałęsie gadać, a co dopiero o tym, co wtedy się działo. Ale Żydzi tu byli, tworzyli historię naszego miasta. Jak szliśmy z uczniami, to przecież wspominaliśmy tych, których już tu nie ma. A ludzie i tak komentowali, że Żydy przyjechały, papiery mają na wszystko, będą zabierać.

– Jak ja się wstydziłam! – Pani Frankowska pąsowieje.

– U mnie w domu nigdy Żydzi nie mieszkali, ale tam, gdzie mam zakład, Zysman sklep prowadził. Gdyby przyszli, chętnie bym pokazał, niech sobie posiedzą, popatrzą. To jest takie prowincjonalne: przyjadą, zabiorą – mówi dalej pan Kapczyński. – Mam szacunek do tego miasta i do Żydów, którzy osiedlili się tutaj w XVII wieku, jak nie wcześniej. Tworzyli koloryt miasteczka, były procesje, płaczki, rynek, zgiełk, konie, te fury, krowy, bruk, ci piją, tamci się kłóca. Młyn. Takie prawdziwe życie. Gdzieś muzyka żydowska przebrzmiewała. Nasz ksiądz pamięta sprzed wojny małego Żydkę, który niósł pod pachą wielką księgę, leciał na nauki. Ta księga była większa od niego. Pamięta aptekarza w spodniach w kratę, który stał zamyślony, oparty o drzwi i obserwował. Ja bym chciał, żeby i teraz muzykę żydowską na żelechowskich uliczkach było słychać. Można by tu sztetl odtworzyć. Na razie tyle dobrze, że chociaż kirkut porządnie ogrodziliśmy.

Gojka

Pani Krysia przerywa dyskusję. Przedstawia nam panią Basię Maszkiewicz, pielęgniarce, która urodziła się w 1939 roku, ale zapewnia nas, że bardzo dobrze pamięta Żydów z początku lat czterdziestych.

– U nas w domu Żydów wspomina się uczuciowo – rozpoczyna pani Basia, a potem czyta z kartek zapisanych ładnym, szkolnym pismem. Jest zbyt wzruszona, by opowiadać własnymi słowami. – Mój pierwszy zapamiętany obraz to Motek i Łajka, moi koledzy. Jedno i drugie trzyma mnie za rączki, mam trzy latka. Prowadzą mnie do mojej babci. Drugi obraz: nasze podwórko przy organistówce, domu organisty, siedzimy na schodach, ja, moja siostrzyczka cioteczna, wnuczki organisty i mały Żydek. Pani Baranowa, która pracowała u Niemców mieszkających na wikariacie, daje nam chleb z masłem i miodem. Nagle Niemiec parkuje koło domu, mierzy pistoletem w chłopca. Z domu wychodzi jego żona i każe mu schować broń. Chłopczyk ucieka. Trzeci obraz: łapanka. Wracam z przedszkola do mamy do sklepu. Na rogu ulicy widzę ciężarówkę, słyszę krzyki. Niemiec zamyka klapę (widzę buty z cholewami i jego spodnie od munduru) i samochód odjeżdża w dół, w stronę kirkutu. Potem się dowiedziałam, że ich rozstrzelali. Czwarty obraz to ten

najgorszy: wywóz Żydów do Sobolewa. Stoję przy oknie, obok babcia klęczy na kozetce. Furmanki zjeżdżają jedna za drugą od kościoła w dół i koło naszego okna. Babcia macha, ja robię to samo. Babcia strasznie płacze i mnie się łąza kręci. Widzę na jednej z furmanek kobietę z tobołkiem, z dzieckiem. – Pani Basia przerywa opowieść. Przeprasza, ale musi się wypłakać. – Motek, ten, który mnie z siostrą za rączki trzymał, po jakimś czasie pokazał się u nas w domu. Siedział u nas w kuchni na taborecie. Mówił, że nie może zostać, bo jest chory, nie chce nas zarazić. Chciał tylko dać znać, że uciekł z transportu do Treblinki. Babcia naląła mu talerz zupy, a potem powtarzała: „Motek, co my z tobą zrobimy?”. Gdy zjadł, poszedł do ogrodu i tam wszedł do dziury w ziemi. Może to było przejście do tunelu? A może zwykła piwnica? Przez jakiś czas mamusia z ciocią donosiły mu jedzenie, aż pewnego dnia tego jedzenia nie odebrał. Chciał do swoich, może mu się udało. Pamiętam Małkę Popowską, była koleżanką mojej siostry Irci. Pamiętam rybę po żydowsku jej mamy i jabłuszka, które kroić dzieciom na małe cząstki. Ircia wspominała też Nusyna, jej pierwszą miłość. „Ty się ze mną ożenisz, ja ciebie kocham”, mówiła. A on na to: „Tfu, ty jesteś gojka”. I ona to do śmierci pamiętała, że tak strasznie ją poniewierał.

Przypominam sobie, że Małka Popowska siedziała w jednej ławce z panią Ewą. Pytam więc panią Basię, czy pamięta panią Ciupkę. Patrzy na mnie zaskoczona.

– Pani Ciupka to była moja ukochana nauczycielka! W latach czterdziestych chodziłam do domu pani Gecner na lekcje tańca. To ona nauczyła mnie czardasza. – Pani Basia zamyka oczy i nuci smutną melodię. – Nigdy nie zapomnę, jak pani Ciupka tańczyła mazura z panem Biernackim, ależ oni wywijali! To była tancerka nie z tej ziemi! Malowała się mocno, ubierała zawsze elegancko. Gdy byłam w liceum, uczyła nas rosyjskiego. Widzę ją, jak siedzi za biurkiem, boczkiem, zawadiacko, trzyma nogę założoną na nogę. Ona jedyna umiała z nami rozmawiać na tematy intymne, rozumiała dziewczynskie zakochania. Nazywała się Halina Beuthowa. Nie była żelechowianką, nie wiem, skąd tu się wzięła. Miała córkę Lalię, ale słuch o niej zaginął.

Zadaję wtedy ostatnie pytanie pani Ewy: Może ktoś wie, co się stało z panią Ciupką? Ale nikt w Towarzystwie o niej nie słyszał.

Chodził tyłem

Drugim gościem Towarzystwa Historycznego jest pan Wawer, rocznik 1925, nauczyciel. Urodził się w Zakrzówku. Do szkoły w Żelechowie chodził boso, po piasku dobrze się biegło. Pokazuje nam fotografię klasową z 1939 roku.

– To Milgrom, bardzo sympatyczny Żydek. Miałem kolegę, co mówił, że my jak bracia jesteśmy, zawsze razem. Ten – wskazuje na rosnącego, ogolonego na jeża chłopaka – trochę mi dokuczał, bo ja byłem bardzo niskiego wzrostu.

Prosimy, by opowiedział o przedwojennym Żelechowie.

– W 1933 roku pierwszy raz zobaczyłem światło elektryczne. To było w domu u Żydów, mieli żaróweczkę u sufitu i napędzany silnikiem agregat. To światełko pulsowało zależnie od szybkości silnika. A później światło szło z młyna, pan Dawid włączał je włączyć do ósmej. W ciągu dnia, jak nie było szkoły, bawiliśmy się w dwa ognie, w kółko graniaste. Nie było wielkiego wyboru, człowiek się ganiał z rozpędu. Żydzi i Polacy osobno. Czasem pan Jóźwicki organizował dla wszystkich podchody, taką zabawę. W niedzielę szliśmy do kościoła, żeby dostać się do nieba. Żydzi w soboty do synagogi. Z ciekawości raz tam nawet zaglądnąłem. Było bardziej kolorowo, sufit błękitny i wszędzie złote dekoracje. Codziennie jedliśmy to samo: mleko, kaszę, kartofle. Były takie rodziny, które kupowały kilo słoniny i na tydzień im starczało. Żydzi jedli co innego, nazywali to „koszerne”. Najtańsze były śledzie i cebula. Strach było wejść na uliczki, gdzie mieszkała biedota żydowska. Powiem wulgarnie: tam był taki smród, że nie dało się wytrzymać.

– Przepraszam, to był zapach zupy kartoflanej – przerywa mu pani Basia i natychmiast zmienia temat: – Czy w drodze do szkoły przechodził pan koło ochronki? Tam był pewien sklepik, pamięta go pan? – tłumaczy, że to przedwojenne „zapamiętania” ciotecznego brata, który nie mógł przyjść na spotkanie Towarzystwa, bo leży w szpitalu. Ale zapisał je dla Basi na kartce.

– Tak, to była budka ze słodyczami. Lejbuś miał najlepsze lody i cukierki.

– A pamięta pan, jak jeden z Żydów chodził tyłem?

– Ja pamiętam! – Podrywam się z krzesła. Czuję, że z emocji robi mi się gorąco. – Opowiadał mi o nim Dawid Weisleder w Kostaryce! Nazywał się Mosze Falik. Dawid bardzo się go bał.

– Ja też go pamiętam! – cieszy się pan Wawer. – Odwracał tylko głowę i szedł do tyłu. Nigdy nie widziałem, by szedł przodem. Był też nosiwoda, to był tata mojego kolegi z klasy. Chodzili we dwóch: Żyd i Polak. Jeden krzyczał w jidysz: „Waser, waser!”. A drugi po polsku. Więcej grzechów nie pamiętam.

Mam ochotę natychmiast zadzwonić do Dawida i mu o tym opowiedzieć.

Kto kogo bił

Pani Krysia ucisza nas i przedstawia kolejnego gościa. Pan Szelażek ma osiemdziesiąt osiem lat, jest rówieśnikiem pani Ewy.

– Przyjechałem do Żelechowa, jak miałem rok. Rodzice pojechały do Warszawy i tam zostały, a ja chowałem się u ciotki, na ulicy Różanej. W mieszkaniu obok mieszkał Żyd, syn piekarza, który w 1938 roku wyjechał do Kolumbii. Nie miał tam rodziny, pojechał, bo bieda była jak cholera. Kromkę się zjadło i tyle. Myśmy się tym nie przejmowali, lataliśmy tylko, graliśmy w klipę: rysowało się kółko i rzucało patykami. Dzieci polskie i żydowskie nie bardzo się szanowały. Prawie codziennie się biliśmy. O co? Nie wiadomo. Ten źle stanął, tamten coś głupio powiedział.

– Kto kogo bił? – pyta pan dyrektor.

– Oni nas i my ich.

– Kto wygrywał?

– Myśmy wygrywali! Potem z Żydami było coraz gorzej. Tuż przed wojną to one już czuły, że będzie źle. Dlatego wyjeżdżały. Jak Niemcy weszli do nas w 1939 roku, to Żydzi poszły ich przywitać chlebem i solą. Ale zaraz im bóżnicę spalili i one już wiedziały, że Niemcy są złe – kontynuuje pan Szelażek. – Pamiętam takiego garbatego Żydka, który miał sklep z czekoladkami. Niemcy zdjęła sobie z nim robiły. „U nas takiego człowieka nie ma”, śmiały się. Gdy podpaliли bóżnicę, wzięli garbatego za nogi, za ręce i wrzuciły go w ogień na żywca. W 1942 roku, zanim wywieźli z getta wszystkich naszych Żydów, niemieckie żandarmy przyszły do nich i zamówiły kozuchy. To była zmyłka, nie chcieli, by się ukryły. Następnego dnia raniutko przyszli znowu: zapakować się, jedziemy do Garwolina. Znajomy Żyd

o nazwisku Łukowiecki, który potem do Kostaryki pojechał, akurat w tym czasie poszedł se chleba kupić. Jak wrócił do getta, to wszystkie Żydy już w samochodzie siedziały. Jak żandarmy zamknęły drzwi ciężarówki, to wykręciły koło kościoła i pojechały na kierkut. Wyprowadzały ich po czterech. Do zabijania było dwóch żandarmów i dwóch naszych. Komendantem granatowych był Jankowski. Dwóch zaczęło uciekać, ale na łąkach dopadły ich granatowi policjanci i zastrzelili. Jak Żydy zobaczyły, co się dzieje, zaczęły strasznie wrzeszczeć. Ja to oglądałem z ukrycia, chociaż żandarmy nie bardzo pozwalały. Wyprowadziły wszystkich, kładły ich na ziemi i zabijali. Po wojnie Łukowiecki jako pierwszy z lasu wyszedł, zamieszkał w pustej chacie i mówił, że to jego dom. Potem z lasu przyszło jeszcze około pięćdziesięciu, siedemdziesięciu ludzi. Kobiet i mężczyzn. Zaczęli się zagospodarowywać, już nawet sklep chciał któryś prowadzić, inny olejarnię otworzył. A to byli różne Żydy, dobre i kiepskie. Te złe wzięły się za naszych Polaków i na Sybir wysłały. Wtedy nasze ludzie zaczęli się bronić.

– Dlaczego Żydzi wysyłali Polaków na Syberię, jakim cudem? – denerwuje się pani Basia.

– Takim cudem, że to byli komuniści, z ruskimi dobrze grali. NKWD ich przygarnęło, obiecało za to różne rzeczy i one szły. W końcu którejś nocy Polacy zareagowały. Wpadły do mieszkania u Gugały, Żydów było siedem sztuk. Jeden tylko zdążył uciec. Rano, żeby kto chciał lekarstwa zrobić z Żyda, to nie było z czego. Mówiło się, że to partyzantka AK-owska, ale każdy gadał co innego. Rok temu poszedłem na ceremonię stawiania pomnika żydowskiego na mogiłkach, tu blisko. Przyjechał rabin Singer, a jeden Żydek z Ryk opowiadał, jak ich w obozie traktowali. Mówił, że z początku dobrze. Po jednej stronie wagonu nasi Żydzi, a po drugiej zagraniczne. Przyszedł Niemiec i powiedział: „Rozbierzcie się, tyle jechaliście, zmęczeni jesteście. Buty powiążcie jedno do drugiego”. A potem one szły od razu do gazu.

– O jejku, jejku... – mówi szeptem dyrektor, a potem zapada cisza.

– Jak Żyd umarł, to Żydówkom nie można było iść na cmentarz – odzywa się w końcu pan Szelażek. – Były najęte cztery takie kobiety, które płakały i darły się. W piątek po popołudniu było ich święto i wtedy Żyd z pałką latał po Żelechowie i we wszelkie okna walił.

– A pamięta pan święto Kuczki? – pyta pani Basia.

– Tak, mówiło się na to „kucki”. Kamieniami w Żydów rzucaliśmy, jak na dach wychodziły. Mieli też swoje dziesięć przykazań na futrynie we drzwiach. Myśmy im to zrywali. Żydy były nie lubiane. Nie tylko my ich nie lubiliśmy, ale całość.

– Niech pan nie mówi, że wszyscy! – Pani Basia uderza ręką w stół.

– Ale tak było! Brudasy były i tyle. Tak od nich śmierdziało, jadły tylko cebulę i śledzie, cholera.

– A nasi pachnący byli! – oburza się Basia. – I jeszcze do dzisiaj są. Czasem w kościele usiedzieć nie można.

– Te kucki to były takie domki z trzciny. Żydy na dachu siedziały i się kiwały – ignoruje ją pan Szelązek.

– Na łące – nie zgadza się Basia.

– Pani nie wie, jak Żydy kucki robiły! – denerwuje się w końcu pan Szelązek. – Siedzieli na dachu, bo trzeba było niebo widzieć. Baliśmy się ich jak cholera, matki nam mówiły: „Nie łaż tam, bo cię złapie Żyd na macę”. I jeszcze straszyły beczką z gwoździemi, że nas tam włożą i zabiją.

Zaczyna mnie boleć głowa. Robi mi się ciemno przed oczami. Czuję, że rośnie mi ciśnienie – zdarza mi się to za każdym razem przy dużym stresie. Pani Basia jest pielęgniarką, pytam więc szeptem, czy może zmierzyć mi puls. Idziemy do pokoju (wynajęłam go na kilka dni od szkoły), gdzie każe mi się położyć na łóżku i dzwoni do syna, by przywiózł ciśnieniomierz. 150 na 100. Puls 130. Pani Basia siada koło mnie i trzyma chłodną rękę na moim gorącym czole. Milczymy. Dopiero po pół godzinie pozwala mi wstać. Idziemy do auli, ale wszyscy już poszli. Na stole zostały tylko szklanki w koszykach z niedopitą kawą i przykryte sreberkiem ciasta. Pani Basia całuje mnie na pożegnanie, obiecuje poszukać informacji o pani Ciupce. Budynek szkoły jest w alejkach, więc wychodzę na mróz, siadam na jednej z ławek i dzwonię do mojego osiemdziesięcioletniego przyjaciela. Rozmawiamy bardzo krótko, bo połączenie do Kostaryki jest drogie.

– Dawid, jestem na alejkach. Właśnie rozmawiałam z panem, który pamięta Mosze Falika – opowiadam w telegraficznym skrócie. Dawid śmieje się do słuchawki, mówi tylko: „*Muy bien, Ania, muy bien*” [bardzo dobrze, Ania,

bardzo dobrze] i przekazuje słuchawkę Doricie, która tłumaczy, że jest zbyt wzruszony, by powiedzieć więcej. Potem dowiem się, że tego dnia zamknął się w swoim biurze, słuchał na cały regulator *Majn sztetele Belz* i głośno śpiewał.

Coś głębszego

Przedemną stu uczniów gimnazjum, technikum i szkoły zawodowej. Przyszli też mieszkańcy, jest ich około dwudziestu. Robię dla wszystkich kawę i kostarykańskim zwyczajem podaję ją nawet najmłodszym dzieciom. Tam kawę pije się od przedszkola. Pytam ich najpierw, czy wiedzą cokolwiek o Kostaryce. Cisza. Ktoś mówi, że na pewno jest bogata. Ktoś inny, że to chyba w Ameryce. Ich wyobrażenie o świecie nie jest inne od tego, które mieli ich żydowscy rówieśnicy przed wojną. Potem opowiadam historię Dawida Weisledera, żelechowiaka, który jako sześciolatek przepłynął ocean. Pytam, czy pomogą mi znaleźć jego dom, czytam wskazówki, które kilka dni wcześniej Dawid wysłał mi mailem. Wszyscy się angażują, w końcu typujemy kilka budynków i zaznaczamy je żółtymi karteczkami w książce z przedwojennymi fotografiami Żelechowa. Michał Sztelmach, jej autor, wpisuje dedykację Dawidowi.

Nie poruszam najtrudniejszych tematów, bo nie potrafię. Chciałabym, żeby myśleli o Dawidzie jako o żelechowiaku takim jak oni. Nie zadaję im pytań pani Ewy. Na koniec przemawia pani Krysia, każe dzieciom rozmawiać z dziadkami, nawet jeśli te rozmowy byłyby dla nich kłopotliwe.

– Ta prezentacja to lekcja tolerancji. Im więcej będziecie wiedzieć o swojej przeszłości, tym więcej osiągniecie – mówi na pożegnanie.

Kilka miesięcy później na pytania pani Ewy stara się odpowiedzieć pan Kapczyński. Pisze do mnie długiego maila, który kończy zdaniem: „Tu chyba nie chodzi o konkretną odpowiedź, ale o coś znacznie głębszego...”.

Pani Ciupka

Po miesiącu dzwoni do mnie pani Basia.

– Ten, który chciał zabić Ewę, to musiał być drugi mąż Ciupki. Nazywał się Beuth, służył w polskiej armii, zginął pod Tomaszowem Lubelskim (później znajduję jego nazwisko na liście ofiar II wojny światowej, leży na cmentarzu w Tomaszowie: „Bohdan Antoni Beuth, porucznik Wojska Polskiego, lat 34. Poległ na polu chwały we wrześniu 1939”). Pani Basi udało się także ustalić, że pani Ciupka urodziła się w 1903 roku. Jej ojciec nazywał się Prodor i razem z nową żoną o nazwisku Biernacka zamieszkał w Kanadzie. Ciupka ponoć była u nich jakiś czas, ale nie mogła się dogadać z macochą. Przyjechała do Żelechowa, bo była kuzynką (według pani Ewy) lub siostrą pana Gecnera (według źródeł pani Basi). Miała trzech mężów: Czernego, Beutha i Buksińskiego. Prawdopodobnie tuż przed wojną wyjechała ponownie do Kanady, ale wróciła w 1946 roku (według innej wersji wydarzeń wojnę spędziła w Rosji, do Kanady wyjechała dopiero później). Na statku jej córka, szesnastoletnia Lala, wyszła za mąż za Włocha. Mieszkali w Bolonii, mieli syna, który zmarł w wieku dwudziestu dwóch lat. Ciupka wyszła za mąż za Buksińskiego w Wilczyskach w 1959 roku. Pojechali do Lalci do Bolonii, a następnie wyemigrowali do Kanady i zamieszkali w Toronto. Dziesięć lat przed śmiercią Ciupka straciła wzrok, zmarła w 1984 roku.

– Czy to wystarczy pani Ewie? – niepokoi się Basia.

Hanka, Celinca

Pan Jasiu, poszukiwacz rzeczy w moro, znalazł w starej walizce na wysypisku śmieci plik dokumentów. Wszystko ma pochowane w koszulki, każda kartka osobno. Są tam: rachunki telefoniczne z 1939 roku (numer telefonu 15), zamówienie na pieczętkę od Lenina, dokumenty z Fabryki Mydła i Świec Noblesse. Rachunki z Fabryki Ultramaryny i Wyrobów Odzieżowych KNORR. Jest i dowód zapłaty dla robotników: „Za zdjęcie 200 kg kaszy jęczmiennej z firmy Ekajzel: 0,40 gr”. Podpisane trzema kółeczkami.

– Żydzi niepiśmienni podpisywali się trzema kółeczkami, a katolicy krzyżykami – tłumaczy pan Jasiu.

Po prezentacji dla uczniów spotykamy się w tym samym gronie w auli Ośrodka Kultury w Żelechowie. Czuję, że pan Jasiu chce mnie o coś spytać,

ale się wstydzi. Cały czerwienieje, gdy w końcu pokazuje mi niewielkie czarno-białe zdjęcie. Na drugiej stronie napisane jest „Hanka, Celince”.

– Moja mama, Celina Zduńczyk, była przed wojną gosposią u Arie Rotmana w Warszawie. Mieszkali przy ulicy Nowolipki 69/26. Pani, która jej czyta, to Hanka Wonkocner, siostra Rotmanowej. Była nauczycielką. – Wskazuje na przystojną kobietę z czarnym kokiem, która czyta książkę nastoletniej dziewczynce. – Moja mama jest już bardzo stara. Przed śmiercią chciałaby wiedzieć, co się stało z Hanką. Zapytasz?

Republika żydowsko-indiańska

Indeks postaci

Jacobo Schifter Sikora. Ma trzydzieści pięć lat, gdy odkrywa, że jego mama skrywa rodzinną tajemnicę. W tym samym czasie pozna Héctora, z którym nie rozstanie się przez kolejne trzydzieści lat nawet na jeden dzień.

Chajka Sikora, w Kostaryce Elena Schifter. Mama Jacobo. Urodzona w Długosiodle w 1922 roku. Wyjeżdża do Kostaryki z matką w 1934 roku. Feministka, wielbicielka Simone de Beauvoir. Prawdziwa *yiddishe mame*, która pozna wszystkich kochanków syna. Obroni pracę licencjacką tuż przed śmiercią.

Einia Sikora Brum, w Kostaryce Anita Sikora. Urodzona w Długosiodle na początku wieku. Mama Chajki i babcia Jacobo, która wraz z matką Rywcią Małą prowadzi w Polsce dwa dobrze prosperujące sklepy. Czeka ją burzliwe życie.

Dawid Sikora. Mąż Eini Brum, ojciec Chajki. Wyjeżdża do Ameryki w 1929 roku, mając w kieszeni bilet do Kolumbii i dwadzieścia pięć dolarów. Słuch po nim zaginie na wiele lat.

Wolf Schifter, mąż Chajki i ojciec Jacobo. Jedzie do Kostaryki za braćmi, którzy wyemigrowali z Polski pod koniec lat dwudziestych z wizami do Brazylii. Chajka nigdy go nie pokocha.

Zelig Sikora, w Kostaryce Samuel, w Australii i Izraelu Samuel Brown. Brat Chajki.

Sara Sikora. Siostra Chajki i Zeliga. Jej wiek wpisany w kostarykańskie dokumenty okaże się sfałszowany.

Yona Meir, w Polsce Toubia Lewin. Przyjaciółka Chajki ze szkoły podstawowej w Długosiodle. Po wyjeździe Chajki do Kostaryki spotkają się tylko raz.

Część pierwsza. Miłość

Jacobo i Héctor

Jacobo Schifter Sikora nazwał swoje jedenaście kotów imionami żydowskich przodków. Jest Szmulke, Pulke, Gitla, Adam i Eva, Golcha, Yentl, Marysia (ciotka ze strony ojca, przeżyła gułag, szalona kobieta), Sisa (kuzynka z Puntarenas, miała dom nad oceanem, opowiadała żydowskie dowcipy), Yankele i Adela (siostra taty, która dwa lata wojny spędziła w polskiej piwnicy). Razem z Héctorem Gonzálezem, swoim partnerem od trzydziestu lat, mieszka w pobliżu wulkanu, godzinę drogi od San José. Gdy w 1990 roku pojechał do Długosiodła, by zobaczyć sztetl, z którego pochodziła jego matka, nie mógł uwierzyć, że Polska jest tak podobna do Kostaryki. Dom, w którym mieszkała Elena, przypominał mu jego dom w kostarykańskich górach. Sosnowy las pachniał tak samo.

Historię swojej rodziny Jacobo opowiada mi pewnego popołudnia w styczniu 2016 roku. Później jeszcze wielokrotnie będziemy rozmawiać przez telefon. Z nieba leje się żar, szukamy chłodu koło fontanny w ogrodzie domu, który wynajęłam na czas pobytu w San José. Jacobo ubrany jest w czarną, opinającą tors koszulkę, poszarpane spodnie dżinsowe, a na głowie ma komiczną czapkę z daszkiem, półperukę. Dzięki niej wydaje się jakby miał krótkie, farbowane na srebrno włosy. Na opasce czapki widnieje czerwony napis: „*Any hair is good hair*” [Każde włosy są dobre]. Jacobo towarzyszy Héctor, który jest wysokim Kostarykaninem, przystojnym Latynosem jak z południowoamerykańskich oper mydlanych. Gdy później oglądam jego zdjęcia z młodości, podobieństwo do Che Guevary jest uderzające.

Jacobo opowiada mi o kotach, a Héctor pokazuje je na ekranie telefonu. Na Instagramie codziennie zamieszcza kilkadziesiąt zdjęć, ale zanim opublikuje post, pokazuje go Jacobo, bo wstydzi się błędów ortograficznych. Skończył zaledwie kilka klas szkoły podstawowej i zanim się poznali, sprzedawał na ulicy owoce, by utrzymać rodzinę.

Jacobo urodził się w 1950 roku. Jest emerytowanym historykiem, wykładowcą uniwersyteckim i pisarzem. Napisał kilkanaście książek, między

innymi *Amor de machos* [Męska miłość] – wyniki badań zachowań homoseksualnych w więzieniach latynoamerykańskich, *La casa de Lila* [Dom Lilli] – by ją napisać, spędził parę miesięcy w domach publicznych San José, rozmawiając z męskimi prostytutkami, i *El judío en Costa Rica* [Żyd w Kostaryce], jedyne opracowanie historyczne o Żydach w Kostaryce. Pierwsza powieść Jacobo, *Hitler in Central America. Non-Kosher Story from the Tropics* [Hitler w Ameryce Centralnej. Niekoszerna opowieść z tropików] to fabularyzowana historia jego matki Eleny Sikory, w której zakochuje się niemiecka baronowa. W książce pojawiają się transwestyci (pomagają dziadkowi Sikorze w wyborze materiałów na sprzedaż), stosunek ze zwierzętami (Einia Brum tłumaczy córce, na czym polega zbliżenie) i naziści lubiący seks sado-maso. Po jej publikacji piętnaście lat temu został na jakiś czas wykluczony ze wspólnoty żydowskiej.

Od pięćdziesięciu lat Jacobo mówi otwarcie o tym, że jest gejem. Swoje doświadczenia opisał szczegółowo w autobiograficznej powieści *Quince minutos de fama* [Piętnaście minut sławy]. Elena próbowała go przekonać, że homoseksualizm to tylko etap w życiu. Gdy był mały, prowadziła syna do lekarzy, którzy przez ponad dwa lata podawali mu testosteron w zastrzykach (po długim czasie ubocznym skutkiem była nagła utrata włosów. Jacobo ze wstydu nie wychodził z domu przez kilka tygodni, aż zdecydował się na przeszczep włosów). Potem pojechał na studia do Stanów Zjednoczonych, zaangażował się w ruch gejowski i poszedł na terapię. Gdy wrócił do Kostaryki, homofobia była tam bardzo silna, więc zaczął występować w telewizji, broniąc praw gejów. Wspólnota żydowska wstydziła się go, ale Elena zaakceptowała jego orientację seksualną. Postawiła tylko jeden warunek: miał przedstawiać jej każdego z kochanków. Wielu partnerów syna jej nie odpowiadało. To po niej Jacobo odziedziczył wiarę w romantyczną miłość, której oboje szukali całe życie. Elenie częściowo się to udało, ale musiała ukrywać się w tanich motelach przez trzydzieści lat. Gdy zmarła, jej kochanek na pogrzebie nie mógł powstrzymać łez.

Polacy nie wiedzą, co to jest romantyczna miłość

Jacobo jest przekonany, że gdyby mama została w Długosiodle, nie byłaby taka romantyczna. Wierzyła w miłość dzięki amerykańskim filmom, które wyświetlali w kinie w San José. Uwielbiała Clarka Gable'a, Rudolfa Valentino, Roda Stewarta. Kochała się w nich bardziej niż w swoim mężu Wolfie Schifterze. Gdy Dawid Sikora wydawał swoją córkę za mąż, powiedział jej:

– Elena, Wolf nie jest najinteligentniejszy, ale z nim nie umrzesz z głodu.

Schifterowie już w połowie lat trzydziestych prowadzili jeden z najlepiej prosperujących sklepów odzieżowych w San José. Elena nie miała zresztą wyboru, bo wszystkie małżeństwa były wtedy aranżowane. Kazała za to uszyć sukienkę tak skromną, by nie wyglądała na ślubną.

– Większość Polaków nie wiedziała, co to jest romantyczna miłość – uważa Jacobo. – Emigranci w Kostaryce zmienili styl życia, ale wewnątrz wciąż byli Żydami z polskiego sztetlu. Swatali córki, zakazywali im nosić kolorowe ubrania, mimo że Kostarykanki chodziły w czerwonych i zielonych sukienkach. To byłoby dla Polaka nie do pomyślenia: jego córka w różowych rajstopach! Niektórzy z czasem miękli, od Kostarykan nauczyli się podchodzić do życia z humorem, więcej się śmiali, mniej obrażali. Czuli się całkowicie przez nich akceptowani, nie żyli oddzielnie jak w sztetlu: stali razem w kolejkach do kina, targowali się w sklepach (*ticos* kupowali, *polacos* sprzedawali) i nawzajem uczyli się tańczyć. Fokstrota, rumbę i swing za walca i krakowiaka.

Kobiocy orgazm

– Moja siostra była pierwszą Żydówką w Kostaryce, która wyszła za mąż za goja – kontynuuje opowieść Jacobo. – Było to na początku lat sześćdziesiątych. Wciąż słyszę krzyk mojej babci, gdy mama mówi, że przyszły mąż Sary jest Amerykaninem. Do tego protestantem! „Nie mogę już tego znieść!”, zawodziła Anita. Pozostali Żydzi uważali, że Elena nie umiała wychować swojego dziecka, które przynosi wstyd całej społeczności. Moja mama też nie była szczęśliwa z powodu Sary. Ale wierzyła w miłość, więc gdy moja siostra przysięgła, że jest zakochana, zaakceptowała jej wybór. Mój

dziadek Dawid, który stał się nie tylko religijny, ale też był uznawany za najbardziej konserwatywnego we wspólnocie, wyzwiał ją od „kurew” i nazistów. Powiedział, że nie życzyłby tego najgorszemu wrogowi. Po ślubie nigdy już nie odezwał się do Eleny ani do Sary. Ja nie zamieniłem z nim ani słowa do końca życia.

Wszystkie małżeństwa pierwszych imigrantów zostały zaaranżowane, zatem większość okazała się nieudana. Sprawy intymne to była katastrofa – Jacobo jest dumny, bo jako jedyny historyk pytał o to bez tabu.

– Mężczyźni nic wtedy nie wiedzieli o seksie. Byli brutalni, nie mieli pojęcia, jak traktować kobietę. Ich żony oczywiście nigdy nie doświadczały orgazmu, pewnie nawet nie wiedziały, że coś takiego istnieje. W sztetlu nikt ich tego nie uczył. Nie rozumiem, dlaczego moi rówieśnicy, mimo że nie musieli, też wybierali Żydówki. Jak to możliwe, by zakochać się tak naprawdę, gdy do wyboru jest pięć czy sześć kobiet?! – denerwuje się Jacobo.

Héctor, który cały czas towarzyszy nam w trakcie trwającego wiele godzin wywiadu, obejmuje partnera ramieniem.

– Nie mógłbym związać się z Żydem – wyznaje Jacobo – to byłoby zbyt zawile psychologicznie. Héctor jest moim przeciwieństwem. Zawsze budzi się w dobrym humorze. Nie ma paranoi, nie histeryzuje jak ja. Gdy widzi, że znów staję na wadze (ważę się codziennie), puka się w głowę. Zanim się poznaliśmy, życie nie było dla mnie łatwe. Czułem, że coś we mnie tkwi jak drzazga. Z czasem nabrałem przekonania, że to „coś” moi rodzice przywieźli z Polski. Pytałem więc o przeszłość, lecz wszyscy chcieli o niej zapomnieć.

Jacobo w 1985 roku postanowił spisać historię swojej matki Eleny. Długo się wzdbraniała, ale w końcu opowiedziała prawie wszystko. Uparła się, że nie może zdradzić mu prawdziwej historii swojej mamy, Eini Brum.

– To tajemnica rodzinna, synku.

Milczała aż po grób. Jacobo obiecał sobie, że kiedyś ją odkryje.

– Minęło tyle, a ja wciąż nie wiem, co tak naprawdę wydarzyło się w Polsce. – Jacobo patrzy na mnie smutno. – Napisz o mojej mamie – prosi. – Może przy okazji uda nam się poznać jej sekret?

Część druga. Chajka Sikora znika

Amnezja

Jacobo fascynowało to miejsce, które tak jakby przestało istnieć. Mama zapomniała, jak nazywał się jej rodzinny sztetl. Gdy miał dziesięć lat, pytał ją codziennie: „Jak wyglądał twój dom? Czy miałaś wannę? Kiedy całowałaś się pierwszy raz? Lubiłaś chodzić do szkoły?”. Prosił: „Mamo, mów do mnie po polsku”. Był ciekaw, jak by ten język brzmiał w jej ustach. Ale ona milczała. Mimo to pytał dalej: „Przyjechałaś do Kostaryki, gdy miałaś dwanaście lat. W Polsce chodziłaś do szkoły. Jak to możliwe, że nic nie pamiętasz?”. Twierdziła, że po dwóch miesiącach w Ameryce już nie знаła polskiego i zapomniała o wydarzeniach z dzieciństwa. Zostało jej tylko jedno zdanie, wszystkie inne słowa i wspomnienia wyparowały. Tak jakby doznała amnezji.

Jak się to wszystko zaczęło. Dawid ucieka do Ameryki

Einia Brum, babcia Jacobo, rozwiodła się z pierwszym mężem z powodu jego impotencji (była to ta sama babcia, która później zawodziła, że wnuczka zamierza poślubić goja). To pierwszy z trzech skandali w rodzinie Brumów. Młodsza siostra Eini wyemigrowała do Paryża. Wyszła za mąż za Araba – to drugi skandal. Rywcia Małka, matka trzech sióstr, wtedy już prawie siwa ze zmartwień, owdowiała. Jej mąż Herszele, gdy wracał z pracy przez las sosnowy rosnący za domem, został napadnięty przez złodziei i zamordowany. (Jacobo osiemdziesiąt lat później dowie się, że sprawca został ujęty. Wymierzono mu karę dwunastu lat więzienia).

Rodzina Brumów nie była religijna, miała dwa dobrze prosperujące sklepy – jeden prowadziła Rywcia Małka, a drugi Einia. Na rogu noże i garnki, naprzeciwko galanteria: walizki i rękawiczki.

O rozwodzie Eini mówiło całe Długosiodło. Plotkowano nawet, że jej matka opłaciła rabinów, by wyrazili na niego zgodę. Einia nie była ładna: miała bladą twarz, długi nos i wąskie, zawsze zaciśnięte usta. Włosy w mysim kolorze spletała w cienki warkoczek. Nigdy się nie malowała. Całymi dniami narzekała, marszcząc twarz, jakby jadła kwaśną cytrynę. Wydawała się przez to starsza o kilka lat. Nie chciała się spieszyć

z ponownym zamążpójściem, ale jako rozwódka nie miała wyboru. Musiała przystać na pierwszego kandydata, którego jej zaproponowano.

– To młody student jesziwy. Wprawdzie nie poznasz go przed ślubem, bo mieszka w Wyszku, aż dwadzieścia kilometrów od Długosiodła, ale ma piękne oczy, zaufaj mi – przekonywała swatka.

Nie było to szczęśliwe małżeństwo. Einia i Dawid Sikora całe życie w niczym się nie zgadzali. Wiele lat później, już w Kostaryce, gdy on szedł do synagogi, ona wolała czytać powieści. Jako młody małżonek całymi dniami studiował Talmud, bo tym zajmowali się wszyscy mężczyźni w jego rodzinie. Był 1929 rok, gdy na Sikorów spadł prawdziwy cios: brat Dawida popełnił samobójstwo. Jego serdeczny przyjaciel wyjechał rok wcześniej do Chicago, Szmulke chciał do niego dołączyć, ale nie przyznano mu wizy. Stany Zjednoczone zamknęły granice. Szmulke, ponoć z żalu, strzelił sobie w pierś. Według Jacobo był jednym z wielu homoseksualistów w rodzinie.

Dawid także postanowił jechać do Ameryki. Był nieszczęśliwy w małżeństwie, rozżalony po śmierci brata. Chciał rozpocząć nowe życie. Nie dostał wizy, ale warszawski agent namówił go, by kupił bilet do Kolumbii. Przekonał, że stamtąd będzie mógł dotrzeć do Ameryki drogą lądową, a do granicy jest nie dalej jak z Warszawy do Ostrołki.

Co w tym czasie robiła Einia

Einia została w Długosiodle z dwojgiem dzieci – siedmioletnią Chajką i dwuletnim Zeligiem. Za jakiś czas miała urodzić się Sara. Chajka przejęła obowiązki domowe: sprzątanie i gotowanie, a także opiekę nad młodszym bratem. Pewnego dnia matka z córką pojechały do Warszawy. Einia chciała złożyć podanie o paszport, spodziewała się, że mąż lada chwila wyśle jej bilety do Ameryki. Zatrzymały się u ciotki Frymci, siostry Dawida, która wynajmowała pokoje. Tego dnia żadnego z lokatorów nie było w domu, więc gdy drzwi za mamą się zamknęły, Chajka poczuła dziwny niepokój. Dom tonął w mroku. Okna były zasłonięte ciężkimi kotarami. Jediną dekoracją salonu stanowiły srebrna menora i owalne lustro. Chajka patrzyła na swoje odbicie. Czy rzeczywiście, jak mówiła jej mama, była podobna do ojca, którego

przodkowie wywodzili się od tajemniczych Chazarów? Einia przedstawiła jej swoją wersję historii pochodzenia Dawida (Jacobó nie jest pewien, czy mama, jako feministka, tego nie wymyśliła): pewnego dnia chazarski król postanowił zmienić wiarę. Miał dość wojen, chciał religii, która przyniesie jego królestwu wieczny pokój. Kazał przyprowadzić muzułmanina i zapytał, jak w islamie traktowane są kobiety.

– Każdy z nas ma ich po kilkadziesiąt. Trzymamy je w haremie – odpowiedział muzułmanin.

Następnie zapytał o to samo chrześcijanina, który wyjaśnił, że kobietom kusicielkom zakłada się pasy cnoty. Ostatnim gościem króla był Żyd, który powiedział:

– Kobiety prowadzą nasze sklepy, w czasie gdy my prowadzimy religijne dysputy.

Wybór wydawał się chazarskiemu królowi oczywisty.

W salonie cioci Frymci obok lustra stały dwa miękkie fotele. Chajka znów przypomniała sobie, co mówiła mama: jeśli będzie niegrzeczna, fotel wessie ją do środka przez otwór między oparciem a siedzeniem. Chajka zadrżała (po wielu latach tłumaczyła swojemu synowi Jacobo, jak wyobrażała sobie Zagładę. Widziała tysiące foteli otwierających pluszowe paszcze i pochłaniających wszystkich polskich Żydów. Będąc w Polsce w latach dziewięćdziesiątych, Jacobo unikał siadania w fotelach. Myślał, że może niektóre chrześcijańskie meble kryją do tej pory żydowskie dusze).

Na ścianie salonu wisały fotografie wszystkich przodków Chajki. Byli to ubrani na czarno, poważnie wyglądający panowie o smutnych oczach i białych brodach. Na jednym ze zdjęć rozpoznała stryjka Szmulkego, któremu nie udało się wyjechać do Ameryki. Chajce zrobiło się zimno, wydawało jej się, że dom pełen jest dybuków. Poszła do kuchni, by ochłonać, gdy nagle usłyszała chrobotanie. Koło jej stóp przebiegł ogromny szczur. Krzyknęła ze strachu i straciła przytomność. Gdy doszła do siebie, okazało się, że nie może chodzić.

Badało ją wielu lekarzy. Pierwszy orzekł, że paraliż nóg został spowodowany napadem hysterii.

– Pani córka musiała się czegoś wystraszyć. Nie ma na to lekarstwa – mówili kolejni medycy.

W końcu Chajka trafiła do lekarza, który testował nową metodę leczenia paraliżu: elektrowstrząsy. Po kilku seansach zaczęła chodzić.

Tymczasem w Ameryce Dawid zostaje magikiem

Był czerwiec 1929 roku. W podróży do Kolumbii Dawidowi towarzyszyli Hersz Jeruzalemski i Lejb Fejnzejg Kalewic. Lejb był, jak Dawid, z Wyszkowa. Chciał płynąć do swojego brata w Nowym Jorku, ale granice zostały zamknięte. Wybrał Kolumbię, bo agenci reprezentujący kompanie transatlantyckie oszukali go tak samo jak innych zdesperowanych emigrantów: wmawiali im, że to kraj graniczący ze Stanami Zjednoczonymi. W porcie Barranquilla okazało się jednak, że na Kolumbię go nie stać: kwota okazowa wynosiła sto piętnaście dolarów. Dawid był w tej samej sytuacji: w kieszeni miał zaledwie kilka pogniecionych dolarówek. Wtedy ktoś podpowiedział im, by wysiedli dalej, w Puerto Limón. Kostarykanie nie patrzyli na paszporty, wystarczyło mieć dwadzieścia pięć dolarów, nie być Chińczykiem ani Arabem.

W 1929 roku w San José mieszkało kilkunastu Żydów. Wśród nich Enrique Yankelwitz, który prowadził sklep i zakład krawiecki Mil Colores. Zatrudnił Dawida jako jednego z pierwszych klapperów.

Gdy Jacobo myśli o dziadku z 1929 roku, widzi magika. Wyobraża sobie, jak wędrując po stromych drogach Alajueli, górzystego regionu w pobliżu San José, trafiał do wsi i miasteczek, które mieszkańcy rzadko opuszczali. Kobiety nie chodziły na zakupy, mężczyźni zadowalali się lokalnym barem. Dawid na początku nie mówił po hiszpańsku, więc po przybyciu stawał w centralnym punkcie miasta i otwierał walizkę. Wyciągał kolorowe materiały i żywo gestykułując, zapraszał przechodniów, by zaglądnęli do walizki.

– Ten magik jest nic niewart, ale zobacz, jakie piękne ma materiały! Zapytam, czy sprzeda mi półtora metra tego brązowego w czerwone kwiatki. – Kobieta zapisała na kartce kwotę „2 colones” i podała Dawidowi. Ten skinął głową i wręczył jej materiał. Następnego dnia po miasteczku rozniosła się wieść, że magik wyprzedaje swoje cyrkowe akcesoria. W dwa dni Dawid sprzedał wszystko. (Jacobó przekonuje mnie, że Kostarykanie mogli naprawdę

myśleć, że jego dziadek był magikiem: „Co byś sobie pomyślała, gdyby na rynku w Krakowie podejrzanie wyglądający facet otworzył walizkę i żywo gestykulując, machał kolorowymi szmatami?”).

Chajka próbuje przetrwać w polskiej szkole

Elena miała trudność z mówieniem o miłych rzeczach, które wydarzyły jej się w dzieciństwie. Czuła, jakby zdradzała tych, którzy nie przeżyli wojny. Opowiedziała Jacobo tylko o dwóch takich momentach. Pierwszy to zbieranie jagód dla mamy (miały być do ciasta, ale zjadła cały koszyk, aż rozboleł ją brzuch). Drugi: piątkowy szabat, mama o 17.15 nakrywa stół białym, odświętnym obrusem, zapala świece, serwuje macę i gefilte fisz, ulubione danie małej Chajki. Potem przypomniała sobie jeszcze nauczyciela od matematyki, który był dla niej miły i mówił, że gdyby był Żydem, toby się z nią ożenił. Nauczył ją mnożyć w pamięci. Wszystko inne to były dla Eleny *cures*. Problemy.

Gdy wiele lat później w Kostaryce jej ośmioletni syn Jacobo narzekał na kolegów w klasie, którzy wyzywali go od „Żydów, co zabili Chrystusa”, Elena machała tylko ręką, mówiąc, że w nią rówieśnicy z polskiej szkoły rzucali kamieniami. Gdy Jacobo skarżył się na nauczycielkę, która nie chciała, by *polaco* niósł flagę Kostaryki na szkolnej paradzie, Elena opowiedziała mu, jak w polskiej szkole jeden z nauczycieli uderzył ją w twarz. Zrobił to, bo dowiedział się, że odrobiła zadanie koleżance.

– Nie mogliśmy się bronić, byliśmy mali i słabi. Chcieliśmy tylko przetrwać – tłumaczyła synowi, kiedy pytał, dlaczego się nie buntowała.

Chajka uczyła się też w religijnej szkole podstawowej dla dziewcząt Bejt Jaakow, założonej w Długosiodle w 1932 roku przez Agudę. Jacobo wyobraża sobie, że lekcje historii prowadził more, który nosił białą brodę i czarny kaftan, codziennie ten sam. Jest pewien, że Chajka go nie lubiła, bo wszystkiego im zakazywał. Wyobraża sobie, jak mama pyta, gdzie w Torze jest napisane, że kobiety nie powinny się uczyć, a more odpowiada:

– Nie umiem wskazać konkretnej strony. Ale czy kiedykolwiek czytałaś, by Sara i Rebeka chodziły do szkoły?

Dziesięć lat później Elena została członkinią pierwszej w Kostaryce Ligi Feministycznej.

Chajka szuka na mapie Ameryki

Mama zakazała córce mówić komukolwiek o wyjeździe do Ameryki. Pewnego dnia Chajka poszła po kryjomu do biblioteki w Długosiodle i powiedziała, że szuka informacji o Kostaryce.

– Nie wiem, gdzie to jest – odpowiedziała obojętnie bibliotekarka.

Chajka wytłumaczyła, że jej tata wyjechał tam kilka lat temu.

– To kraj blisko Ameryki.

Bibliotekarka wzruszyła ramionami i podała jej mapę świata. Znalazła też *Historię Ameryki*. Chajka przeczytała w niej o Krzysztofie Kolumbie, który w trakcie swojej czwartej wyprawy do Ameryki dotarł do miejsca o nazwie Cariari, dzisiejszego Puerto Limón.

– Kolumb, tak jak mój tata, nie znał się na geografii. Chciał dopłynąć do Indii, a znalazł się w Ameryce Centralnej. Spotkał Indian, którzy nosili złote bransoletki, wyobrażał sobie złote kopalnie w głębi lądu. Dlatego nazwał nowo odkryty region „Costa Rica”. To znaczy „bogate wybrzeże” – tłumaczyła Chajka Toubie, swojej najlepszej przyjaciółce.

Einia zastanawia się, jak do trzech walizek zmieścić kuchnię i sypialnię

Prawdopodobnie na początku 1934 roku Dawid wysłał wiadomość do swojej żony Eini. Był chory na gruźlicę. W poprzednich listach obiecywał jej, że postara się o wizę do Stanów Zjednoczonych, ale granice pozostawały zamknięte dla nowych imigrantów. Nie mając żadnych oszczędności, pożyczył pieniądze od znajomego Żyda. Kupił za nie bilety dla Eini i trojga dzieci na statek do Kostaryki, które musiała odebrać od agenta w Warszawie. Chciał, by Einia przyjechała jak najszybciej – potrzebował, by ktoś się nim zajął, a także przejął sklep, który założył kilka miesięcy wcześniej.

Według Jacobo gdyby dziadek nie zachorował, nie posłałby rodzinie biletów. W Kostaryce miał nowych przyjaciół, może nawet kochankę. Pracując jako klapper, mógł odłożyć wystarczająco dużo, by po dwóch lub trzech latach w nowym kraju kupić bilety dla żony i dzieci.

Tymczasem w Długosiodle Einia załatwiała ostatnie sprawy administracyjne. Chajka często towarzyszyła jej w urzędach, czego bardzo nie lubiła (opowiadała potem, że czuła się jak bohaterowie powieści Kafki). Polscy urzędnicy byli niczym bogowie, którym należało złożyć hołd, szczególnie gdy było się Żydem. Wieczorami pakowały walizki. Chajka, która wiedziała o Kostaryce więcej niż matka, doradzała jej, żeby nie brała kołder, bo tam, gdzie jada, jest gorąco. Matka nie chciała jej wierzyć. Zabrała wszystko, by na miejscu wygodnie się wyspać i dobrze zjeść: poszwy na kołdry, prześcieradła, garnki i naczynia sederowe.

Wyjechali z Długosiodła o świcie. Był wrzesień 1934 roku. Trzydziestoletnia Einia Brum, dwunastoletnia Chajka, siedmioletni Zelig i kilkuletnia Sara usiedli na twardych ławach powozu, który zawiózł ich do Warszawy. Chajka płakała – parę godzin wcześniej do ich drzwi zapukał sąsiad (był najlepszym rzeźnikiem w Długosiodle), by przekazać smutną wiadomość: po wielu tygodniach choroby zmarła jego najstarsza córka, jej przyjaciółka.

W Warszawie wsiedli w pociąg do Niemiec, statek do Kostaryki odpływał z Hamburga. W porcie protestanci obiecywali Chajce darmowy bilet do Ameryki, jeśli tylko zmieni wiarę, ale matka kazała jej z nikim nie rozmawiać, pilnować rodzeństwa i prędko wsiadać na pokład. Kajuta była niewielka, więc Chajka większość czasu spędzała na zewnątrz. Mogła stamtąd obserwować pokład spacerowy pierwszej i drugiej klasy. Pewnego dnia podeszła do niej elegancko ubrana kobieta, przedstawiła się jako malarka i zaprosiła do swojej przestronnej kajuty. Przez kolejne tygodnie malowała jej portrety. Chajka całe życie opowiadała, że jako jedyna Żydówka podróżowała do Ameryki pierwszą klasą.

Po wielu latach tłumaczyła synowi, że wyjechali z Długosiodła, bo dziadek Sikora zachorował. Ponadto sklepy Brumów zbankrutowały, Einia miała długi

i musiała uciekać przed komornikiem. Jacobo dopiero pół wieku później dowie się, że było zupełnie inaczej.

Tata okazuje się nieznanym w błękitnej koszuli

Port w Limón był rozczarowujący. Chajka patrzyła na brudnych pracowników, zaśmiecone ulice i garaże z blachy. Spodziewała się Indian w błyszczącej biżuterii i złotych plaż. Puerto Limón, które dekadę wcześniej rozwijało się równie prężnie jak San José, padło ofiarą United Fruit Company – amerykańskiej kompanii bananowej. Gdyby Chajka dotarła do Kostaryki w latach osiemdziesiątych XIX wieku, usłyszałaby wszystkie języki oprócz hiszpańskiego. Głównie angielski, którym posługiwali się Jamajczycy, kreolski, a także niemiecki i francuski europejskich zarządców UFCO. Limón był wtedy najdynamiczniejszym portem Ameryki Centralnej. Pod koniec lat dwudziestych kostarykańskie plantacje dotknęła jednak plaga choroby panamskiej. W mieście zostali tylko ci, którym nie udało się znaleźć pracy gdzie indziej.

W porcie nikt na nich nie czekał. Chajka rozglądała się dookoła rozkojarzona. Sukienka kleiła się do ciała, nie miała nawet kapelusza, który ochroniłby ją przed słońcem. Spod zmrużonych powiek obserwowała falujące liście palm kokosowych i plażę o brunatnym piasku. Po ścianie dżungli, która tworzyła naturalną granicę między wodą a lądem, pięły się fioletowe orchidee i czerwone helikonie.

– Pani Sikora? – Do Eini podeszła nieznaną kobietą. Wy tłumaczyła w jidysz, że Dawid poprosił, by odebrała jego rodzinę z portu. Wsiedli do pociągu i po sześciu godzinach dotarli do San José.

Einia zapukała do drzwi na pierwszym piętrze małego drewnianego domku w centrum miasta. Otworzył jej blady, ale wciąż przystojny mężczyzna. Nie miał brody, nosił błękitną koszulę i kremowe spodnie. Einia ledwo rozpoznała swojego męża, którego z Polski zapamiętała jako zawsze ubranego na czarno, poważnego studenta jesziwy. Gdy odezwał się, by ją przywitać, usłyszała dziwny akcent. Mówiąc, wtrącał nieznanne im słowa: *tienda* [sklep], *caballo* [koń], *mercado* [targ], *buhonero* [domokrażca], *paga* [opłata], *frijoles*

[fasola]. Wciąż był bardzo religijny, ale nie mógł niestety obchodzić szabat. Zamknięcie sklepu w sobotę oznaczałoby mniejszy zarobek, który i tak był niewielki (z czasem w sklepie zastąpiła go żona i dzieci, podczas gdy on chodził do synagogi). Ledwo starczało mu na opłacenie czynszu i jednego posiłku dziennie, składającego się z ryżu i czarnej fasoli. Nie wspomniał o długach zaciągniętych u Mojżesza Bursztyna – właściciela hotelu, u którego mieszkał przez kilka lat. Powiedział też, że nie będą jeść koszernie, bo to zbyt skomplikowane.

Chajka przyglądała się ojcu podejrzliwie. Nie znała go, miała lepszy kontakt z matką, która utrzymywała całą rodzinę, a także opiekowała się domem, gotowała i sprzątała. Nagle wszystko zaczęło się kręcić wokół tego kapryśnego mężczyzny, mającego prawie zawsze zły humor. Matka zaś z dnia na dzień gasła, robiąc tylko to, co kazał jej Dawid. Chajka nie mogła zrozumieć tego do końca życia.

Chajka i Zelig znikają

Chajka wzdrygnęła się na widok mężczyzn żujących trzcinę cukrową. Poprzedniego dnia tata dał jej jedną do spróbowania, ale wypluła. Była gorzka. Zelig, którego ojciec zaczął nazywać Samuelem, zjadł banana ze skórą, a Sara prawie wybiła sobie ząb na pestce awokado. Obrała owoc ze skóry i wyrzuciła zielony miąższ, myśląc, że do jedzenia jest brązowa kulka w środku. Nikomu z nich nie smakowały też kukurydziane tortille, które tata jeszcze gorące przynosił z targu co rano. Czarna fasola była gęsta jak gotowane w zimie zupy, lubili ją jeść, choć na początku bolały ich brzuchy. Mama na targu kupowała codziennie nowe owoce i warzywa: podobne do kalarepy jasnozielone *chayotes*, pomarańczowe ziemniaki, które nawet woleli od polskich, bo smakowały jak słodki deser. Brakowało im kiszonej kapusty i ogórków.

Najważniejsza była nauka języka. Sara, najmłodsza z rodzeństwa, od razu poszła do szkoły. Chajka i Zelig uczyli się hiszpańskiego na prywatnych lekcjach w domu. W nowym roku poszli do szkoły. W pierwszym tygodniu nauki nauczycielka zrobiła dyktando. Gdy przyniosła poprawione prace,

powiedziała, że jedna z uczennic popełniła siedemdziesiąt błędów ortograficznych. Wszyscy zaczęli się śmiać, ale po kostarykańsku – nie było to, jak w Polsce, wyszydzanie. Po prostu wydawało im się to zabawne. Chajka też się śmiała, myśląc w duchu, że trzeba być bardzo głupim, by popełnić aż tyle błędów. Nagle nauczycielka popatrzyła na nią i położyła pokreśloną na czerwono kartkę na jej stoliku. Chajka oblała się rumieńcem. Przez kolejne dni pracowała całymi nocami, była ambitna. W kolejnym dyktandzie zrobiła tylko trzy błędy. Czuła, jakby wraz z nowymi słowami po hiszpańsku uciekały wszystkie, które znała po polsku. W sześć miesięcy zapomniała języka, którym mówiła przez pierwsze dwanaście lat życia. Tata i mama zaczęli na nią wołać Elena. Wiele razy wyobrażała sobie, że dwunastoletnia Chajka Sikora wsiadła na statek powrotny do Polski. Już więcej się nie spotkały.

Część trzecia. Król i królowa

Chifter udowadnia, że jego babcia nie zabiła Jezusa

By zapisać Jacobo do najlepszej szkoły podstawowej w Kostaryce, Elena spała pod drzwiami dyrektora w płóciennej torbie po kawie. Tak przynajmniej opowiadała synowi, żeby zmotywować go do odrobienia zadań domowych. Escuela Buenaventura Corrales była szkołą katolicką, a Jacobo jedynym żydowskim uczniem. Początkowo wszystkiego się wstydził.

Pierwszy raz zarumienił się, bo nie znał słów modlitwy. Cała klasa recytowała: „*Padre Nuestro, que estás en los Cielos*” [Ojcze nasz, któryś jest w niebie], a on przestępował z nogi na nogę i patrzył w jeden punkt na czarnej tablicy, tak by nie spotkać wzroku nauczycielki. Poruszał ustami, udając, że wie, jak modlą się katolicy. Drugi raz zarumienił się godzinę później, gdy *maestra* [nauczycielka] czytała listę obecności.

– Jak wymawia się twoje nazwisko? – zapytała, patrząc na niego groźnie.

Biurko, za którym siedziała, nagle zrobiło się duże jak transatlantyk cumujący w porcie.

– Na początku jest „sz”... – odpowiedział nieśmiało.

Doña Virginia przeczytała: Jacobo Chifter. „Czifter” zabrzmiało dla Jacobo prześmiewczo.

Na lekcji religii katechetka, by zrobić Jacobo na złość, pytała dzieci:

- Kto zabił Jezusa Chrystusa?
- Żydzi! – wrzeszczeli jego koledzy i koleżanki.
- Dlaczego go zabili?
- Bo nie uwierzyli, że jest Synem Bożym!

Jacobo zebrał się na odwagę i rumieniąc się, zapytał:

– Pani profesor, jak w Kostaryce dokonuje się przestępstwa, to od razu jako winnych wskazuje się wszystkich Kostarykan?

- Oczywiście, że nie! Przecież nie wszyscy w nim uczestniczyli.
- Ale Jezusa zabili wszyscy Żydzi? Było jakieś śledztwo?
- Nie, ale wiadomo, że to Żydzi.
- Ale nie wszyscy, skoro apostołowie byli Żydami. Maria Magdalena też była Żydówką!
- Już wystarczy tego, Chifter! To wy go zabiliście i kropka.
- Jak mogłem go zabić, skoro to było tak dawno? Mnie tam nie było, *maestra!* – Jacobo był bliski płaczu.
- Ale z pewnością była tam twoja babcia.
- Ona, biedna, od rana do wieczora, siedem dni w tygodniu sprzedaje spodnie na targu koło szkoły. Nie znalazłaby czasu – powiedział cicho i więcej się nie odezwał.

(Ta historia wydaje mi się nieprawdopodobna, o czym mówię Jacobo, ale on zarzeka się, że wydarzyła się naprawdę. Héctor kiwa głową na znak zgody z partnerem).

Kolejnym razem zarumienił się, bo jego ulubiona nauczycielka, Maria del Carmen o kocich oczach, poprosiła, by niósł flagę Kostaryki w Dzień Niepodległości. Gdy doña Virginia dowiedziała się o tym od jednego z uczniów, wbiegła zdyszana do klasy Marii.

- Słyszałam, że wybrała pani Polaczka do noszenia flagi narodowej?
- Ależ doña Virginia, on urodził się w Kostaryce.
- To kraj chrześcijan, nie Żydów. Teraz będzie nosił flagę, a zaraz zabierze nam wszystko, co mamy. Jego ojciec już ograbił niejedną kostarykańską

rodzinę! Chodzi od wioski do wioski i sprzedaje na raty nawet tym, którzy nie mają grosza!

Na przerwie Maria kucnęła obok stolika Jacobo.

– Przykro mi, że w tej szkole są osoby, które nie chcą, byś niósł flagę.

– Nic nie szkodzi, *maestra*. I tak nie chciałem jej nieść – skłamał.

– Gdyby to zależało ode mnie, mógłbyś nieść i trzy flagi. Ale tym razem musimy się poddać. Umówmy się, że w zamian będziesz szedł ze mną na czele pochodu i razem zaśpiewamy hymn Kostaryki.

Jacobo nie może znieść, gdy tata siorbie

Schifterowie byli pierwszą żydowską rodziną mieszkającą w willi. Daleko od synagogi i reszty Żydów, którzy osiedlali się przeważnie w centrum San José. Dom w Los Yoses wybudował urodzony w Warszawie Abraham Melcer, syn jednego z pierwszych imigrantów. Był w stylu art déco, wszyscy przyjeżdżali go oglądać.

– Na zewnątrz luksus, a w środku sztetl – wspomina Jacobo. – Żyliśmy w przeciwieństwach: z zacofanymi rodzicami, w nowoczesnym kraju. San José w latach trzydziestych było postępowym miastem, pierwszym w Ameryce Środkowej, które miało elektryczność. Lampy oświetlały ulice wcześniej niż w Warszawie. Większość mieszkańców stolicy umiała czytać, bo powszechna edukacja była obowiązkowa od ponad pół wieku. A nasi rodzice w Polsce skończyli co najwyżej kilka klas szkoły podstawowej. Mówili słabo po hiszpańsku, stale ich poprawialiśmy. Musieliśmy wypełniać za nich dokumenty prawne, pisać podania i usprawiedliwienia dla nauczycieli. Tata miał okropny, twardy akcent. Trudno było tego słuchać, a do tego narażał nas na niebezpieczeństwo. Nieraz, gdy odezwał się na ulicy, ktoś nas wyzywał i kazał wracać do Polski. Moja mama jako jedna z niewielu pięknie mówiła po hiszpańsku, więc naśladowałem jej sposób mówienia, oczywiście bardziej kobiecy. Najbardziej nie znośłem wychodzić z ojcem do restauracji. Nie umiał posługiwać się nożem i widelcem, mlaskał podczas jedzenia czarnej fasoli i siorbał sok z mango. Wszystko jadł łyżką. Nie lubiłem też jedzenia, które gotowała babcia Einia Brum. Jej gęste zupy i tłuste kurczaki były nie do

strawienia w tropikach. Moja mama na szczęście nauczyła się jeść ryby, warzywa i owoce. Babcia do końca życia ograniczała się do ziemniaków, gefilte fisz i krepli. Ale najgorsze było co innego: mój tato rzadko się mył. *Ticos* szorują się dwa razy dziennie, a w sztetlu Polacy myli się raz w tygodniu. Rodzice nie wiedzieli też, co to jest dezodorant lub pasta do zębów. To był dla nas, dorastających dzieci, prawdziwy dramat. Z mojej siostry śmiano się w szkole, bo śmierdziała. W Kostaryce to niedopuszczalne, czystość to podstawa.

Żyd zostaje królem Indian

Popołudniami Jacobo chodził do chederu. W ciemnej i wilgotnej salce Centro Israelita more Pablo Koplovitch czytał dzieciom opowieści biblijne. Dokuczał małemu Jacobo, który miał trudności w nauce hebrajskiego. Żydowscy koledzy i koleżanki, którzy mieszkali w jednej dzielnicy, daleko od domu art déco w Los Yoses, wyśmiewali jego brak znajomości Tory. Miał tylko jedną przyjaciółkę: jasnowłosą Lisę. Czasem uciekali z lekcji, siadali w parku Morazán i obserwowali otaczające San José zielone wzgórza. W porze suchej las często się palił, wtedy Jacobo tłumaczył Lisie, że oto nadchodzą Indianie i oni wyzwolą ich od okropnych lekcji hebrajskiego, tego dziwnego języka, który zapisuje się na odwrót. Powstanie nowa, żydowsko-indiańska republika, a oni będą królem i królową.

Trzydzieści lat później czterdziestoletni Jacobo prowadził w kostarykańskich rezerwach dla Indian warsztaty. By wzmocnić ich poczucie pewności jako grupy mniejszościowej, opowiadał historię migracji polskich Żydów do Kostaryki. Po prelekcji wódz Indian podszedł do Jacobo. Powiedział, że jest mu przykro z powodu nieszczęść, które spotkały jego klan. Gdyby tylko wiedzieli, jakie Żydzi mieli wtedy kłopoty w Europie, to Indianie przyjęliby ich do siebie.

Opera, po której chce się płakać

Miał siedem lat, gdy pierwszy raz usłyszał o prysznicach z gazem. Jako syn organizatorki mógł uczestniczyć w obchodach rocznicy powstania w getcie warszawskim (Elena była przewodniczącą WIZO – Women’s International Zionist Organization, kobiecej organizacji syjonistycznej w Kostaryce). Lodka Rubinstein, która przeżyła cztery lata w Auschwitz, wzięła mikrofon i długo nic nie mówiła. Potem zapytała: „Co ja mogę wam opowiedzieć?”. Schowała dłoń bez palców głębiej w rękaw koszuli. Naziści wprawdzie nie zdążyli jej zagazować (zeczynała, że cztery razy stała w kolejce, ale za każdym razem było zbyt tłoczno), ale obcięli cztery palce.

Jacobo domyślał się, że dorośli coś ukrywają, ale nie do końca rozumiał, co to jest. Szukał odpowiedzi u Eleny, ale milczała. Jedyną modlitwą, którą odmawiała codziennie, był kadysz za zmarłych. Czasem, w trakcie ścielenia łóżka czy innej czynności domowej, siadała na łóżku i przez kilka minut nic nie mówiła. Patrzyła gdzieś w dal, jej oczy robiły się duże jak spodki. Jacobo przytulał się do matki i pytał, co tam widzi. Odpowiadała, że przez pokój właśnie bezszelestnie przeleciał anioł. Wzruszały ją melodie w jidysz, a także symfonie Czajkowskiego. Najbardziej płakała po operach, których główna bohaterka umiera.

Jacobo należał do pokolenia wychowanego w ciszy po Zagładzie.

– To milczenie związane było z poczuciem winy. Większość Żydów przybyłych do Kostaryki w latach trzydziestych nie mogła lub nie chciała sprowadzić tu swojej rodziny. Moja babcia w 1945 roku przestała spać. Wyrzucała sobie: „Mogliśmy więcej pracować i wysłać im bilety”. Najgorzej, jak ktoś miał pieniądze, a i tak nie pomógł rodzinie. Ale to był temat tabu, nikt się do tego otwarcie nie przyznawał. Całkowite odrzucenie Polski przez Żydów w Kostaryce było też po części spowodowane poczuciem winy. Nikt długo nie miał odwagi odwiedzić sztetli, z których uciekł, zostawiając rodzinę na pastwę Polaków i nazistów.

Otto

Pewnego dnia Jacobo podsłuchiwał rodziców, gdy szeptali w salonie. Elena mówiła ojcu, że Otto, osiemnastoletni syn jej przyjaciółki Eulalii, próbował

popęłnić samobójstwo. Podobno matka nakryła go w łóżku z kolegą. Postanowiła go srogo za to ukarać, bała się, że w przeciwnym razie zostanie sodomitą i już nigdy nie uda się znaleźć mu żony. W kolejnym dniu Otto przyszedł do domu Jacobo, był blady. Mama powiedziała synowi, że zatrzał się krewetkami.

Rodzice wysłali go do szkoły wojskowej w Stanach Zjednoczonych. Uważali, że tam zmężnieje.

– Po kilku tygodniach zostaliśmy zaproszeni do doñi Eulali, by zobaczyć nowo narodzone pieski. Pamiętam świdrujący dźwięk telefonu, a potem wrzask. Dorośli biegali po domu, szczeniaki się pogubiły, Eulalia leżała blada na podłodze w kuchni. Otto się zabił. „Dlaczego się zabił, mamó?”, zapytałem wieczorem. „Był homoseksualistą i nie mógł mieć rodziny”, odpowiedziała Elena.

Lekarze chcą przywrócić równowagę w domu Schifterów

– Mamó, muszę ci coś powiedzieć – bąknął dziesięcioletni Jacobo.

Elena popatrzyła na niego roztargniona. Przygotowywała salon na przyjęcie żydowskich koleżanek z WIZO. Liczyła buteleczki coca-coli i łyżeczki do ciasta. Z reguły każda z pań przynosiła domowy placek. Układały potem na stole polskie i kostarykańskie ciasta, musy z limonek i strudle jabłkowe, narzekały na mężów i rozmawiały o polityce.

– Mamó, chciałem ci powiedzieć, że chyba wolę chłopców od dziewczynek.

Elena odwróciła się gwałtownie.

– Pocałowałbyś Pitę? – zapytała po chwili milczenia.

– Nigdy w życiu! – wzdrygnął się Jacobo. – Ale tylko dlatego, że Pita jest gruby i brzydki.

Elena w kolejnym tygodniu zabrała go do lekarza, który przepisał mu testosteron. Przez dwa lata regularnie chodził na zastrzyki, dzięki którym miał się stać prawdziwym mężczyzną.

Elena powtarzała synowi, że kocha go takiego, jaki jest, i nigdy nie przestanie, ale prosi, by postarał się zmienić. Niech zrobi to dla niej. Ona

w rewanżu nie powie o niczym ojcu, bo gdyby się dowiedział, to bardzo by go zbił. Jacobo myślał, że nie ma na świecie bardziej wyrozumiałej mamy. Gdyby tylko miała lepsze dzieci... – dumął przed zaśnięciem.

Potem do Kostaryki dotarła z Ameryki moda na psychoanalizę i Elena zapisała swojego syna na seans z doktorem Castro, który podobno leczył z homoseksualizmu.

– Dlaczego tu jesteś? – dociekał doktor na wizycie.

– Bo powiedziałem mojej mamie, że wolę chłopców od dziewczynek – wytłumaczył Jacobo nieporadnie.

Podczas godzinnego seansu doktor doradzał Jacobo, by przestał spędzać czas z matką, a zamiast tego poszedł pomóc ojcu w sklepie. Jacobo pomyślał przerażony, że powodem jego choroby jest nie brak męskich hormonów, ale Elena! Po powrocie wszystko jej opowiedział.

– Czy pocałowałbyś Pitę albo innego chłopca? – zapytała znowu.

Odpowiedział prędko, że nie, i więcej na psychoanalizę nie poszedł.

Przepis na to, jak nie być religijnym

Na bar micwie trzynastoletniego Jacobo goście pokłócili się o ogórki i gefilte fisz. Nikt nie zwrócił uwagi na czerwonego z emocji chłopca odczytującego fragment Tory. Ważniejsze było, że ogórki pływają w occie, a ryba jest za słodka.

– W Kostaryce wydarzyło się coś dziwnego – opowiada Jacobo. – Polacy, którzy przyjechali tutaj w latach trzydziestych, nie byli religijni. Aż do końca lat sześćdziesiątych większość chodziła do synagogi raz w roku, ich sklepy pozostawały otwarte w soboty. Mało kto prowadził kosztowną kuchnię. Pierwszy rabin osiedlił się tu na stałe dopiero w latach siedemdziesiątych. Wcześniej jego funkcję pełnili najbardziej religijni wśród imigrantów, na samym początku byli to mój dziadek Dawid Sikora i Herman Reifer. Z czasem zaczęli przyjeżdżać prawdziwi rabini, ale żaden długo nie zagrzeł miejsca. Zniechęcali się, bo nikt nie był zainteresowany religią. Gdy chcieli wprowadzić zasadę obowiązkowego chodzenia do synagogi w każdą sobotę, jak najprędzej odsyłano ich do kraju, z którego przybyli. Wszystko zmieniło

się, gdy w latach sześćdziesiątych powstała szkoła i liceum żydowskie Instituto Dr. Jaim Weizman. Młodzi Żydzi przestali chodzić do publicznych szkół, zwrócili się w stronę Izraela i judaizmu. Mieli pretensje do rodziców za nieprzestrzeganie koszerności, za to, że ich nie obrzezali. W Kostaryce to dzieci nawróciły rodziców. Teraz wspólnota jest bardzo konserwatywna.

Po bar micwie Jacobo ogłosił Lisie, że Indianie zdobyli dzielnicę Los Yoses i zakazali religii. Po pięćdziesięciu latach Jacobo wciąż przestrzega ich rozporządzeń.

Elena boi się wody

W latach pięćdziesiątych na wakacje jeździło się do Puntarenas, najbliższej położonej od miasta miejscowości nad Pacyfikiem. W pociągu na pierwszej stacji wszystkie *yiddishe mamas* otwierały torby z jedzeniem i kupowały ciepłe dania od Kostarykanek stojących na peronie. Większość matek nie przestrzegała surowo koszerności, ale i tak kłóciły się, które dania mogą zjeść. Gdy już ustaliły, że *hígado en salsa*, wątróbka w sosie, nie jest koszerna, goniły za dziećmi i kazały im wypluwać połknięty w biegu obiad.

W nadmorskim hotelu bez ani jednej gwiazdki trzy posiłki dziennie podawane były o wyznaczonych godzinach. Matki walczyły o miejsca bliżej kuchni, tam obiady były serwowane najszybciej. Na plaży ojcowie, którzy przyjeżdżali na niedzielę, grali w pokera. *Mamitas* – przezywane tak przez Kostarykan żydowskie „mamuśki” – moczyły się w morzu, ale większość nie wchodziła dalej niż do kolan. W sztetlach nikt nie nauczył ich pływać. O siedemnastej szły na sam koniec plaży i tam oglądały zachód słońca. Całe niebo robiło się żółte, a potem pomarańczowe. Elena wiele razy mówiła, że pokochała Kostarykę od pierwszego wejrzenia, bo była piękna. A ona lubiła wszystko, co ładne, nawet jej przyjaciółki musiały być urodziwe.

W tym czasie dzieci biegały za Jacobo i wołały: „*Grandísimo maricón!*” [Skończony pedale!] A on nazywał ich „Judenratem”.

Doradca prezydenta i prostytutka

Rzekome lekarstwo na chorobę Jacobo Luis Burstin znalazł w tanim motelu. Doktor Luis Burstin, nazywany przez mamę „Lazaro”, urodził się w Kostaryce pięć lat po przyjeździe rodziców do nowego kraju. Został sławnym kardiologiem, był też zagorzałym komunistą. W latach siedemdziesiątych prowadził własny program w telewizji, *Programa del Dr. Burstin*. Komentował najnowsze wydarzenia na świecie (miał prenumeratę „New York Timesa”, co robiło wielkie wrażenie na jego współpracownikach), zapraszał do studia znane postacie w kraju, aktorów i pisarzy. Lubił filmy Woody’ego Allena.

Gdy Jacobo miał trzynaście lat, Luis był doradcą prezydenta José Figueresa. Elena kazała synowi iść go odwiedzić. Spotkali się w jego gabinecie, naprzeciwko szpitala San Juan de Dios.

– Znalazłem remedium na twoją przypadłość! – Luis, będąc człowiekiem wykształconym, znającym Freuda, uważał homoseksualizm za coś odpychającego. – Umówiłem cię na randkę z kobietą, która ma doświadczenie w inicjacji młodych chłopców.

Jacobo opowiada mi o tym tak:

– prostytutka miała ładne ciało, ale brzydką twarz. Brakowało jej jednego zęba, a z czubka nosa wyrastała brodawka. Wpadłem w popłoch. Rozluźniłem się nieco, rozmawiając z kierowcą, który wiozł nas do motelu. Był przystojnym „*bombón latino*” [cukiereczkiem]. Chciałem zaproponować, by poszedł z nami, ale nie miałem odwagi. W motelu położyłem się na łóżku i zamknąłem oczy. Potem w domu, gdy mama zapytała, jak mi poszło, popłakałem się. Ale już w kolejną sobotę – Luis uważał, że remedium zadziała tylko, jeśli pójdę jeszcze raz – czułem się pewniej. Najpierw wyobrażałam sobie kuzyna Luisa, a potem taksówkarza. Wyszedłem z motelu szczęśliwy.

Król i królowa

Elenę najbardziej drażniło to, że kobiety w Centro Israelita nie mają prawa głosu. Nie doczekała się zmiany rozporządzenia, ale nieustannie pisała w tej sprawie petycje. Czytała Simone de Beauvoir i książki Emmy Goldman, żydowskiej anarchistki. Podburzała swoje koleżanki z WIZO, pytając, dlaczego

nie mają książeczek czekowych, mimo że pracują w sklepach tyle co ich mężowie. Przekonywała, by zapisywały córki na uniwersytet („Jeśli nie pošlecie ich do szkoły, skończą tak jak wy, za ladą w sklepie i z nieustającym bólem głowy!”). Mężczyźni nie mieli do niej zaufania, bo uczestniczyła w spotkaniach Ligi Feministycznej. Podczas wieczorów chopinowskich organizowanych przez nią w Centro Israelita stali bywalcy przychodzili, by zepsuć wieczór swoim żonom. Głośno komentowali wydarzenia polityczne w kraju, grali w pokera.

Gdy wracała do domu, wszystko omawiała z nastoletnim synem. Skarżyła się na mężczyzn. Wciąż powtarzała, że nie może zrozumieć przemiany babci Brum. Przez pięć lat w Długosiodle sama prowadziła sklep i utrzymywała całą rodzinę. Miała odwagę rozwieść się z pierwszym mężem. To od niej dwunastoletnia Elena nauczyła się, że kobieta może być silna i niezależna. Ale w Kostaryce Einia straciła władzę. To samo spotkało większość Żydówek, które dołączyły do mężów. Nie pomógł fakt, że Kostarykanki zazwyczaj nie pracowały, a prawo do głosowania uzyskały dopiero w 1949 roku.

Jacobo uważa, że Żydzi pozazdrościli swoim kostarykańskim kolegom. Chcieli kobiet spokojnych i uległych. Stali się latynoskimi macho.

W trakcie jednej z rozmów Jacobo podsunął mamie myśl, by wróciła do szkoły. Elena, która edukację zakończyła na szóstej klasie, nie mogła przestać o tym myśleć.

Tymczasem Jacobo został królem. Był 1969 rok, rewolucja obyczajowa dotarła z opóźnieniem do Ameryki Centralnej. Młodzież, także żydowska, zaczęła nosić dzwony, dredy, farbować włosy henną i słuchać Beatlesów. Jacobo, ku swojemu zaskoczeniu, został wybrany przez kolegów jako kandydat na przewodniczącego szkoły. „Głosuj na Schiftera. Głosuj przeciw protekcjonizmowi” – brzmiało hasło wyborcze Jacobo. Nastolatki lat siedemdziesiątych walczyli z kostarykańskim nepotyzmem, odziedziczonym po hiszpańskich kolonizatorach (współcześnie klanowość jest w Kostaryce wciąż silna, ale rzadko krytykowana). Konkurenci Jacobo, przeciwni, by rządził nimi „obcy”, odpowiedzieli nowymi afiszami: „Głosuj na *tico*. Nas nie da się kupić” – stereotyp chciwego Żyda, który sprzedawał na raty, był już dobrze utrwalony.

Tydzień przed wyborami w liceum Jacobo przygotowywał się do decydującej mowy, którą miał wygłosić tuż przed głosowaniem. Codziennie stał przed lustrem i powtarzał przemowę Evity Perón, dostosowując ją do swojej szkolnej rzeczywistości: chciał walczyć o sprawiedliwość w wystawianiu ocen i prawo do swobody szkolnego ubioru. Był zagorzałym przeciwnikiem mundurków.

Wygrał jednym głosem. Napisał do Lisy list: „Wygraliśmy! Niech żyje republika żydowsko-indiańska!”.

Elena i Jacobo idą do szkoły

Jacobo, w Kostaryce *polaco*, w Stanach Zjednoczonych stał się *latino*. Na stołówce siedział przy jednym stole z Honduranami i Salwadorczykami (stół obok zajmowali czarni). Horacio z Hondurasu wytłumaczył mu, co jest najważniejsze dla *gringos*.

– Nigdy nie zapominaj o dezodorancie! Włosy myj szamponem! Nie jedz z otwartą buzią, nie mlaskaj i co najważniejsze: nie puszczaj bąków!

Jacobo, słuchając go, przypomniał sobie, jak wstydził się ojca, który mył się raz w tygodniu i nie potrafił posługiwać się nożem i widelcem. Dla *gringos* Kostaryka była sztetlem.

Na Uniwersytecie w Maryland, gdzie kontynuował studia, poszedł na terapię. Opowiedział o doświadczeniu z Kostaryki: zastrzykach z testosteronem i spotkaniach z prostytutką.

– Jeśli stanę się gejem, nikt nie będzie mnie lubił – podsumował.

– Ja cię lubię, Jacobo – powiedział terapeuta. Doradził mu, by zajrzał do barów gejowskich. Jacobo poszedł i tak poznał pierwszego chłopaka, Kolumbijczyka, który używał Chanel No. 5. Jacobo nie znosi tego zapachu do dzisiaj.

W tym czasie Elena czytała coraz więcej książek, bardzo lubiła Stefana Zweiga. Po hiszpańsku mówiła prawie bezbłędnie, choć nie potrafiła poprawnie pisać i nie wiedziała, gdzie stawiać przecinki, czego bardzo się wstydziła. Gdy dzieci wracały z Ameryki, słuchała jak urzeczona ich opowieści. Postanowiła zapisać się na uniwersytet jako wolny słuchacz.

Wybrała kursy z literatury europejskiej, filozofii i historii. Zawsze siadała z tyłu i robiła dużo notatek. Wszyscy byli pod wrażeniem jej determinacji. Pewnego dnia jedna z wykładowczyń powiedziała głośno:

– Szanowna pani, uniwersytet to nie jest instytucja charytatywna!

Elena była wzburzona. Przycisnęła do piersi zeszyt i długopis, po czym wyszła z sali, trzaskając drzwiami.

– Następnym razem wrócę na ten uniwersytet jako studentka! – powiedziała później Elena do syna przez łązy.

O niezależności

Elena skończyła pięć klasy w Polsce i dwa lata w Kostaryce. Potem musiała pomagać rodzicom w sklepie. By móc zapisać się na uniwersytet, jako czterdziestolatka przygotowywała się do egzaminu dojrzałości.

Jacobo po powrocie ze Stanów Zjednoczonych odkrywał w Kostaryce podziemie gejowskie. W oświetlonych neonami barach mrugające światło nad wejściem alarmowało, że zbliża się policja. Przytulający się kochankowie nagle stawali się kolegami, którzy po pracy przyszli na piwo. Czasami policja wpadała bez ostrzeżenia, wtedy geje byli aresztowani. Jacobo chciał stworzyć ruch gejowski wzorowany na amerykańskim, uruchomił nawet terapię grupową dla homoseksualistów, ale było na to w Kostaryce za wcześnie. Jego znajomi woleli pozostać w cieniu, nie mieli jeszcze odwagi, by zerwać z rodziną.

Jacobo śni o mamie

Nikt tego nie przewidział.

Był 31 grudnia 1979 roku. Jacobo przygotowywał się do nowojorskiego balu noworocznego (kilka miesięcy wcześniej dostał stypendium na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku), gdy zadzwoniła jego siostra. Sara, która mieszkała wtedy w Kalifornii, zaczęła opowiadać mu o nowej partnerce, Żydówce z Wenezueli (była po rozwodzie z amerykańskim protestantem).

– Jacobo, zaraz do ciebie oddzwonię, mam telefon z Kostaryki – powiedziała tylko i odłożyła słuchawkę.

Półtorej godziny później w mieszkaniu na Upper West Side telefon wydał piskliwy dźwięk. Za oknem padał śnieg.

– Mam złe wiadomości. U mamy wykryto raka piersi – poinformowała Sara. – Rokowania nie są dobre. Dają jej nie więcej niż pięć lat.

Jacobo tej nocy śnił o mamie, która była łysa. Dygotała z zimna w oświęcimskim baraku.

Wolf chowa się przed żoną w sklepie

– Nie mogę jechać do szpitala w Ameryce, bo muszę chodzić do szkoły – oznajmiła stanowczo Elena po operacji usunięcia piersi. Za kilka miesięcy miała zdawać maturę. Potem czekały ją egzaminy na studia, ale Jacobo i Sara liczyli na lepszą diagnostykę w Stanach Zjednoczonych.

Jacobo musiał zadzwonić do wszystkich nauczycieli, żeby udzielili jej pozwolenia na wyjazd. Wieczorem przed odlotem poszedł do sklepu ojca La Florida, by z sejfu zabrać paszport Eleny. W łazience paliło się światło. Zapukał, ale nikt nie odpowiedział. Wydało mu się to dziwne, bo słyszał szepty. Wtedy drzwi otworzyły się na całą szerokość. Rozpoznał ojca, który wychodząc, zapinał rozporek. Nawet nie spojrzał na syna. Włożył na głowę kapelusz i opuścił sklep. Za Wolfem z łazienki wyszła kasjerka pracująca w La Floridzie.

W Stanfordzie doradzili im chemioterapię, którą Elena miała rozpocząć za kilka tygodni w Kostaryce. Jacobo wrócił do Nowego Jorku, ale temat jego doktoratu pozwalał mu na robienie badań w San José. Tymczasem Elena zdała maturę i dostała się na studia. Wybrała kierunek praca socjalna.

Einia Brum na wieść o chorobie córki dostała wylewu. Zmarła w 1980 roku, miała siedemdziesiąt osiem lat.

Na plantacji paproci

Elena pracowała na polach paproci. Jak wszyscy studenci musiała zaliczyć kilkadziesiąt godzin praktyk. Co parę tygodni chodziła na chemioterapię,

a potem wracała na plantację, by zbierać rośliny przez pół dnia w pełnym słońcu. W 1983 roku obroniła pracę licencjacką.

Lekarze byli zdania, że jeśli przez pięć lat nie będzie miała przerzutów, wyzdrowieje.

15 grudnia 1986 roku Jacobo poznał Héctora. Stał oparty o bar, popijał kolorowego drinka. Był wysoki, dobrze zbudowany, przypominał Jacobo króla Dawida z Biblii. Miał czarne oczy i wyrazisty profil z krzywym nosem. Od pierwszej chwili wiedział, że jest mu przeznaczony.

Kilka godzin wcześniej dowiedział się, że matka ma przerzut do płuc. Dawano jej parę miesięcy życia.

Podróż, tylko dokąd?

W trakcie choroby najbardziej martwił Elenę brak piersi. Zawsze miała duży biust, z którego była dumna. Gdy lekarze w Kostaryce amputowali jej pierś, nie poinformowali o możliwości operacji plastycznej. Elena w Stanach Zjednoczonych zapłaciła za operację rekonstrukcji, ale była świadoma, że większość kobiet w Kostaryce nigdy nie mogłaby sobie na to pozwolić. Gdy zdiagnozowano u niej raka płuc, a potem kości, założyła działającą do dziś fundację FUNDESIO. Hotel dla kobiet nazwany jest imieniem Eleny Sikory. Sprowadziła ze Stanów pierwsze implanty silikonowe, a także peruki. Rozpowszechniła metodę Simontona, która dzięki terapii i medytacji pomaga w walce z bólem.

Była już nieprzytomna, gdy Jacobo położył się koło niej na łóżku. Przytulił ją i ścisnął za rękę. Wydało mu się, że zaraz odbędą podróż w czasie. Chciał zapytać mamę o tajemnicę rodzinną, której nigdy mu nie zdradziła, ale wiedział, że jest za późno. Słuchał bicia jej serca, a kiedy się zatrzymało, na kilka chwil wstrzymał oddech. Gdy go odzyskał, miał wrażenie, jakby wynurzył się z wody.

Część czwarta. Poszukiwania Chajki

Pasażerowie spekulują nad sekretem

W samolocie jest gwarno i tłoczno. Gdy tylko gaśnie lampka z napisem „zapiąć pasy”, pasażerowie zaczynają się przechadzać po korytarzu, jakby to był nadmorski bulwar. Francuska Żydówka, moja sąsiadka, jedzie na bar micwę do swojej religijnej rodziny, szuka najtańszej opcji transportu do Jerozolimy. Stoi więc koło mojego fotela i zaczyna wszystkie przechodzące osoby. Wciąga mnie do rozmowy z inną Francuzką, która zwierza nam się, że za dwa tygodnie ma wyjść za mąż, ale chce się z tego wyplątać, bo jej narzeczony jest ortodoksyjnym Żydem.

– Nigdy nie da mi rozwodu! – mówi zrozpaczona. Jej zwierzenia przerywa pojawienie się kilkunastu Żydów z pejsami, którzy kierują się na modlitwę na tył samolotu. Blokując dwie toalety, mężczyźni z Torami w dłoniach mamrocą po hebrajsku. Gdy kończą, pytam jednego z nich, ile razy modli się w ciągu dnia. On na to, że cztery, a potem pyta, czy jestem koszerka, jak nazywa się moja mama i po co lecę do Tel Awiwu.

– Mam spotkanie się z dziewięćdziesięcioczeroletnią kobietą, która chce zdradzić mi pewną tajemnicę – odpowiadam. Po piętnastu minutach pół samolotu zna historię rodziny Jacobo i spekuluje nad jej sekretem. Wielu wątpi, by starsza pani cokolwiek pamiętała.

– Usiądziesz za stołem, ona zrobi ci herbatę, a potem wyjawi przepis na barszcz jej babci – śmieje się religijny.

Yona zaprasza do Izraela

Po śmierci mamy Jacobo zaczął spisywać jej historię. Pewnego dnia na stronie internetowej inicjatywy „WE REMEMBER JEWISH WYSZKÓW” trafił na czarno-białe zdjęcie ze szkoły Bejt Jaakow w Długosiodle. Zostało opublikowane przez Meira Govera, prawnika z Izraela. Jego mama Yona z pamięci podpisała koleżanki ze zdjęcia. Jedną z nich była Chajka Sikora. Jacobo napisał do Meira wiadomość i dowiedział się, że Yona była najlepszą przyjaciółką jego mamy. „Mama wyznała też, że zna rodzinny sekret Sikorów. Powiedziała mi: »To nie było jego dziecko«. Ale więcej zdradzić nie chce” – odpisał Meir.

Zaproponowałam Jacobo, byśmy napisali do Meira raz jeszcze. Jeśli Yona żyje, może teraz zechce opowiedzieć więcej? Maila wysłałam wieczorem. Kolejnego dnia wcześniej rano dostałam zaskakującą odpowiedź: *„Dear Pamula. My mom is 94 year old, healthy and lucid. She can tell you this story first hand and in Polish which she speaks fluently. Will you be coming to Israel? I’m a 66 year old attorney in Tel Aviv. I took my mom twice to Poland and we visited Długosiodło. I took her to the Długosiodło Elementary School where she received copies of her Diplomas. Her house still stands there in the Kosciusko Rynak. Best, Meir Garbarz Gover, Tel Aviv”*. [Droga Pamulo. Moja mama ma 94 lata, jest zdrowa i w pełni władz umysłowych. Może opowiedzieć Ci historię rodziny Jacobo po polsku. Wciąż mówi płynnie w tym języku. Czy przyjedziesz do Izraela? Jestem 66-letnim adwokatem z Tel Awiwu. Zabrałem mamę dwa razy do Polski, odwiedziliśmy Długosiodło. Zabrałem ją do szkoły podstawowej w Długosiodle, gdzie odebrała kopie swoich świadectw. Jej dom wciąż stoi na rynku. Pozdrawiam, Meir Garbarz Gover, Tel Awiw].

Spytałam Meira, czy możemy porozmawiać z Yoną przez Skype’a. Izraelczyk przekazał mi wiadomość od swojej mamy: „Słabo słyszę, szczególnie przez telefon. Jeśli chce pani porozmawiać, to proszę mnie odwiedzić w Hajfie. Byle szybko. Mam prawie sto lat”.

Yona zastanawia się, czy wypada mówić o złych rzeczach

Tego samego wieczoru Jacobo zaproponował, bym pojechała do Tel Awiwu.

– Z Kostaryki to zbyt daleka podróż. Paryż jest bliżej. Będziesz naszym mediatorem!

Od razu kupił mi bilety z Francji do Izraela, gdzie wylądowałam dwa tygodnie później.

Meir zawozi mnie do Hajfy, w drodze opowiadając historię jego rodziny, która uratowała się, uciekając z Długosiodła do Rosji. Wspomina też o ciotce, która całe życie poświęciła na szukanie swojego dziecka. Wyrzuciła roczne niemowlę z pociągu, gdy nadarzył się idealny moment, by chłopiec spadł na miękką trawę. Starszego syna zostawiła w pociągu do Treblinki. Sama, mimo

sporej tuszy, precyzyjnie się przez niewielkie okienko wagonu i wyskoczyła z pędzącej maszyny. Od razu wróciła do miejsca, gdzie spadło dziecko, ale już go tam nie znalazła. Kilka dni chodziła po polach i lasach i narażając życie, rozpytywała ludzi po domach, ale ślad po jej synku zaginął. Po paru tygodniach dała za wygraną i uciekła do Rosji. Meir pamięta ją, jak stoi w drzwiach domu w Izraelu i woła po polsku: „Majorek, chodź do domu!”. Niedługo potem zmarła, była zbyt nieszczęśliwa, by żyć.

Meir w samochodzie przestrzega mnie:

– Mama nie wszystkich lubi. Jeśli jej się nie spodoba, powie mi po hebrajsku, że jest bardzo zmęczona i nie odezwie się więcej.

Pokazuje mi jej zdjęcie z lat szkolnych (długie czarne włosy splecione w gruby warkocz, zawadiacko przekrzywiony beret) i wypis z dziennika za rok szkolny 1932/1933: „Lewin Touba, wyznanie: mojżeszowe. Za cały rok 35 dni opuszczonych, wszystkie usprawiedliwione. Brak spóźnień. Oceny: ze sprawowania się bardzo dobry. Z nauki religii: brak. Z nauki j. polskiego: niedostateczny. Z nauki rachunków z geometrią: dostateczny. Z nauki robót ręcznych: dobry. Z ćwiczeń cielesnych: dobry. Promowana do oddziału piątego”.

Prawie stuletnia Touba, w Izraelu Yona, jest niewiele wyższa od krzesła, na którym siada. Śmieje się, że ma metr pięćdziesiąt w kapeluszu. Cała się trzęsie, ale głos nawet jej nie zadrży. Uważnie dobiera polskie słowa, jej zdania są eleganckie, staranne, jakby pisała wypracowanie. Na początku opowiada o szkole.

– Szkoła powszechna była w ciągu dnia, a wieczorami Bejt Jaakow. Uczyli nas tam historii żydowskiej i hebrajskiego, ale myśmy nic nie rozumiały, co w tych żydowskich książkach jest napisane. W nocy odrabiałam lekcje, byłam dobrą uczennicą! Dlatego też tak dobrze znam polski i nie zapomniałam go, mimo że tyle lat jestem już staruszką. Wie pani pewnie, że ja jestem już stara? – pyta mnie zalotnie. – Ale języka urodzonego się nie zapomina, jakżeby można? Pamiętam, jak śmiałam się z akcentu moich rodziców. Mieliśmy sklep spożywczy, mama i tata nauczyli się kilku zdań po polsku, by obsłużyć klientów. Wiedzieli, jak powiedzieć: „cukier”, „kasza”, „śledzie”, bo to sprzedawaliśmy najczęściej. Czasem im pomagałam, ale zawsze powtarzałam,

że sklepu nie będę miała. Chciałam się uczyć, ale skończyłam szkołę powszechną i nas wygnali. To nas uratowało. Kto został, nie ma ich. Skończyli z nimi bardzo prędko. Jak myśmy wyszli, to jedni zabili drugiego. Niemcy zabijali, ale Polacy też, bo niektórzy byli szczęśliwi, że nas wygonili. Pamiętam kilku, którzy stali przy drodze i klaskali. Niemcy dali nam dwie godziny na spakowanie wszystkiego, co mieliśmy. Zdążyłam wziąć tylko najelegantszą sukienkę.

Meir nie powiedział Yonie, że przyjechałam, by zdradzić mi tajemnicę Sikorów. Tylko że jestem dziennikarką z Polski. Tłumaczę więc, że znam Jacobo i w swojej książce chcę opowiedzieć historię Chajki Sikory. Yona nie kryje wzruszenia.

– Chajka Sikora to jest moja koleżanka! Oj! Łzy mam w oczach teraz. Pisziesz o Chajce, mojej Chajce? Pamiętam jej mamę Einę i babcię Rywcię Małą, miały dwa duże sklepy. Chajka, Chajka... Była cicha, a ja znaczna: śpiewałam i tańczyłam, zawsze było wokół mnie gwarno. Ostatnim razem widziałam ją sześćdziesiąt lat temu, przyjechała mnie odwiedzić do Izraela. Wydawała mi się nieszczęśliwa, chyba nie kochała swojego męża. Potem słuch o niej zaginął. Co się z nią stało?

Opowiadam Yonie szczegółowo o życiu jej przyjaciółki, pokazuję zdjęcia. Yona spogląda w ekran iPhone'a.

– To nie Chajka, którą pamiętam, ale poznaję jej twarz i te czarne oczy.

Gdy mówię o tym, że skończyła szkołę, Yona nie może się nadziwić:

– Ła, ła! Dzielna Chajka. Ha! Dumna jestem z niej!

Wspominam o fundacji, którą założyła.

– Nie zasnęła w życiu ta moja Chajka, poradziła sobie! – cieszy się Yona.

Wtedy pytam o sekret rodzinny, którego mama nie zdążyła zdradzić synowi. Yona przez chwilę zastanawia się, czy mi odpowiedzieć.

– Czy to wypada tak o złych rzeczach mówić?

W 1929 roku Dawid Sikora z Długosiodła namawiał swojego przyjaciela Abrahama Lewina, ojca ośmioletniej Yony, by płynął z nim do Kolumbii. Ten odmówił, bo był syjonistą.

– Ojciec Chajki, zanim pojechał, przyszedł do naszego domu pożegnać się z moim tatą. Pamiętam, że stał w progu, patrzył i patrzył. Zastanawiałam się:

„Co on tak patrzy?” . Zrozumiałam to dopiero później: on już wtedy tęsknił. Bo nie wiedział, co go czeka. Mimo to chciał wyjechać. Nie musiał, bo sklepy żony i teściowej dobrze prosperowały, choć jego tam nigdy nie było widać. Ale on chciał uciec od rodziny, jechać w świat. Raz tylko napisał, że jest w Kostaryce, a potem przestał się odzywać. Nie wysyłał pieniędzy ani listów. Gdyby był oddany, prędzej by ich wziął do siebie, a on się nie spieszył. Myśmy myśleli, że on ma tam nową kobietę. Żal nam było Eini, która tak ciężko pracowała! Ciągle czekała, by mąż posłał po nią, nie chciała być sama. Tymczasem inni z Długosiodła i okolicznych sztetli pojechali do Kostaryki. Ciągnęło ich, bo listy krążyły, że praca jest. Pamiętam, jak z Chajką w atlasie sprawdzałyśmy, gdzie jest Kostaryka. Taki mały punkcik na mapie! Potem pytałyśmy o Amerykę na lekcji geografii, trochę nam nauczyciel opowiadał. Ale ja wciąż nie mogłam zrozumieć, dlaczego wszyscy jadą do Kostaryki. Co tam jest? Co ich ciąga? Dobrze nam było w Długosiodle.

Opowiadam Yonie o pracy Dawida jako klappera, o pierwszych latach polskich Żydów w Kostaryce. Jest zaskoczona.

– To była jego praca? – wydaje się zawiedziona. – Inaczej sobie wyobrażałam Kostarykę, myślałam, że tam było tak bogato jak w Ameryce. Oni też tak myśleli i dlatego jechali. A było biednie! – Kręci głową z niedowierzaniem. – Pamiętam dokładnie, jak wyjeżdżali. Przychodzili do naszego sklepu z żonami i kupowali na kredyt jedzenie na podróż. Mówili moim rodzicom, że jadą do Ameryki i niedługo wszystko spłacą. Prosili też, by podczas ich nieobecności dawać ich żonom, co tylko będą potrzebowały. Oni za kilka tygodni wyślą dolary. Moja mama się zgadzała, bo jak wszyscy wierzyła, że Costa Rica to bogaty kraj.

Tajemnica rodziny Sikorów

– Wszyscy wiedzieli, że Kalman Kuropatwa chodzi codziennie do Eini. Znany był w całym Długosiodle, bo krążył od domu do domu i naprawiał drobne usterki za miskę zupy. Był barczysty, bardzo przystojny, ale kulawy. Nie miał żony, tylko siostry, z którymi mieszkał w domu blisko rynku. Był inteligentny, dużo rozmawiał o syjonizmie z moim tatą. Taki wolny duch. Zaraz

na początku wojny zabrali go na Majdanek. Dawid wiedział, ile dzieci zostawił przed wyjazdem do Ameryki: siedmioletnią Chajkę i dwuletniego Zeliga. Gdy pięć lat po wyjeździe w końcu posłał po żonę, Einia przyjechała z trojgiem dzieci. Skłamała, że Sara ma dokładnie pięć lat, mimo że wyglądała na nie więcej jak trzy. Wszyscy wiedzieli, że Einia jest w ciąży, a męża nie ma. Ale co miała zrobić? Dawid nie powinien był czekać tyle lat, by po nią posłać. Widocznie brakowało jej mężczyzny. Einia to była silna kobieta, tak samo jak i Rywcia Małka. Prowadziły dwa sklepy, pieniędzy nie brakowało. Ona nie była nawet w Kalmanie zakochana, zrobiła to z tęsknoty za mężem! Nie chciała za niego wychodzić, czekała tylko, by jechać do Ameryki. Dawid od początku wiedział, że Sara nie jest jego córką, umiał przecież liczyć. Chajka opowiadała mi to potem w Izraelu. To był powód, dla którego ojciec nie przyjął ich w Kostaryce tak, jak powinien. Małżeństwo rodziców było nieudane. Pamiętam, jak przyszła się pożegnać dzień przed wyjazdem. Mówiła, że boi się jechać do taty. I tak samo jak jej ojciec stała w progu i patrzyła. Patrzyła smutno.

Epilog

W drodze powrotnej z Tel Awiwu do Paryża przez pięć godzin rozmawiałam z sąsiadem na fotelu obok. Opowiadałam mu historię Żydów w Kostaryce, wspominałam nazwy sztetli, z których pochodzili pierwsi emigranci: Żelechów i Kałuszyn. Arie złapał mnie za rękę.

– Ania, mam dreszcze, jak o tym mówisz. Mój tata był z Kałuszyna, uwierzysz?! Uciekł do Rosji, ale to niesamowity zbieg okoliczności: piszesz o ludziach, których z pewnością znał przed wojną...

Dwa dni później poszłam na kolację do przyjaciółki, francuskiej Żydówki. Opowiadałam jej o Tel Awiwie i tajemnicy rodziny Sikorów. Ona na to, że też spotkało ją coś niezwykłego. Odkryła, że pradziadek z Polski miał dziesięcioro rodzeństwa, które przed wojną wyjechało do Ameryki. Chcieli do Stanów Zjednoczonych, ale granice były zamknięte. Nie wiadomo, dokąd udali się dalej, ale wreszcie ustaliła, skąd pochodzili. Pokazała mi maila od dziewięćdziesięciosześcioletniej ciotki z Brooklynu z nazwą sztetlu, której nie była w stanie wypowiedzieć. „Kałuszyn” – przeczytałam na głos i nie byłam w stanie wypowiedzieć ani słowa więcej. Dopiero po chwili opowiedziałam jej historię kałuszyńskich Żydów w Kostaryce i o spotkaniu w samolocie. Ona zapłakała i zapytała, czy pomogę jej odnaleźć bliskich. Do tej pory żyła w przeświadczeniu, że jej rodzina zginęła w Szoa. Nagle okazało się, że większość się uratowała.

– To wszystko zmienia – stwierdziła.

Kilka miesięcy później, we wrześniu 2016 roku udałam się do paryskiego Muzeum Pamięci Szoa. Weszłam na trzecie piętro, by w archiwum poszukać dokumentów dla jednej z kostarykańskich rodzin. Z plikiem akt w dłoni skierowałam się do windy. Na korytarzu zaczęłam rozmawiać ze starszym panem, osiemdziesięcioletnim Marcelem Szejmbergiem. Zapytał, co tu robię, więc opowiedziałam mu historie Żydów w Kostaryce i rodziny, której

dokumentów szukałam w archiwum Muzeum. On na to, że jego dwie ciotki też wyjechały do Argentyny, jedna została sprzedana jako prostytutka. Zapytałam, skąd pochodziła jego rodzina. Marcel machnął rękę

– Na pewno nie znasz. – Serce zaczęło mi mocniej bić. – Kałuszyn, taka dziura pod Warszawą.

Po trzech miesiącach spotkaliśmy się ponownie. Marcel chciał dowiedzieć się wszystkiego o moim pobycie w Kostaryce. Opowiedziałam mu szczegółowo historię Guity, Jaimego, Dawida, Ewy i Jacobo. On mówił o swojej rodzinie. Wszyscy zostali deportowani z Francji do obozów koncentracyjnych w 1941 roku. Jako jedyny przeżył, bo miał chorobę zakaźną, przez którą został odseparowany od matki i rodzeństwa. Wychował się w domach dziecka.

Marcel zapytał mnie też, czemu lubię rozmawiać ze starszymi ludźmi. Wyznałam mu, że w jakiś sposób przypominają mi moją ukochaną babcię Jasię, która zmarła na raka w sierpniu 2015 roku. Byłyśmy bardzo zżyte, codziennie rozmawiałyśmy przez telefon – nieważne, czy byłam w Kostaryce, czy na Bałkanach. Uwielbiałam jej towarzystwo. Była pewna siebie, dosadna i szczerą. Po tylu latach życia wiedziała, co lubi, a czego nie znosi.

Takie jak babcia Jasia są osoby, które opisałam w mojej książce.

Od autorki

Mówi się często o samotności pisarzy. Ja też spędziłam długie noce na pisaniu *Polacos*, mając nadzieję, że zaraz nie obudzi mnie Józio – mój, wtedy dwuletni, synek. Gdyby nie pomoc i zaangażowanie rodziny i przyjaciół ta książka by nie powstała.

Jestem gadułą, więc od ponad siedmiu lat mama wysłuchiwała moich kostarykańskich historii. Dziękuję jej za cierpliwość i wieczny optymizm.

Dziękuję Jacques'owi, mojemu partnerowi: *Merci pour ton soutien. C'est toi qui m'a appris la détermination et sans ça, ce livre n'aurait pas pu exister. Je t'aime très fort!*

Nie pojechałabym do Kostaryki, gdyby nie wsparcie profesor Doroty Praszalowicz i całego Instytutu Amerykanistyki i Studiów Polonijnych na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Dziękuję!

Dziękuję przyjaciółkom – Zosi i Agnieszce.

Małgosi i Tomkowi Smólskim – za bilet do Nowego Jorku.

Krystynie Wieczorkiewicz – za organizację spotkania w Żelechowie.

Dziękuję za życzliwość i uwagi historyczne profesora Artura Gruszcza i doktora Marcina Szerlego.

Chciałabym też szczególnie podziękować moim redaktorom – Łukaszowi Najderowi i Tomkowi Zającowi. Tomek zawsze znalazł czas, by odpowiedzieć na moje pytania. Jego praca nad tekstem jest nieoceniona.

I wreszcie, jestem niezwykle wdzięczna wszystkim osobom w Kostaryce, które znalazły dla mnie czas: Guicie i jej córce, Natalie Blau, Dawidowi i Doricie Weislederom, Jacobo Schifterowi, Vilmie Faingezicht, Jaimemu Tishlerowi, Gilbertowi Meltzerowi i jego mamie Amalii, Luisowi Fishmanowi i rodzinie, Gustawowi Priferowi, Oldze Goldenberg, Ewie Goldberg, Saricie i Reinie Rowinsky, Shapsie Faingezicht, Sarze Befeler, Guicie Grynspan, Randallowi Moralesowi, Lisette Diaz, Miguelowi Sobrado,

Francisco Roblesowi i Sabinie Koczij-Martin. Dziękuję za pomoc Centro Israelita Sionista i Museo de la Comunidad Judía de Costa Rica.

¡Muchas gracias a todos. Pura vida!

PS Marcel Sztejnberg, bohater mojej książki, zapytał, czy mogłabym umieścić na ostatniej stronie prośbę do polskich czytelników: „Szukam informacji na temat mojej rodziny. Napisz do mnie, jeśli wiesz cokolwiek o rodzinach: Sztejnbergów (mój ojciec to Nisan Sztejnberg, urodzony 13 września 1912 roku), Sienickich lub Sieników (siostry ojca: Małka, Szejndla, Chaja i Gołda) i Altermanów (babcia Bryna albo Brajna Rywka, urodzona w 1885 roku). Pochodzili z Kałuszyna. marceloszt@gmail.com”.

Wybrana bibliografia

Niżej wymienione książki służyły mi przy pisaniu wszystkich rozdziałów:

Arbell Mordechai, *The Jewish Nation of the Caribbean. The Spanish-Portuguese Jewish Settlements in the Caribbean and the Guianas*, Jerusalem–New York 2002

Befeler Taitelbaum Sara, *La llegada de los judíos a Costa Rica. Supervivencia, integración e identidad*, Madrid 2013

Beletsky Les, *Costa Rica*, Northampton 2010

Bikont Anna, *My z Jedwabnego*, Warszawa 2004

Diner Hasia R., *Roads Taken. The Great Jewish Migrations to the New World and the Peddlers Who Forged the Way*, New Haven–London 2015

Ditzhuijzen Jeannette van, *A shtetl under the sun. The Ashkenazic community of Curaçao*, Amsterdam 2011

Dzieje Polonii w Ameryce Łacińskiej, red. Marcin Kula, Wrocław 1983

Dzieje Żydów w Polsce (1918–1939). Wybór tekstów źródłowych, oprac. Rafał Żebrowski, Warszawa 1993

El judío en Costa Rica, eds. Jacobo Schifter Sikora et al., San José 1979

Frank Ben G., *A Travel Guide to the Jewish Caribbean & Latin America*, Gretna 2005

Gruszczak Artur, *Ameryka Środkowa*, Warszawa 2007

Gudmundson Lowell, *Costa Rican Jewry. An Economic and Political Outline*, „LACC Occasional Papers Series. Dialogues (1980–1994)”, February 1984

Guerrero Portales Rudy, *Costa Rica y Estados Unidos en la Segunda Guerra Mundial*, San José 1994

Kicinger Anna, *Polityka emigracyjna II Rzeczypospolitej*, „CEFMR Working Paper” 2005, nr 4 (Środkowoeuropejskie Forum Badań Migracyjnych w Warszawie)

Kritzler Edward, *Jewish Pirates of the Caribbean*, New York 2008

Laikin Elkin Judith, *The Jews of Latin America*, Boulder–London 2014

Monge Alfaro Carlos, *Historia de Costa Rica*, San José 1978

Pollack Martin, *Cesarz Ameryki. Wielka ucieczka z Galicji*, przeł. Karolina Niedenthal, Wołowiec 2011

Rodríguez Chaverri Camilo, *Del Holocausto a Costa Rica. Memorias de Carlos Blau*, San José 2006

Rodríguez Vega Eugenio, *Biografía de Costa Rica*, San José 2010

Rybak Portugal Sharon, *The Fault at the Center*, San José–New York–Lincoln–Shanghai 2002

Szejnert Małgorzata, *Wyspa klucz*, Kraków 2009

The Costa Rica Reader. History, Culture, Politics, eds. Steven Palmer, Iván Molina, Durham 2004

The History of Costa Rica, eds. Iván Molina, Steven Palmer, San José 2000

The Jewish Diaspora in Latin America and the Caribbean. Fragments of Memory, ed. Kristin Ruggiero, Brighton–Portland–Toronto 2010

The Ticos. Culture and social change in Costa Rica, eds. Mavis Hiltunen Biesanz et al., Boulder 1999

Walaszek Adam, *Migracje Europejczyków 1650–1914*, Kraków 2007

Wańkowicz Melchior, *Polska emigracja na Kubie*, „Kurier Warszawski” (wydanie wieczorne), 3 listopada 1926, nr 302

Wasserstein Kahn Samuel i Monestel Arce Yehudi, *La denuncia. 10 de Julio de 1941*, San José 2001

Wohlstein Harry, *Piedra sobre piedra*, San José 2015

Prasa kostarykańska:

„Baderej”, 1964

„Diario de Costa Rica”, 1930–1939

„Hatikva”, 1943–1946

„Hayom”, 1985–2009

„La Gaceta”, 1934

„La Nación”, 2010

„La Tribuna”, 1930–1940

Korzystałam także z artykułu Shlomo Papirblata w „Haaretz”, *Knocking on Doors* z 29 września 2010 roku, a także z podstrony internetowej Jewish Virtual Library poświęconej historii Żydów w Ameryce Centralnej: <https://goo.gl/O8bLwR>, dostęp: 6.02.2017

Książka o polskich Żydach w Kostaryce

Chronologię emigracji polskich Żydów do Kostaryki ustaliłam, analizując kostarykańskie księgi portowe (udostępnione mi w Archivo Nacional de Costa Rica), księgi *Comisión Investigadora del Congreso. Índice general alfabético de ciudadanos polacos. Resumen general*, powojenny spis Żydów w Kostaryce sporządzony dla Centro Israelita Sionista de Costa Rica, a także na podstawie informacji uzyskanych od bohaterów książki.

Dom Polski

Kostarykę z początku wieku opisałam, korzystając z dzienników podróży Maurice de Périgny *Les Cinq Républiques de l'Amérique Centrale. Costa Rica, Guatemala, Honduras, Nicaragua, Salvador* (1919) i M. Saillard *En traversant la République de Costa Rica* (1906). Dostępne są na stronach internetowych:

<https://goo.gl/wPu46Y>, dostęp: 6.02.2017

<https://goo.gl/bExqGa>, dostęp: 6.02.2017

Bibliowicz Azriel, *El rumor del astracán*, Bogotá 1991

Archiwum Akt Nowych, zespół numer 593, Poselstwo RP w Meksyku, 1923–1926, 1928, 1929, 1930–1945, 1946–1953: Kostaryka. „Casa de Polonia” en la República de Costa Rica („Dom Polski”. Związek Obywateli Polskich dla Współpracy Polsko-Kostarykańskiej) w San José. Korespondencja, wycinki prasowe

Rovinski Samuel, *Cuentos judíos de mi tierra*, San José 2002

Polaco i Esperanza

Opowieść o Jaimem Goldenbergu oparłam na wywiadzie z jego córką Olgą Goldenberg, a także wspomnieniach rodziny i przyjaciół opublikowanych na stronie <http://polaco100.com>

Brown Michael F., Van Bolt Margaret L., *Aguaruna Jivaro Gardening Magic in the Alto Rio Mayo, Peru*, „Ethnology” 1980, vol. 19, no. 2 (April)

Chapman Peter, *Bananas. How the United Fruit Company Shaped the World*, Edinburgh–New York–Melbourne 2007

Davis Wade, *One River. Explorations and Discoveries in the Amazon Rain Forest*, New York 1996

Rozmowy po polsku

List Abrahama został opublikowany w książce Chany Gutreiman Goldberg, Maxa Gutreimana Goldberga, Mauricio Vargasa Ortegi, *¡Oy mame!, ¡Oy mame! Abraham Gutreiman. Vivir después del Holocausto*, San José 2014

Fige na transatlantyku

Narrację Dawida Weisledera uzupełniłam o informacje z jego książki autobiograficznej *Pasaporte al Pasado de Herz David. La vida de David Weisleder Budzynski*, którą wydał własnym sumptem dla swoich dzieci i wnuków w 2014 roku.

Informacje o statkach uzyskałam od specjalistów i pasjonatów tematu: od Andreasa von Macha, Bernda Schwarza, Martina Lindborn (marhisdata.nl, dostęp: 6.02.2017), Tona Kompiera, Marka Twardowskiego i Oskara Myszora (Forum Okrętów Wojennych), Petera Maassa z Hapag-Lloyd AG, a także ze strony maritimdigital.nl (dostęp: 6.02.2017).

A Century of Sea Travel. Personal Accounts from the Steamship Era, eds. Christopher Deakes i Tom Stanley, Barnsley 2010

Ćwikliński Jan, *Kapitan opuszcza swój statek*, przeł. Anna Ćwiklińska-Rutka, Pelplin 2010

Fox Robert, *Liners. The Golden Age*, Potsdam 2011

Fox Stephen, *The Ocean Railway. Isambard Kingdom Brunel, Samuel Cunard and the revolutionary world of the great Atlantic steamships*, London 2004

Kludas Arnold, *Great Passenger Ships of the World. Vol. 3 (1924–1935)*, London 1976

Miciński Jerzy, *Księga statków polskich 1918–1945*, t. 1, Gdańsk 1996

Polska nad Bałtykiem. Konstruowanie identyfikacji kulturowej państwa nad morzem 1918–1939, red. Dariusz Konstantynów i Małgorzata Omilanowska, Gdańsk 2012

Szerle Marcin, *Rozwój gdyńskiego sanitariatu portowego w latach II Rzeczypospolitej* [w:] *Wędrówki po dziejach Gdyni*, red. Dagmara Płaza-Opacka i Tadeusz Stegner, Gdynia 2004

Sztelmach Michał, *Żelechów na starej fotografii. Ocalić od zapomnienia*, Żelechów 2012

Tarkowska Aleksandra, *Gdynia między wojnami. Opowieść o narodzinach i życiu miasta 1918–1939*, Łódź 2009

Vázquez-Rial Horacio, *La amistad*, <https://goo.gl/GCMa1D>, dostęp: 6.02.2017

Prasa:

„Le Petit Havre”, 1937

„Paris-Soir”, 1937

Cmentarz żydowski w Żelechowie, <https://goo.gl/xvz1Fu>, dostęp: 6.02.2017

Garwolińska księga pamięci, <https://goo.gl/9OMy0g>, dostęp: 6.02.2017

Szymczak Grzegorz, Historia ludności żydowskiej w Żelechowie, <https://goo.gl/8eTcym>, dostęp: 6.02.2017

Żelechowska księga pamięci, <https://goo.gl/7Y8XpU>, dostęp: 6.02.2017

Republika żydowsko-indiańska

Opowieść Jacobo Schiftera uzupełniłam o informacje z jego książki autobiograficznej *Quince minutos de fama*, wydanej własnym sumptem w 2004 roku. Inspiracją dla reportażu były też fragmenty powieści Schiftera *Hitler in Central America* (San José 2001).

Przypisy

[1] W całej książce zachowałam pisownię imion i nazwisk stosowaną w Kostaryce, chyba że udało mi się ustalić ich brzmienie po polsku.

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.
czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice
tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75
mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl
dominik@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl, edyta@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa
redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa
tel./fax +48 22 621 10 48
agnieszka@czarne.com.pl, dorota@czarne.com.pl
zofia@czarne.com.pl, marcjanna@czarne.com.pl
magda.jobko@czarne.com.pl

Dział marketingu: honorata@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: piotr.baginski@czarne.com.pl
agnieszka.wilczak@czarne.com.pl
malgorzata.wietecha@czarne.com.pl

Audiobooki i e-booki: anna@czarne.com.pl

Skład: d2d.pl
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków
tel. +48 12 432 08 52, info@d2d.pl

Wołowiec 2017
Wydanie I